

SYTA PARTIA
PiS nie liczy się
z prezesem

CO, JEŚLI NIE ATOM
Nim nadejdzie
wielka ciemność

MIEJSCA ŚWIETNE
Kiedy turysta
staje się pielgrzymem

PO JOHNSONIE
Wielka Brytania
na rozdrożu

ZIEMIA Z NIEBA
Latający fotograf
i jego obrazy

Kraków 17 lipca 2022 nr 29 (3810)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Rzeki to życie

**CECYLIA MALIK:
JAK POWSTRZYMAĆ SUSZĘ**





**TYGODNIK
POWSZECHNY**



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KSIAŻKI W TYGODNIKU

specjalnie dla WYDAWCÓW i instytucji kultury!



Nadchodząca jesień w „Tygodniku Powszechnym” pełna będzie literackich odniesień. Kolejna edycja Festiwalu Conrada oraz jubileuszowe 25. Targi Książki w Krakowie to dwa ważne punkty w kalendarzu wszystkich miłośników dobrej książki, które zagospodzą na naszych łamach. W październiku wydamy obszerny **magazyn literacki**, w którym znajdą się m.in. zapowiedzi i recenzje nowości książkowych, wywiady z autorami, eseje o literaturze.



**Zapraszamy wydawnictwa, księgarnie oraz organizatorów
wydarzeń literackich do obecności reklamowej na łamach „TP”
oraz w serwisie [TygodnikPowszechny.pl/ksiazki](https://tygodnikpowszechny.pl/ksiazki)**

Kontakt: literacki@tygodnikpowszechny.pl
lub telefonicznie: **Anna Pietrzykowska 602 590 416**

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Stefana Wilkanowicza

(3.01.1924 – 9.07.2022)

żarliwego chrześcijanina

orędownika dialogu i pojednania między ludźmi, narodami i religiami, publicysty i działacza,
współzałożyciela Klubów Inteligencji Katolickiej w Warszawie i w Krakowie,
Klubu Chrzęścian i Żydów „Przymierze” i Fundacji Kultury Chrześcijańskiej Znak,
wieloletniego członka Papieskiej Rady ds. Świeckich,
wiceprzewodniczącego Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej,
redaktora naczelnego miesięcznika „Znak” w latach 1978-1994,
autora preambuły do Konstytucji RP,
odznaczonego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Orderem św. Sylwestra, wyróżnionego wieloma innymi odznaczeniami i nagrodami.

Żadna dobra sprawa nie pozostawiała Go bezczynnym.

Córkom, Wnukom i całej Rodzinie wyrażamy serdeczne współczucie.

**KOLEDZY I PRZYJACIELE, KOLEŻANKI I PRZYJACIÓŁKI Z WYDAWNICTWA,
MIESIĘCZNIKA I FUNDACJI ZNAK**

Z wielkim przejęciem zegnamy

Ś.†P.

Stefana Wilkanowicza

ostatniego z ojców założycieli środowiska „Tygodnika Powszechnego” i Znak,
z zawodu inżyniera i filozofa, który zmarł w wieku 98 lat.

Był autorem preambuły Konstytucji RP,
członkiem dawnego zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego”,
współzałożycielem warszawskiego i krakowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
w latach 1978-1994 redaktorem naczelnym miesięcznika „Znak”,
zastępcą przewodniczącego Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej
i przewodniczącym Rady Międzynarodowego Centrum Edukacji o Auschwitz i Holokauście.
Zakładał, a potem stał na czele Fundacji Kultury Chrześcijańskiej Znak.
Twórca wielu inicjatyw związanych z dialogiem chrześcijańsko-żydowsko-muzułmańskim,
człowiek niezwykle skromny, który wołał działać, zamiast mówić.

Dla nas Pan Stefan pozostanie wzorem chrześcijanina.

„TYGODNIK POWSZECHNY” I FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

20 Widmo krąży nad prezesem

MAREK KĘSKRAWIEC
Jarosław Kaczyński ruszył w Polskę, bo uważa, że jego partia straciła energię i może przegrać wybory. Jednak działacze PiS nie dostrzegają w nim już lidera, za którym poszliby w ogień.



32 Turysta czy pielgrzym

KAROL KLECZKA

Bez księdza jako przewodnika, z indywidualnym programem, a nawet z niereligijnym motywem: pojawiają się nowe sposoby pielgrzymowania.

76 Żeby był obiad

ROZMOWA Z MARIĄ BRONIEWSKĄ, AKTORKĄ
Pamiętam dobrze, jak mamę aresztowali. Wróciłam do domu, a jej już nie było. Zaczęłam sama pleść swoje dwa długie warkoczki. Z dnia na dzień stałam się dorosłą.



42 Kiedy jest źle, doceniasz małe rzeczy

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA
Rosyjski atak zostawił na ukraińskiej stolicy i jej mieszkańcach ślady, które nie znikną przez lata.



62 Brak nieba

MACIEJ TOPOLSKI

Celem człowieka, twierdził Pitagoras, jest patrzeć w chmury, śledzić trasy słońca, obserwować tarczę księżyca, podziwiać lot ptaków. Kim jest człowiek, który patrzy wyłącznie w ziemię?



58 Rezusy czują rytm

KATARZYNA DZIADOWICZ

Sygnały płynące z naszych trzewi wpływają na nasze myśli, uczucia i decyzje. Okazuje się, że nie jesteśmy jedynymi zwierzętami, które je odbierają.

6 Upadek Johnsona
PATRYCJA BUKALSKA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

31 Tygodnik Czytelników

■ ■ **KRAJ**

20 Widmo krąży nad prezesem
MAREK KĘSKRAWIEC

**24 Biznes wchodzi
w parady**
MAREK RABIJ: Wysyp
reklam podczas
warszawskiej Parady
Równości to oznaka poważnej
zmiany, jaka zachodzi
w traktowaniu osób LGBT+

26 Zanim nadejdzie ciemność
KRZYSZTOF STORY:
*Nie mamy wyjścia – musimy
odejść od węgla. Problem w tym,
że nie bardzo mamy dokąd.
Zamiast budować elektrownię
atomową, straciliśmy cenne lata
na dyskusje*

■ ■ **WIARA**

32 Turysta czy pielgrzym
KAROL KLECZKA

36 Liturgia niekonsekwentna
PIOTR SIKORA:
*Zamiast tłumić spór
z tradycjonalistami, jak to usiłuje
robić papież, warto wykorzystać
stawiane przez nich kwestie
i przemyśleć fundamenty wiary*

38 Szlaki Świętej Góry
MARIUSZ SAWA
podróżuje po Górze Athos

■ ■ **ŚWIAT**

**42 Kiedy jest źle,
doceniasz małe rzeczy**
PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA

ALEKSANDRA JACH / SIOSTRY RZĘKI



TEMAT TYGODNIKA

12 Rzeki to życie

MARCIN ŻYŁA

Przepłynęła kraj galarem, na protest
przeciw zaporze wyprowadziła krowy,
uplotła warkocz długi jak Białka.
Teraz, podczas suszy, Cecylia Malik pyta:
czysta woda do picia czy brudne kanały
dla barek – co wybierasz?

■ **FELIETONY** ■

31 JACEK PODSIADŁO 41 WOJCIECH BONOWICZ

56 HANNA KRALL

74 JAN KLATA 75 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

CECYLIA MALIK, KRAKÓW, 8 LIPCA 2022 R.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

46 Wielka susza w dolinie Padu
PAWEŁ BRAVO:
*Zaciął się mechanizm, który
gwarantował tej nizinie status
jednego z najżyźniejszych obszarów
rolniczych w Europie*

48 Zambijski cud
ALEXIO RASHIRAI, WOJCIECH
JAGIELSKI: *Zambia daje nadzieję,
że zmiany są możliwe. Tylko tutaj
opozycyjne partie wygrywają
wybory i przejmują władzę*

■ ■ **HISTORIA**

52 Odra piękna i groźna
MATEUSZ POJNAR:
*Nowa Sól jest dumna, że jako
pierwsza z większych miast wygrała
z wielką wodą*

■ ■ **NAUKA**

58 Rezusy czują rytm
KATARZYNA DZIADOWICZ

61 Sztuka kopania
ŁUKASZ KWIATEK: *Życie wielu
zwierząt zależy od niewielu
gatunków, które kopią studnie*

■ ■ **KULTURA**

62 Brak nieba
MACIEJ TOPOLSKI

67 Po końcu niewinności
BARTEK DOBROCH: *Koncerty Pearl
Jam są nadal deklaracją wiary w siłę
muzyki i celebrazją życia*

70 Planeta oczyszczenia
PIOTR KOSIEWSKI Z BERLINA:
*Biennale zorganizowane pod hasłem
„Still Present!” przypomina, że to, co
„niewidzialne, staje się widoczne”*

72 Odzyskiwanie ciała
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Powodzenia, Leo Grande”

■ ■ **ZMYŚŁY**

76 Żeby był obiad
ROZMOWA Z MARIĄ BRONIEWSKĄ,
AKTORKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ **Akcja bez precedensu**

Czy konsumencki bojkot firm działających w Rosji miał sens? Zobacz nasze podsumowanie w formie interaktywnej infografiki | powszech.net/bojkot

➡ **Co dalej z Międzynarodową Stacją Kosmiczną?**

Najdroższe laboratorium ludzkości przetrwało 20 lat ekstremalnych temperatur, trafienia mikrometeoritami i cięcia budżetowe. Może nie przetrwać rosyjskiej inwazji na Ukrainę | powszech.net/iss



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



UPADEK JOHNSONA

Pod presją własnej partii brytyjski premier odchodzi.
Pytanie, co po sobie pozostawia i kto zostanie jego następcą.

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

NA BRYTYJSKIEJ SCENIE POLITYCZNEJ OSTATNI tydzień był czasem bezprecedensowym. Premier Boris Johnson zrezygnował w czwartek 7 lipca z przewodniczenia Partii Konserwatywnej, a tym samym ze stanowiska szefa rządu, którą to funkcję sprawował przez prawie trzy lata. Decyzję wymusili na nim jego partyjni koledzy i współpracownicy. Zaczęło się od dymisji ministrów zdrowia Sajida Javida i finansów Rishiego Sunaka (ten ostatni jest zresztą teraz faworytem w rywalizacji o fotel premiera). Potem ruszyła lawina prawie 60 kolejnych rezygnacji – wydawało się, że im bardziej Johnson opierał się przed dymisją, tym szybciej spływały listy rezygnacyjne od osób na rządowych stanowiskach. W swoim wystąpieniu, podczas którego zapowiedział rezygnację, Johnson za nic nie przeproszał, wyraził za to żal, że

traci „najlepszą pracę na świecie”, i stwierdził, że do jego dymisji doprowadził „stadny instynkt” w Westminsterze.

Za utratę stanowiska może on jednak winić tylko siebie. W przeciwieństwie do dymisji jego poprzedników – Theresy May czy Davida Camerona – kluczowe były teraz nie kwestie polityczne, ale obyczajowe. Aby ująć to najkrócej: problemem okazał się charakter premiera – jego lekceważenie zasad i standardów oraz przekonanie, że wszystko ujdzie mu na sucho, o ile tylko będzie dość przekonujący.

O możliwej dymisji Jonsona mówiono od wielu miesięcy – wśród powodów była tzw. Partygate, czyli skandal, jaki wybuchł po ujawnieniu przez media, że w czasie pandemii, gdy za sprawą surowych restrykcji Brytyjczycy nie mogli się spotykać nawet z bliskimi, w siedzi-

*Premier Wielkiej
Brytanii Boris
Johnson,
Downing Street 10,
Londyn,
7 lipca 2022 r.*

bie premiera odbywały się nieformalne spotkania towarzyskie.

W czerwcu Johnson przetrwał jednak partyjne głosowanie nad wotum nieufności. Nie przetrwał natomiast teraz kryzysu wywołanego przez ujawnienie zarzutów o molestowanie wysuwanych przeciwko posłowi Chrisowi Puncherowi, któremu wcześniej okazał zaufanie, powołując go na wysokie stanowisko w partyjnym klubie parlamentarnym. Istotne było tu pytanie, czy premier o tych zarzutach wiedział. A Johnson, jak to Johnson – najpierw twierdził, że nie wiedział, a gdy okazało się, że jednak był o nich informowany, stwierdził, że owszem, tak, ale zapomniał. Ten kolejny dowód na brak szacunku dla faktów i dla zasad przyzwoitości okazał się decydujący dla jego partyjnych kolegów.

Dodajmy, że sygnałem alarmowym były dla nich też przegrane w czerwcu przez Partię Konserwatywną wybory uzupełniające w dwóch okręgach. Po tym, jak w 2019 r. Boris Johnson poprowadził ich do spektakularnego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych, teraz zaczął być dla polityków Partii Konserwatywnej obciążeniem.

Co dalej? Johnson chce pozostać na stanowisku do czasu wyboru swojego następcy, co może nastąpić w sierpniu, a najpóźniej jesienią. Procedura jest taka, że przywódcę Partii Konserwatywnej najpierw wybierają jej posłowie (zawężając listę kandydatów do dwóch), a następnie głosują wszyscy jej członkowie (jest ich ok. 200 tysięcy).

Giełda nazwisk już ruszyła. Jeden z faworytów, minister obrony Ben Wallace, swój start w wyborach na lidera jednak wykluczył, z kolei Rishi Sunak zdążył już zaprezentować profesjonalny wyborczy klip i uruchomić stronę internetową Ready for Rishi. W tych wewnątrzpartyjnych wyborach może wziąć udział nawet kilkunastu kandydatów, a kampania będzie obracać się wokół odbudowy publicznego zaufania i kwestii podatkowych (Wielka Brytania mierzy się z rosnącymi kosztami utrzymania i inflacją).

A sam Johnson? Zapewne będzie się starał wykorzystać kolejne tygodnie na umocnienie przekazu o swojej spuściznie. Dziś nie wiadomo, jak zostanie zapamiętany – czy jako premier, który przeprowadził brexit i walczył z pandemią, czy też jako niefrasobliwy ekscentryk, który sam doprowadził do swego upadku. ©P

Nie udawajmy, że pandemii nie ma

MACIEJ MÜLLER



LETNIA FALA PRZETACZA SIĘ NAD EUROPĄ. W niektórych krajach dzienna liczba zakażeń przekracza 100-120 tys., a Region Europejski WHO odpowiada za połowę infekcji światowych. To efekt rozprzestrzeniania się podwariantów bardzo zakaźnej mutacji Omikron: BA.4 i BA.5. W Polsce oficjalna liczba infekcji jest niewielka (ponad tysiąc dziennie), ale wynika to z wielokrotnie mniejszej niż na Zachodzie liczby przeprowadzanych testów. – Dobrym instrumentem pomiaru skali problemu jest liczba przyjęć pacjentów z covidem na oddziały intensywnej terapii, a te rosną w wielu krajach, szczególnie w Niemczech, Francji i Włoszech – wskazuje epidemiolog Rafał Halik. – Mamy lato, sezon, który zazwyczaj wyciszał dynamikę zakażeń, ale nie w tym roku. Należy oczekiwać, że na jesieni, wraz ze stłoczeniem osób w zamkniętych pomieszczeniach, może dojść do jeszcze większego spiętrzenia zachorowań.

Tymczasem minister zdrowia Adam Niedzielski zapowiedział, że o narzędziach prewencyjnych i masowym testowaniu będzie mowa dopiero wtedy, gdy liczba hospitalizowanych pacjentów covidowych przekroczy 5 tys. (10 razy więcej niż obecnie). Taka postawa nas nie wyróżnia: francuski odpowiednik Niedzielskiego mówi o „wypaleniu” spo-

czeństwa pandemią: ludzie nie chcą słyszeć o restrykcjach, ani w ogóle o covidzie. Udawanie, że pandemii nie ma, może nas jednak wiele kosztować. – Nawet lekkie przechorowanie zwiększa ryzyko pojawienia się długotrwałych powikłań w postaci zaburzeń neurologicznych, układu krzepnięcia i problemów z układem krwionośnym – tłumaczy Halik. – Tymczasem decydenci uznali, że pandemia się skończyła i że do grypy i przebiegnięcia doszła jakaś nowa sezonowa infekcja, która już złagodniała.

– Bez monitorowania liczby zakażeń pozbawiamy się szybkościomierza, a bez środków epidemiologicznych hamulca – ostrzega epidemiolog. I radzi, by na własną rękę dbać o bezpieczeństwo: – Pamiętajmy o szczepieniach, a w transporcie publicznym, w placówkach ochrony zdrowia i w przestrzeniach zamkniętych nośmy maski, najlepiej FFP2. Stosujmy zasadę DDM (dezynfekcja-dystans-maseczka). Informujmy bliskich o kontakcie z osobami mającymi objawy infekcji, wykonujmy testy antygenowe przed spotkaniami z osobami z grup ryzyka oraz kiedy zaobserwujemy objawy u siebie. ©P

Więcej na:
tygodnikpowszechny.pl/ochrona-zdrowia

Chcemy jechać, nie mamy za co

JESZCZE NA POČĄTKU czerwca 65 proc. z nas planowało wyjazd na wakacje, z czego 71 proc. chciało go spędzić w kraju, 19 proc. za granicą, a co dziesiąty polski turysta wciąż nie podjął decyzji. Głównym celem tych podróży miało być, jak co roku, polskie morze – tak wynikało z danych Polskiej Organizacji Turystycznej, wedle której zainteresowanie wyjazdami na urlop wzrosło o 18 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Najczęściej deklarowaną kwotą na odpoczynek (przeważnie tygodniowy) było 2 tys. zł.

Kłopot w tym, że fatalne wieści na temat inflacji i rosnących cen mocno weryfikują te dane, a słabnący złoty dodatkowo zniechęca do podróży za granicę. Widać to wyraźnie w wynikach wyszukiwań, o których poinformował jeden z najpopular-

niejszych polskich portali turystycznych, nocowanie.pl. Oficjalnie deklarujemy chęć wyjazdu, ale gdy przychodzi do podjęcia decyzji, stan portfela weryfikuje nasze marzenia. Według Tomasza Zaniewskiego, współzałożyciela serwisu, już pod koniec maja liczba wyszukiwań noclegów zmniejszyła się w porównaniu do 2021 r. o 21 proc., a w połowie czerwca spadek ten osiągnął 32 proc. Teraz jest jeszcze gorzej. W efekcie liczba rezerwacji na lipiec jest niższa o jedną trzecią niż rok temu, a sierpniowych – o ponad połowę. Ludzie dłużej się zastanawiają, gdyż ceny wzrosły o kilkanaście procent, liczą też na specjalne oferty niemal do ostatniej chwili. Z analiz portalu wynika, że średnia cena za nocleg wynosi 105 zł od osoby.

Zaciskanie pasa widać też w długości planowanych wyjazdów. Najwięcej osób szuka urlopów siedmiodniowych, na dwa tygodnie pojedzie zaledwie 3 proc. Wygląda na to, że do pracy wrócimy niezbyt wypoczęci.

©P MAREK KĘSKRAWIEC

Złoty a skromny

MAREK RABIJ



POLSKA WALUTA DOZNAŁA KRWOTOKU. W ciągu zaledwie trzech dni w pierwszym tygodniu lipca i tak już relatywnie tani złoty gwałtownie osłabł wobec najważniejszych walut świata. Jeśli nie liczyć paniki w trakcie pierwszych dni rosyjskiej inwazji na Ukrainę, to w stosunku do euro i franka nasza waluta nie była tańsza od kryzysu wywołanego upadkiem banku Lehman Brothers we wrześniu 2008 r. Z dolarem jest jeszcze gorzej – jego kurs przebił szczyt z początku marca br. i dobił do najwyższego poziomu od 22 lat (warto przypomnieć, że Polska była wtedy poza Unią, a jej PKB warte było ponad trzy razy mniej niż obecnie).

Złotemu zdarzało się łapać w ostatnich latach zadyszki, ale obecna różnica od tamtych nie tylko dynamiką. Dziś nie chodzi wyłącznie o niechęć do ryzyka, która sprawia, że w niepewnych czasach inwestorzy sprzedają waluty państw naszej części Europy. Słabość złotego odzwierciedla przede wszystkim narastające przekonanie, że wysoka inflacja, z którą zmagają się cała niemal Europa, doprowadzi niebawem do recesji, bo także w Polsce konsumenci zaczynają już ograniczać zakupy. Bezpośrednim sygnałem do wyprzedzaży złotego stały się dane z europejskiego sektora usług, który również osuwa się w stagnację, choć wcześniej liczone na to, że właśnie usługi uratują gospodarkę Europy przed kryzysem. Okazało się, że zaczynamy oszczędzać również na nich. Inwestorów zagranicznych rozczarowała też niewielka podwyżka stóp procentowych NBP, który tym razem dołożył tylko pół punktu procentowego.

Tani złoty to oczywiście droższe kredyty walutowe, ale też dodatkowe paliwo dla krajowej inflacji, którą nakręca rosnące koszty importu surowców i półproduktów niezbędnych polskim firmom do produkcji. Wzrost ceny dolara niemal w całości skonsumował już spadek cen ropy naftowej i pozbawił nas szans na tańsze tankowanie. W wysypie hiobowych wieści ze świata walut jest tylko jedna pozytywna. Osłabienie złotego nieco poprawia konkurencyjność polskiego eksportu, stanowiącego ponad 40 proc. naszego PKB.

© P

KRAJ W SKRÓCIE

TRZY

„Odwiedziłem dziś (wkrótce po Twojej rozmowie)

p. Julię P. Z panią prezes

omówiłem 3 tematy”

– czytamy w kolejnym

z ujawnionych maili Michała Dworczyka do Mateusza Morawieckiego.

Wynika z niego, że

omawiał z prezeską

Trybunału Konstytucyjnego zbliżające się decyzje izby.

„Nawet jeśli taki mail był prawdziwy, to nie zawiera on żadnych takich informacji,

które wskazywałyby

w jakimkolwiek procencie, że tu było jakieś umawianie czegośkolwiek” – oświadczyła

Julia Przyłębska.



ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

SZEŚĆ, DZIEWIĘĆ, DWANAŚCIE

„Chcielibyśmy, tak się nam marzy, jak śpimy, żeby wzrost gospodarczy w przyszłym roku utrzymał się na poziomie 2 procent, a inflacja spadła do poziomu 6, może 9 procent.

Jeśli będzie dalej tarcza antyinflacyjna, będzie 6, jeśli nie – może 12 procent”

– prognozował prezes NBP

Adam Glapiński.

Złoty osłabił się już w trakcie jego konferencji prasowej.

DWADZIEŚCIA DWA I PÓŁ

Założyciel „Krytyki Politycznej” Sławomir Sierakowski zapoczątkował na portalu zrzutka.pl zbiórkę pieniędzy na zakup drona Bayraktar dla Ukrainy.

Na dwa tygodnie przed końcem akcji blisko 100 tys. osób wpłaciło niemal połowę niezbędnej kwoty, wynoszącej 22,5 mln zł.

Kryzys na granicy będzie trwał

STAN WYJĄTKOWY NA GRANICY polsko-białoruskiej skończył się 1 lipca. Dzień wcześniej premier Mateusz Morawiecki i minister Mariusz Kamiński wizytowali w Kuźnicy nową zaporę graniczną. Od tego momentu oficjalny przekaz brzmi: życie wróciło do normy, zapora jest ukończona i skutecznie zatrzymuje migrantów.

Żadna z tych trzech rzeczy nie jest prawdą. W Białowieży nadal stacjonuje wojsko, turystów jest jak na lekarstwo, obroty w lokalach są nawet 5 razy mniejsze niż rok temu. Sama zapora też nie jest skończona. W wielu miejscach brakuje drutu żyłkowego, nie ma systemu elektronicznego, prace trwają też przy samym płocie, zwłaszcza nad bagnami i rozlewiskami, gdzie pracownicy Budimeksu walczą z trudnym puszcząskim terenem. Robią to pomimo wcześniejszych zapowiedzi, że zapora ominie doliny rzeczne, czyli korytarze migracji zwierząt.

Zapora kosztowała ponad 1,5 miliarda złotych, ale nie spełnia swojego zadania – nie zatrzymuje migrantów. Przez Puszczę nadal wędrują setki ludzi. Tylko w ciągu 6 dni po zniesieniu stanu wyjątkowego Grupa Granica otrzymała prośby o pomoc od 217 osób. Wiele z nich pochodzi z Afryki, a na białoruską granicę często docierają przez Rosję. W lesie spotykałem obywateli Konga, ale też Syrii, Iraku i Jemenu. Im ten szlak wydaje się wciąż bezpieczniejszy niż podróż do Europy drogą morską i mur nic tu nie zmienił. Bez przemysłanej i zgodnej z prawem międzynarodowym polityki migracyjnej kryzys na granicy będzie trwał nadal.

© P KRYZYSZTOF STORY z Białowieży

Jeszcze młodszy za kraty

SEJM ODRZUCIŁ WETO SENATU i przyjął ustawę o resocjalizacji osób nieletnich. Nowe przepisy obligują sądy do wydawania wyroków pozbawienia wolności dla małoletnich sprawców ciężkich przestępstw, takich jak zabójstwa czy gwałty. Wcześniej w takich przypadkach orzekano często jedynie dozór kuratora. Obniżono też wiek odpowiedzialności prawnej do 10 lat oraz przedłużono możliwość przebywania w poprawczaku do 24. roku życia. Może zatem się zdarzyć, że dziesięciolatki trafią do tych zakładów wspólnie z dorosłymi. Gamę środków przymusu powiększono o gaz pieprzowy, kajdanki, paralizator oraz izolatkę. W tej samej ustawie dano dyrektorom szkół możliwość stosowania wobec uczniów kar za drobne przewinienia, np. kierowania do prac na rzecz szkoły.

Krytycznie o ustawie mówią pedagodzy oraz psychologowie. Według nich przepisy spowodują brutalizację resocjalizacji, mogą też przyczynić się do zmiany charakteru szkoły z edukacyjnego na karny.

W preambule ustawy zawarto odwołanie do wartości chrześcijańskich ze szczególną w wychowaniu rolę rodziny.

© P JACEK TARAN



FACEBOOK FRANK VIACÓRKA

Poległy w Donbasie białoruski ochotnik Iwan Marczuk, ps. „Brześć”; zdjęcie z wiosny 2022 r.

Obrońcy krwawią pod Łysyczańskiem

NA UKRAINIE kończy się bitwa o region ługański. Rosyjskie ataki koncentrują się teraz na tej części regionu donieckiego, której wciąż bronią siły ukraińskie.

Walerij zastanawia się, czy to pech czy koniec końców wielkie szczęście. Bo to jednak niezwykajne: trzy rany w ciągu doby. Pierwszą odniósł, gdy pocisk uderzył w schron jego drużyny, zabijając dwóch i raniąc trzech kolegów. On przeżył, bo wyszedł, by złapać zasięg i porozmawiać z Olją, żoną. Jego rany od odłamka nawet nie odnotowano, była lekka.

Opatrzony, został ze swą grupą szturmową, wraz z którą bronił Siewierodonecka, a teraz Łysyczańską. Ale że przyszła gorączka, kazali mu się ewakuować. Wtedy został znów ranny: auto, którym jechał, dostało się pod ogień. A trzeci raz – to było w szpitalu polowym. Kończył obiad, kolega rzucił: „Zjadłeś? To weź kompot, wypijemy na powietrzu”. Wyszedł, a wtedy rakietą trafiła w budynek stołówki. Kontuzjowany, ze wstrząśnieniem mózgu (dostał cegłą w głowę), pomagał zbierać szczątki tych, którzy swój obiad jedli wolniej. Teraz Waleryj, czterdziestoparoletni weteran (kilka lat temu spędził już ponad rok w Donbasie), jest w szpitalu na tyłach, a Olja organizuje dla niego leki.

Nieustający ostrzał artyleryjski i rakiety to największe zagrożenie dla żołnierzy, którzy odpierają ataki w regionie donieckim (Rosjanie zajęli dopiero połowę jego obszaru) i na styku regionów donieckiego i charkowskiego oraz wzdłuż rzeki Doniec Siewierski. Wbrew słowom Putina o „przerwie operacyjnej”, która miała nastąpić po zajęciu Ły-

syczańska, ofensywa trwa. Trwają też intensywne ataki lotnicze na cele na zapleczu, także cywilne, którym obrońcy niewiele mogą przeciwstawić – ich obrona przeciwlotnicza wciąż jest za słaba, dostawy z Zachodu wciąż są niewielkie.

Takiego szczęścia jak Walerij nie mieli białoruscy ochotnicy: w obronie Łysyczańska ponieśli duże straty. Wśród zabitych był Iwan Marczuk, ps. „Brześć”, dowódca batalionu „Wola” – jednego z dwóch (drugi nazywa się „Łytwyn”; jednostki noszą nazwiska poległych Białorusinów), które tworzą białoruski pułk w składzie armii ukraińskiej. Nosi on imię Kastusia Kalinowskiego – ten komendant powstania styczniowego z Wilna uważany jest przez białoruski ruch niepodległościowy za narodowego bohatera. Szacuje się, że na Ukrainie walczy dziś na froncie półtora tysiąca Białorusinów.

Podczas przysięgi, którą żołnierze z pułku imienia Kalinowskiego składali w marcu, to właśnie Marczuk – niewysoki mężczyzna z charakterystyczną brodą, wielką jak u Tolkienowskiego krasnoluda – odczytywał jej tekst. Film z tej uroczystości jest dostępny w internecie. Drżącym głosem „Brześć” przysięgał, że będzie walczyć o wolność, „tak jak nasi przodkowie walczyli z uciskiem hord Moskali pod Orszą, Smoleńskiem i Połonką”, wówczas w szereгах armii wielonarodowej Rzeczypospolitej, a potem „tak jak walczyli kosynierzy Kościuszki i powstańcy Kalinowskiego”, dopóki życia starczy.

Swojej przysięgi dotrzymał.

©© WOJCIECH PIĘCIAK z ziemi lwowskiej

Zabójstwo ekspremiera

SHINZO ABE, były premier Japonii, w której obowiązują jedne z najbardziej restrykcyjnych przepisów dotyczących posiadania broni, został zastrzelony przez zamachowca.

Dochodziło piątkowe południe 8 lipca. Shinzo Abe przemawiał na ulicy przed dworcem kolejowym w mieście Nara, gdzie przybył wspierać partyjnego kolegę przed niedzielnymi wyborami do Izby Radców (wyższej izby parlamentu). Zamachowiec podszedł do niego i od tyłu, z bliska, z dwulufowej broni domowej roboty oddał do ekspremiera dwa strzały – w szyję i pierś. Lekarzom nie udało się uratować 67-letniego Abego, zmarł w szpitalu.

Pojmany na miejscu zbrodni zabójca, 41-letni Tetsuya Yamagami, był żołnierz Sił Samoobrony (formalnie Japonia nie ma własnej armii), przyznał się do winy. Zeznał, że nie zabił Abego z powodów politycznych, lecz jego rzekomych związków z „organizacją”, która wyłudzała pieniądze od matki Yamagamiego, doprowadziła ją do bankructwa.

Zabójstwo byłego premiera to najgłośniejszy mord na polityku w Japonii; zamachy terrorystyczne zdarzają się tam niezwykle rzadko. Abe był najdłuższym urzędującym szefem rządu (pełnił tę funkcję w latach 2006-07 i 2012-20; ustąpił ze stanowiska z powodu kłopotów ze zdrowiem) i przedstawicielem politycznej „dynastii”. Jego ojciec, Shintarō Abe, był ministrem handlu zagranicznego, przemysłu i dyplomacji (1981-86), a dziadek Nobusuke Kishi szefem rządu (1957-60).

Dziadek Abego także padł ofiarą zamachu. Kiedy w 1960 r. podpisał w imieniu Japonii umowę o współpracy z USA w sprawach bezpieczeństwa, w kraju doszło do rozruchów, a uczestnicy antyrządowych wystąpień zarzucali mu, że sprowadził Kraj Kwitnącej Wiśni do roli amerykańskiego wasala. Miesiąc po podpisaniu umowy zamachowiec zaatakował premiera Kishiego i sześciokrotnie ugodził go nożem w ud. Dziadek Abego przeżył, ale wkrótce złożył urząd. Premierem Japonii był też przyrodni brat Nobusuke Kishiego, Eisaku Satō (1964-72), pokojowy noblista z 1974 r.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Tajny synod w Krakowie



PIOTR SIKORA: W swoim programie na YouTube powiedziała Pani, że synteza synodalna archidiecezji krakowskiej jest już gotowa, ale abp Jędraszewski nie zgodził się na jej publikację.

MONIKA BIAŁKOWSKA: Dostałam taką informację wraz z syntezą. Choć mam nadzieję, że to nieporozumienie „na łączach” – abp Jędraszewski jest ponoć na wakacjach. Mam nadzieję, że synteza się ukaze.

Może jakieś jej fragmenty mogą być jednak kłopotliwe dla arcybiskupa?

Są w nim kwestie, które mógł odebrać jako skierowane przeciw niemu: uwagi, że listy pasterskie są kiepskie, przypominają nieczytelne dla ludzi traktaty teologiczne. Postulat likwidacji upolitycznionych kazań. Kwestia traktowania osób LGBT+ – uwagi o prześladowaniu, poniżaniu osób homoseksualnych, że Kościół jawi się jako instytucja ksenofobiczna, homofobiczna, niekierująca się postawą miłości. Choć to ostatnie zostało w tekście krytycznie skomentowane, iż autorzy tych głosów nie odróżniają podejścia do ruchu LGBT+ od podejścia do osób homoseksualnych.

Takiego komentarza nie było przy okazji innych kontrowersyjnych postulatów. Np. by księży nie dopytywali się o prywatne życie wiernych – nawet gdy muszą dać zaświadczenie o życiu zgodnym z wiarą, potrzebne np. chrzestnym. Albo głosy, że nauka Kościoła o nierozzerwalności małżeństwa jest zupełnie nieżyłowa. Z drugiej strony zaznaczono, że bardzo wiele głosów wyrażało zgorszenie publicznym drugim ślubem Jacka Kurskiego. Może to też zabolalo arcybiskupa. Nie komentowano też skarg księży, że skandale pedofilskie, których sprawcami byli nieliczni duchowni, zniszczyły zaufanie do wszystkich i utrudniają pracę duszpasterską. Ani innego księżowskiego postulatów – zmniejszenia godzin katechezy w szkole.

Czy są w tym tekście głosy, które można uznać za pozytywne i inspirujące?

Tak, np. chwalcę liturgię albo że w Krakowie dobrze działa oaza rodzin. Że rozwinięta jest pomoc rodzinom biednym materialnie, choć zaznaczano też brak pomocy rodzinom z innymi problemami – z przemocą czy z alkoholem. Ciekawy jest postulat większego pluralizmu typów duszpasterstwa, a także uwagi o konieczności wypracowania modelu parafii innego niż terytorialny. ©©

MONIKA BIAŁKOWSKA jest teologką i dziennikarką. W serwisie YouTube prowadzi wideoblog „Reportaż z wycinków świata”.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

AUSTRALIA

Biskupi i członkowie synodu plenarnego Kościoła katolickiego Australii zgodzili się na wprowadzenie diakonatu kobiet (jeśli pozwoli na to prawo Kościoła) i że kobiety w każdej diecezji będą częścią „struktur decyzyjnych”. Zdecydowano się także na bardziej inkluzywne tłumaczenie Mszału Rzymskiego.

USA

Po raz pierwszy Watykan zatwierdził wybór brata zakonnego na przełożonego generalnego Zgromadzenia Świętego Krzyża, amerykańskiej wspólnoty zakonnej zarządzającej m.in. Uniwersytetem Notre Dame. W maju papież zmienił prawo kanoniczne, umożliwiając braciom bycie przełożonymi zakonników ze święceniami kapłańskimi.

BRAZYLIA

W São Paulo w wieku 87 lat zmarł z powodu powikłań pocovidowych kard. Cláudio Hummes, były prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa. Zaangażowany w reformy papieża Franciszka, był m.in. przewodniczącym Konferencji Eklezjalnej Amazonii.

WATYKAN

„Śmieję się z siebie i idę dalej” – taki sposób na własną starość ma papież. W rozmowie o codzienności ze swoim byłym rzecznikiem prasowym w archidiecezji Buenos Aires Franciszek przyznał, iż w Watykanie nauczył się tego, że nie wiemy, jak zarządzać kryzysami, a przy tym to właśnie kryzysy sprawiają, że się rozwijamy.

RDC **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”**
POLSKIE RADIO

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Papież Franciszek przekracza granice

DWIE KOBIETY wejdą w skład Dykasterii ds. Biskupów – zapowiedział papież Franciszek w trzeciej części wywiadu dla agencji Reuters. To zmiana nie tylko symboliczna. Wprawdzie obie panie nie odegrają istotnej roli w nominowaniu biskupów, jednak mogą wpłynąć na inny, nie mniej ważny obszar działań urzędu. Na mocy obowiązującego od 2016 r. prawa właśnie tam toczą się postępowania wobec biskupów oskarżanych np. o ukrywanie pedofilii. Do tej pory dykasteria słynęła z korporacyjnej solidarności: nie udzielała informacji, przeciwko komu prowadzi sprawę ani z jakiego powodu nakłada na hierarchów kary i pozbawia stanowisk. Przyjście osób z zewnątrz może przerwać złą milczenie i nadać pracom większej transparentności.

To nie koniec zmian. Papież zapowiedział też powierzenie kobiecie szefostwa w jednym z centralnych urzędów – być może w nowo utworzonej Dykasterii Edukacji i Kultury. Oznaczałoby to złamanie kolejnej bariery w Kościele – nie doktrynalnej, ale mentalnej – że władzę nad biskupami czy kapłanami może sprawować jedynie osoba równa im święceniami. ©P EDWARD AUGUSTYN

Wiara a wykształcenie

Z DALSZEJ I BLIŻSZEJ PERSPEKTYWY CBOS przyjrzał się religijności Polaków. Patrząc z dystansu, nie ma niespodzianek: w ciągu ostatnich 30 lat następuje powolny spadek odsetka osób określających się jako wierzące (z 94 do 84 proc.), szybzy ubytek praktykujących regularnie (z 70 do 42 proc.) oraz wzrost odsetka niepraktykujących (z 9 do 19 proc.).

Ciekawsza jest analiza korelacji poziomu wykształcenia i dziedziczenia wiary od matki. Im wyższe wykształcenie osoby badanej, tym łatwiej dziedziczy ona po praktykującej matce – praktykowanie, a po niepraktykującej – brak wiary i niepraktykowanie. Niższy poziom wykształcenia w pewnym stopniu blokuje dziedziczenie niewiary, blokuje jednak również przejmowanie gorliwości po głęboko wierzących i praktykujących matkach. ©P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

KRÓTKO

„Samogłów” Jakuba Prysaka oraz „Zniknięcie Janusza Klarnera” Franciszka Berbeki otrzymały nagrody na Tbilisi International Student Film Festival. Pierwszy zdobył Grand Prix, a drugi został doceniony za reżyserię. Z kolei na słowackim festiwalu Fest Anča specjalne wyróżnienie przyznano animacji „Okruski życia” Katarzyny Miechowicz.

DŁUGO

Czeszka Beata Parkanová zdobyła nagrodę reżyserską na festiwalu w Karlowych Warach za koprodukcję czesko-słowacko-polską „Stowo”. Wyróżnienie Europa Cinemas Label otrzymał z kolei „Fucking Bornholm” Anny Kazejak – może dzięki temu liczyć na wsparcie dystrybucji w Europie. Nagrodę krytyków FIPRESCI dostał film „Borders of Love” w reżyserii Tomasza Wińskiego.

WIĘCEJ

W Europie Zachodniej i Południowej po raz pierwszy od kilkunastu lat odnotowano wzrost sprzedaży książek – podaje „Presserwis”. Dzieje się to mimo rosnących cen papieru przekładających się na wysokie ceny książek. Dane zostały zebrane przez Europejską Federację Wydawców.

GŁOŚNIEJ

W Warszawie zagrał Coldplay. Aż 25 kompozycji złożyło się na show Brytyjczyków. Największą furorę zrobili jednak wersy „Snu o Warszawie” w ich wykonaniu.

TOK Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań 97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław 97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ŁODOWE MORZE. Laureatką Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za najlepszą książkę poetycką wydaną w 2021 r. została Małgorzata Lebda. Wyróżniono jej tom „Mer de Glace” wydany przez wydawnictwo Warstwy. Książka zawdzięcza swój tytuł nazwie najdłuższego francuskiego lodowca na zboczach Mont Blanc. Na śnieżnobiałej okładce wytyczono falujące linie, które rozciągają się niby wzór pęknięć, wyżyłbień – śladów działalności człowieka niszczącej lodową strukturę. Nagrodę za najlepsze tłumaczenie tomu poetyckiego na język polski wydane w latach 2018-2021 otrzymał Wojciech Charchalis za przekład wierszy Fernanda Pessoa, który ukazał się nakładem wydawnictwa Lokator. ©P MOCH

Łupanie kamienia nie wymaga kultury

WYKOPALISKA ARCHEOLOGICZNE dostarczają bogatej wiedzy o naszych początkach, ale nie mówią wszystkiego – np. jak trudno było naszym przodkom wykonać jakieś przedmioty. Dlatego archeolodzy czasem przeprowadzają eksperymenty, w których obserwują współczesnych ochotników wykonujących prehistoryczne zadania. W jednym z takich badań naukowcy z Uniwersytetu w Tybindze postawili ponad dwadzieścia osób przed urządzeniem ze schowaną nagrodą, do której można się było dostać po przecięciu liny trzymającej drzwiczki. Uczestnicy mieli do dyspozycji zestaw kamieni, z których dało się wykonać ostre narzędzie, ale nikt wcześniej nie uczył ich tego robić.

Okazało się, że badani spontanicznie stworzyli kilka prymitywnych metod wytwarzania narzędzi, przypominających technikę olduwajską, w której z owalnego rdzenia odłupuje się cieńsze ostrza. Zdaniem badaczy to argument za tym, że pojawiające się ok. 2,6 mln lat temu narzędzia olduwajskie nie wymagały żadnych form uczenia się kulturowego – mogły zostać niezależnie wynalezione w wielu miejscach. ©P ŁK

Łagodzi nie tylko obyczaje

ZANIM ZADANO MYSZOM BÓL, zaczęto im odzwiercać eleganckie kompozycje, mniej spójne i atrakcyjne dźwięki oraz biały szum. Badania opisane w „Science” sugerują, że u gryzoni, podobnie jak u ludzi, muzyka może uśmierzyć ból – poddane takiej terapii zwierzęta były mniej wrażliwe na wywołujący stan zapalny zastrzyk. Typ muzyki nie miał znaczenia, ale efekt był widoczny tylko wtedy, gdy intensywność dźwięku względem otoczenia była niska.

Jakie jest podłoże tego mechanizmu? Badacze wstrzyknęli myszom nieszkodliwego wirusa połączonego z białkami fluorescencyjnymi, co umożliwiło im śledzenie połączeń pomiędzy różnymi obszarami mózgu. Uwidocznili się m.in. ścieżki prowadzące od kory słuchowej do jąder wzgórze (uczestniczących w przetwarzaniu sygnałów czuciowych, w tym bólu). Dźwięki o niewielkiej intensywności zmniejszały pobudzenie docierające do wzgórze. Po kilku sesjach efekt utrzymywał się co najmniej dwa dni. Później, gdy stymulowano te szlaki u zwierząt, muzyka przestawała uśmierzać ból, a kiedy hamowano ich pobudzenie – przychodziło ukojenie.

To może być wskazówka do opracowywania nowych metod radzenia sobie z ostrym i przewlekłym bólem u ludzi. © KATARZYNA DZIADOWICZ



RZEKI TO ŻYCIE

Przepłynęła kraj galarem, na protest przeciw zaporze wyprowadziła krowy,
uplotła warkocz długi jak Białka.

Teraz, podczas suszy, Cecylia Malik pyta:
czysta woda do picia czy brudne kanały dla barek – co wybierasz?

MARCIN ŻYŁA



BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Cecylia Malik i aktywistki kolektywu Siostry Rzeki podczas „Marszu za Ziemię” zorganizowanego w ramach Globalnego Strajku Klimatycznego. Kraków, 27 września 2019 r.

LPIEC 1985 R. JEST CIEPŁY I KIEDY w Nowym Targu skręcają na Krościenko, słońce z prawej strony robi się nie do wytrzymania. Siedząca z tyłu dziesięciolatka kręci korbą do opuszczania szyb. Tak też źle. Auto wypełnia gorące powietrze. Mijają ich ciężkie stary. Turkoczą głośno, ledwo słychać „Nasze rendez-vous”, nową piosenkę Kombi, którą gra radio.

Wywrotki wiozą gruz po likwidowanej wsi Maniowy, gdzie ma powstać sztuczne jezioro. Mama podaje Cecylii wodę.

Przez następne cztery dni wędrują po górach Spiszu. Nie ma zmiłuj – tata to przewodnik beskidzki. Z młodszą siostrą, która właśnie idzie do zerówki, Cecylia czeka na dzień piąty – czas zejścia nad rzekę, kąpieli i ukojenia.

Trzydzieści siedem lat później, kiedy zamknie oczy i pomyśli: „rzeka” – ciągle zobaczy tę samą, Białkę. Prześwieconą słońcem, z piętrzącymi się falami, bystrzami, które czasem trudno przekroczyć, z białymi, granitowymi otoczkami, cudowną.

– Wybrałam rzeki dlatego, że są piękne – powie.

Źródło

W tej samej Białce, niedaleko miejsca, gdzie w przyszłości będzie się kąpać młoda Cecylia, jej babcia znakuje ryby. Jest biolożką, obroniła doktorat z psychologii ryb. Skarży się bliskim: moja praca idzie na marne, ryby z Białki zaraz znikną.

Są lata sześćdziesiąte. 715 kilometrów stąd, licząc biegiem rzek, kończy się budowa elektrowni wodnej. Niedługo potem zaporą we Włocławku zamyka dostęp do środkowej i górnej Wisły – oraz rzek, które uchodzą do niej powyżej elektrowni – wszystkim rybom migrującym: łososiom wiślanym, certom, trociom. W Krakowie ostatniego jesiotra wędkarze wyławiają w 1965 r. Waży 135 kilogramów.

Dla władz wielka zaporą to część planu uczynienia z najdłuższej rzeki Polski szlaku transportowego dla śląskiego węgla. Włocławek ma być pierwszą z ośmiu podobnych inwestycji, które planują w dolnym biegu Wisły. Pieniądzy starczy tylko na nią – oraz budowane w tym samym celu mniejsze śluzy przed Krakowem.

Przez kolejne pół stulecia Wisłę nie przepłynie ani jedna barka z węglem. Ale teraz nikt tego nie wie. Nikt nie wie, że na początku następnego wieku kraj zacznie regularnie nawiedzać susze, a woda stanie się cenniejsza. Nikt nie protestuje.

W końcu pojawiają się ludzie, którzy ostrzegają przed katastrofą. W latach 80. trafiają nad Wisłę pierwsi rzeczni aktywiści. Mają do przekazania jedną wiadomość: rzeki to nie tylko granice kultur i krain. Są tak potężne, że mogą wyznaczyć kres światu.

– Chodzi o coś więcej niż zapory. Rzeki to życie – mówi Cecylia.

Brzeg

To przedziwne. Jest z Krakowa, ale Wisłę odkrywa dopiero jako dorosła kobieta.

– Bo nie mamy prawdziwej rzeki – będzie się tłumaczyć. – Wisła płynie ➔



RAJESH KUMAR SINGH / AP / EAST NEWS

Radość w wodach Gangesu. Indie, 12 czerwca 2022 r.

Niech płyną wolniej

NA POZĄTKU LIPCA już w 250 polskich miejscowościach w Polsce władze apelowały o ograniczenie zużycia wody. W niektórych wprowadzono tymczasowe wyłączenia. Kalendarzem wielu rodzin zaczęły rządzić sieci wodociągowe: kąpiel albo pranie tylko wtedy, gdy jest woda. To, co dezorganizuje mieszkańców codzienność, hydrologi nazywają suszą hydrogeologiczną, czyli sytuacją, w której brak opadów obniża poziom wód powierzchniowych, co z kolei nieuchronnie prowadzi do obniżenia poziomu wód gruntowych i wyłączenia z użytku części ujęć wodociągowych. W Polsce około 70 proc. zapotrzebowania na wodę pokrywają źródła podziemne, najczęściej zapewniające wodę dobrej lub bardzo dobrej jakości. Z ujęć powierzchniowych – czyli rzek i zbiorników retencyjnych – korzystają zazwyczaj największe miasta. Nadające się do eksploatacji źródła wody w Polsce liczą około 14 kilometrów sze-

ściennych. Wykorzystujemy je w około 13 proc. – poza okresowymi, letnimi wzrostami, kiedy eksploatacja skacze do około 17 proc. Wody podziemne, zwłaszcza te w najgłębiej położonych złożach, są odporne na okresowe zmiany wielkości opadu i na razie nie notujemy zmiany ich zasobów.

JESZCZE W LATACH 1951-81 susze występowały w Polsce średnio co pięć lat. Od połowy lat 90. ubiegłego wieku przytrafiają się statystycznie już co dwa lata. Wiosenno-letnie burze i oberwania chmur, z apogeum w okresie od czerwca do sierpnia, przynoszą nad Polskę mnóstwo wody. Wysokie temperatury i bujna o tej porze roku roślinność sprawiają jednak, że większość szybko paruje. Zaso- by wód gruntowych odnawiała się dotychczas jesienią i zimą, kiedy niskie temperatury ograniczają znacząco parowanie. Teraz w dużej części kraju mamy mamy beżśnieźne, bo typową dla tej pory

roku cyrkulację powietrza w osi zachód-wschód zastępuje coraz częściej południkowa, z północy lub południa kontynentu. Nasz klimat nie zna już pór przejściowych. Hydrologów martwi zwłaszcza skrócenie przedwiośnia z typowymi dla tego okresu długotrwałymi, powolnymi roztopami. Nagłe ocieplenie na przełomie zimy i wiosny sprawia, że śniegi topnieją błyskawicznie, a uwolniona woda spływa następnie wysoką falą do morza.

W KONTEKŚCIE pogarszającej się sytuacji hydrologicznej kraju zapowiadany przez rząd pomysł regulacji największych polskich rzek na większości ich biegu i uczynienia z nich kanałów żeglugowych (obecnie do tego celu nadaje się niespełna 670 km z ponad 26 tys. km polskich rzek) brzmi szczególnie niepokojąco. Sama regulacja Wisły i Odry sprawi, że woda z wiosennych roztopów będzie spływać szybciej do Bałtyku (uregulowane rzeki mają zwykle węższe koryta i szybszy przepływ).

© © MR

→ otoczona murem, przed i za miastem stoją zapory. Krakowianin zwykle nie wie, jak wygląda Wisła.

W 2012 r. jest już malarką i rozpoznawaną w mieście aktywistką. Właśnie kończy protest przeciw zabudowie Zakrzówka, malowniczego terenu wokół zalanego kamieniołomu. Podchodzi do niej ornitolog Kazimierz Walasz: „Zakrzówek Zakrzówkiem, ale dla nas najcenniejszy jest las łęgowy nad Wisłą”.

Badacz chce sprawdzić, ile w Krakowie żyje dzikich zwierząt. Żeby je policzyć, wędruje wzdłuż miejskich rzek. Na łące w Toniach, niedaleko lasu łęgowego, pokazuje Cecylii inną mapę miasta. To schemat zwierzęcych wędrówek: tu trasa łabędzi, tam ścieżki saren.

Pływają razem. Cecylia orientuje się, że rzeki, kiedyś osie miast, teraz stały się ich kulisami. W Krakowie każda niesie inne śmieci. W Dłubni są telewizory, w Wildzie wózki z supermarketów. Oglądają użytek ekologiczny „Dolina Prądnika” – uroczysko z olbrzymimi olchami, gdzie rzeka swobodnie meandruje. Tu czysty żwir, pachnąca woda, szmer życia. Tam – kawałek dalej, gdzie rzeka wpływa do miasta i zmienia nazwę na Białucha – zabetonowany ściek. Cecylia brzydzi się dotknąć wody.

Zakole

Wkrótce dowiaduje się, że pracę rzeki można wycenić. Nieuregulowany odcinek rzeki o długości 300 kilometrów wart jest z grubsza 126 mln zł rocznie – tyle kosztowałaby analogiczna praca oczyszczalni ścieków. Awaria „Czajki” w Warszawie nie powoduje katastrofy ekologicznej i nie zatruwa Bałtyku także dlatego, że swobodna rzeka umie sama się oczyszczać. Dzięki piaskowi, żwirkom, zakolom, łęgom, gąbkom, wciągającym związki azotu i fosforu wierzbom, ślimakom, małżom i innym stworzeniom. Dzięki temu, że gdy płynie wolno i niezawiesz, rzeka rozlewa się meandrami.

Cecylia przekonuje kolejnych: – Wisła jest największą ptasią autostradą w kraju. Na jej piaszczystych wyspach mają jedzenie. To nasz główny korytarz ekologiczny, który zyskaliśmy dzięki temu, że byliśmy biedni i nie mieliśmy forsy, żeby zniszczyć rzekę. Wisła to nasz majątek.

Szuka ekspertów. Gdy w 2020 r. zobaczy w Warszawie wysychającą Wisłę, zapyta znajomego naukowca: co zrobić, żeby to się nie powtórzyło? W odpo-

dzi usłyszysz: nie wycinać lasów w górach. To one są najważniejsze dla wody na nizinach – przytrzymują wodę, produkują źródła.

Cecylia: – W górach jest najwięcej opadów. Woda może spływać rzekami i w pół dnia dotrzeć do Krakowa, ale jeżeli zostaną lasy, to wsiąkną i praktycznie cała zostanie w górach. Będzie zasilala źródła wody głębinowej. Tak zachowamy tę wodę.

Las też można wycenić: – Gdyby oszacować wartość Puszczy Karpackiej – pieniądze z wszystkich drzew i te, które można zaoszczędzić dzięki produkowanej wodzie – okazałoby się, że woda jest warta więcej.

Przełom

„Dzień dobry, chciałam się dowiedzieć, czy do Wisły mogą wrócić jesiotry”.

Kiedy Cecylia wchodzi do gabinetu Romana Żurka, hydrologa z Polskiej Akademii Nauk, profesor w pierwszym odruchu reaguje żartem: „Trzeba by zburzyć Włocławek”. Potem bez słowa włącza komputer i odpala prezentację. Pokazuje zdjęcia betonowanych rzek i potoków, które zaczynają zniknąć w Małopolsce.

Jest rok 2012, Polska niedawno otrzymała od Unii duże pieniądze na działania przeciwpowodziowe. Na południu, na górskich potokach, nawet tych najmniejszych – mają powstać progi i mury.

Profesor mówi Cecylii: „Nikt się tym nie interesuje, bo ludzie myślą, że to działania przeciwpowodziowe”. Wśród rzek przeznaczonych do regulacji jest Białka.

Rok później nad „prześwietloną słońcem, cudowną” Białką spotykają się już wszyscy: aktywiści, naukowcy, pierwsi prorocy, ekolodzy, mieszkańcy i ci, którym przeszkadza gwałt na krajobrazie. Cecylia wymyśla, że uplotą warkocz długości rzeki. W Krakowie do akcji włącza się galeria Bunkier Sztuki – tu mieści się zaplecze akcji, a na ścianie pierwszy raz zostaje powieszona dokumentacja niszczenia rzek w Polsce. Po cichu kibicują jej nawet lokalne urzędniczki do spraw ochrony środowiska, które mają wydać decyzję. Warszawa naciska: kopać rzekę. One potrzebują alibi: nie da się.

Dołączają uczniowie z miejscowego gimnazjum. Do Cecylii pisze nauczycielka: jest we wsi dyskusja, że jakaś artystka z Krakowa lansuje się na naszej sytuacji – proszę przyjechać i wszystko wyjaśnić.

Dają wodę, pokarm i obronę.
Tylko jedno chcą mieć rzeki
od człowieka
– miejsce dla siebie.
Swoją przestrzeń, dolinę.

Od razu odpowiada: pisze o swojej babci, która znaczyła ryby, baczowce rodziców, gdzie jeździ na wakacje, o tym, że rzekami zajmuje się długo. Organizuje w szkole prezentację. Książd wychodzi w trakcie, ale nauczyciele, zwłaszcza młodzi, sympatyzują z akcją. Na „tak” są wędkarze, którzy chcą pstrągów w Białce, jedynej w Polsce rzece o charakterze alpejskim. Przychodzi sołtys z ekipą, zdenerwowany, protest krzyżuje im plany.

A w kuluarach trwają rozmowy. Profesor Żurek zaczepia górala: „A gdyby pan dostał 400 tysięcy, przeprowadziłby się pan na drugą stronę drogi? Dużo taniej by to wyszło, niż regulować całą rzekę”. „To lepsze konsultacje społeczne od tych, które przeprowadziło państwo”, myśli, obserwując tę scenę, Cecylia.

Wezbranie

Jest też taka opowieść: przez to, że ludzie mogą się wybudować wszędzie, mogą rzekom zabrać każdą przestrzeń – zaczęły się powodzie. A wezbrania to są święta rzeki. Ta, raz na jakiś czas, na wiosnę, niesie wielką wodę. Potrzebuje się gdzieś rozlać. Jeżeli są domy, robi złą powódź. A jeżeli jest dolina, czyni dobro. Nanosi mady, użyźnia, powstają łęgi. Łęgi są gąbką, która bardzo powoli oddaje wodę, dzięki czemu woda nie znika po pięciu dniach upałów. Nie ma naglej suszy. Żeby w zgodzie żyć z rzekami, trzeba je szanować i zostawić im przestrzeń, gdzie będą się mogły rozlać w czasie wezbrań.

Na zachodzie Europy i w Ameryce Północnej zdarzają się już rozbiórki zapór. W Polsce jest tylko jedno miejsce, gdzie rzecę oddano z powrotem przestrzeni. Po wielkiej powodzi w 1997 r. Piotr Nieznański z niemieckiego oddziału Światowego Funduszu na Rzecz Przyrody (WWF) zna-

lazł miejsce na pilotaż ekologicznego projektu przeciwpowodziowego. Nad Odrą, niedaleko Lubiąża, odsunięto od rzeki wały – powstało miejsce o powierzchni sześciuset hektarów. Już parę razy zatrzymało powódź w okolicznych wsiach, a na jego terenie natura stworzyła jeden wielki rezerwat.

Teraz dla Odry są dwa równoległe projekty. Organizacje ekologiczne, w tym kilka niemieckich – bo Niemcy uznają Odrę za swoją najdłuższą rzekę – chcą w innych miejscach odsunąć wały. Jest też projekt państwowy: regulowania Odry, nowych zapór i ostróg, dla przywrócenia transportu.

Cecylia: – Który z tych dwóch projektów jest odpowiedni na czasy, gdy wiemy, że trzeba ratować świat?

Powódź

„Warkocze Białki” odnoszą częściowy sukces. Przez pięć lat obowiązuje zakaz ingerowania w rzekę. Potem przyjeżdżają koparki.

Ale po pierwszym rzeczonym proteście Cecylia już wie: połączone siły naukowców, aktywistów i mieszkańców dają energię nacisku na władze. A performans – nowy rodzaj rozmowy. Kiedy protestuje przeciw zaporze w Siarzewie, uczestnicy kontrmanifestacji mimowolnie uśmiechają się na widok jej happeningu.

W 2016 r. rząd decyduje o przystąpieniu do budowy dróg wodnych. Tysiące kilometrów rzek mają zostać uregulowane i pogłębione. „To by było najgorsze zniszczenie przyrody w historii Polski, o wiele większe niż to, co zaczyna się właśnie dziać w Puszczy Białowieskiej”, myśli Cecylia. Czterdzieści organizacji ekologicznych z całej Polski tworzy koalicję „Ratujmy Rzeki”.

Zastanawiają się na spotkaniach: dlaczego ludzie rozumieją, że wycinanie drzew jest złe, a z regulacją rzek nie mają problemu? Dlaczego tak walczą z rzekami?

Rzeki są ambiwalentne, nie są tylko dobre – próbują tłumaczyć. Zabierają, niszczą, ludzie się w nich topią, boją się ich. Ale też dają wodę, jedzenie, obronę. Dlatego zawsze budowano się wzdłuż rzek. Jedną rzecz chcą w zamian od człowieka: chcą mieć miejsce. Swoją przestrzeń, dolinę.

W 2018 r. Cecylia w Muzeum Etnograficznym w Toruniu ogląda ludową rzeźbę statku z postacią kobiety na dziobie →



PATRIK STOLLARZ / AFP / EAST NEWS

Wyschnięte koryto Renu w Düsseldorfie. Niemcy, 8 sierpnia 2018 r.

Wielkie i święte

ŁUDZKOŚĆ UCZYŁA SIĘ

cywilizacji nad rzeką. Życiodajne powodzie, niosące ze sobą osady bogate w substancje odżywcze, dzięki którym doliny rzeczne były najżyźniejszymi terenami uprawnymi, niewymagającymi praktycznie sztucznego nawożenia, sprawiały, że pierwsze wielkie cywilizacje zaczęły wyrastać właśnie nad brzegiem rzeki. Indus i kultura harappańska. Ganges i aryjskie prapoczątki Indii. Cywilizacje dorzecza Eufratu i Tygrysu. Chiny rozpięte między Huang-ho i Jangcy. Egipt przytulony do Nilu. Kultury dorzecza Mekongu.

WAŻNE RZEKI szybko staną się również święte. Ich bieg – jak pisze Mircea Eliade – utożsamia się ludzium z przemijaniem, a marnotrawienie czasu stanie się takim samym grzechem, jak marnowanie wody. Dla aryjskich braminów Ganges będzie Ganga Mata, Gangesem-Matką, która niesie życie;

późniejsze kultury dharmaiczne wzbogacą to przekonanie o wątek rzeki niosącej życie w odwiecznym cyklu sansary, narodzin i śmierci. Tysiące kilometrów na północ, u brzegów Jeniseju, do podobnych wniosków dojdą mieszkający tutaj Ketowie i Nganasowie, dla których bieg tej wielkiej syberyjskiej rzeki będzie główną siłą porządkującą świat w jego odwiecznej podróży z nieba do podziemnego królestwa bogini Chośadam. W Azji Przedniej podobny status zyska Jordan, święta rzeka judaizmu i chrześcijaństwa, w której Jan Chrzciciel będzie zanurzać swoich wyznawców, a opodal Nil – często czczony w Egipcie pod postacią Ozyrysa.

SKAMANDER, RUBIKON, ELBA, OKA „jak Wisła szereka”. Rzeki meandrują czasem nawet na karty historii, a wtedy z naturalnej granicy geograficznej stają się również cezura w dziejach narodów i kontynentów. Bywają też elementem politycznej mitologii – jak odcinek Jangcy, który towarzyszył Mao przepływając

w 1965 r., nie wykazując przy tym ponoć oznak zmęczenia, co przeciętnemu Chińczykowi, stroniącemu od pływania, będzie się wydawać wyczynem heroicznym.

NA MNIEJSZĄ SKALĘ

rzeka bywa nawet granicą między dobrem a złem, czystym i brudnym, bezpiecznym i groźnym. Rzymskie Zatybrze przez całe istnienie Imperium Romanum pozostanie dzielnicą walących się czynszówek, ciemnych zaułków i szemranych interesów, podczas gdy położony na drugim brzegu Eskwilin z równie ubogiej okolicy awansuje u progu cesarstwa do rangi dzielnicy luksusowej i modnej. To właśnie tu słynne ogrody stworzył Mecenaz, a kilkadziesiąt lat później, po wielkim pożarze Rzymu, Neron zdecyduje się ulokować spektakularny Domus Aurea. W Warszawie podobny los spotka Pragę i właściwie w każdym większym mieście przeciętym przez rzekę jej koryto stanowić będzie także granicę dwóch światów.

© © MR

→ – i innych na obu rufach. To Wisła i jej dopływy. Wymyśla: na ratunek Wiśle przyjdą inne rzeki. Powstaje kolektyw Siostry Rzeki. Znak rozpoznawczy: banery w formie niebieskich znaków drogowych z nazwami rzek.

W ciągu kilku lat zorganizuje akcje małe i duże: od warsztatów „Troć na Ołbinie” dla mieszkańców wrocławskiego osiedla po „Modę na rzeki”. W 2019 r. Siostry Rzeki spływają galarem z Krakowa do Gdańska. Po drodze organizują pokazy mody – strojów kąpielowych z second handów, ozdobionych cekinami i hasłami w obronie rzek. Przez zaporę we Włocławku przenoszą galar przy pomocy dźwigu. Dyrektor nie zgadza się na otwarcie śluzy. „Przepłyniecie, gdy wybudujemy zaporę w Siarzewie” – mówi.

Protestom nie ma końca, bo w Warszawie trwa etap odkurzania starych projektów, często jeszcze z PRL-u. W stołecznych ministerstwach, departamentach i biurach nadzoru wyciąga się z szuflad i folderów dawne plany. W Sejmie niektórzy posłowie mówią, że skoro Polska pustynnieje, trzeba zbierać wodę w sztucznych zbiornikach. (Dla laików – myśli Cecylia – to przekonujące). Są nowe, wielkie wizje rozwoju transportu. (Ale inwestycja w rzeczną infrastrukturę transportową nigdy się nie zwróci – to kolejna myśl Cecylii. – Nawet do Renu się dopłaca. A to rzeka, która niesie wody z lodowców, ma jej dużo. Wisła zaś w ziemi zamara. To jasne, że nie nadaje się na szlak dla barek).

Przepływ

Istotą rzeki jest ciągłość, przepływ – powtarza Cecylia. Pół wieku po Włocławku i przez zapory przed Krakowem poziom wody w Wiśle obniżył się tak, że zaczynają wysychać Kujawy i Puszcza Niepołomska. Poniżej zapory następuje erozja dna i poziom wody się obniża. Państwo ma pomysł: nowe zapory – w Siarzewie i Niepołomicach.

– To bez sensu. Zapora zatrzymuje to, co jest istotą rzeki: kamienie, żwir, glinki, piasek, rumosze, które niesie rzeka. W Stanach Zjednoczonych Arnold Schwarzenegger jako gubernator Kalifornii jeździł ciężarówkami i wrzucał żwir z powrotem do rzeki – opowiada Cecylia. – Za zaporą woda opada głębiej, wbija się w dno i poziom wody się obniża. We Włocławku tak bardzo, że nie da się otworzyć zapory.

Inwestycja, która powstała dla żeglugi, teraz ją tylko uniemożliwia.

– Wtedy, po jakimś czasie, trzeba będzie zbudować kolejną zaporę – dodaje od razu. – Zamiast zostawić rzekę w spokoju. Do czego ma służyć rzeka w XXI w.? W latach rozwoju przemysłowego myśleliśmy, że będzie służyła do taniego transportu i produkcji energii. A obecnie? Czy stała woda do picia, woda dla ludzi i przyrody – czy brudny szlak dla barek? Teraz, gdy susze coraz większe – co wybierasz?

Most

Jeden z ostatnich protestów kolektywu Siostry Rzeki odbywa się w Beskidzie Niskim, gdzie od lat istnieją plany wybudowania sztucznego zbiornika Kąty–Myscowa. W 2020 r. od domu do domu chodzą urzędnicy z informacją: będziemy was przesiedlać. Mieszkańcy zrazu nie wierzą – to już trzecie pokolenie, które to słyszy. Zgód na budowę długo nie było.

Cecylia: – Dzięki temu Myscowa jest niezniszczona, piękna, malownicza. Jest jednak problem: nie ma tu mostu. Do wsi przejeżdża się brodem. Mieszkańcy potrzebują mostu, bo bez niego do pracy czy szpitala trzeba nadrabiać kilkanaście kilometrów. A mostu nie ma, ponieważ urzędy wiedzą, że gdyby powstał, trudniej byłoby budować zaporę.

Do Myscowej zabiera Cecylię Jacek Engel z fundacji Greenmind. Chodzi z nim po wsi, przygląda się murowanej, zabytkowej cerkwi na wzgórzu. Widzi

Do tej wsi wciąż dojeżdża się przez bród.

Mostu nie ma, ponieważ urzędy wiedzą, że gdyby powstał, trudniej byłoby wybudować zaporę.

dolinę pełną krów. Myscowa produkuje najwięcej mleka w powiecie. Dla ludzi jest kluczowe, żeby tu zostać. Gdy będą przesiedleni, dostaną pieniądze – ale nie ziemię.

Wymyśla: to będzie protest krów. Mieszkańcy przyprowadzają zwierzęta, ubierają je w kolorowe koce z hasłami: „Tu mamy wypas” albo „Zapora nas nie pasi”. Pod remizą wywiesza baner: „Chcemy mostu, nie zapory”. Podchodzą ludzie. Mówią: „Kiedyś było tu tyle ryb...”.

Siostry Rzeki robią więc kolejny protest: wędrowkę po dnie przyszłej zapory – z kapelusami w kształcie ryb i laskami podróżników, na których malują zwierzęta pod ochroną. W którąś niedzielę mieszkający w okolicy artysta Mikołaj Czyżewski napełnia helem balony i zawiesza je na planowanej wysokości lustra wody – kiedy ludzie wychodzą z cerkwi, widzą balony nad jej dachem.

Ale rząd wciąż chce, żeby zapora Kąty–Myscowa została zbudowana.

Ujście

Lipiec 2022 r. jest bardzo ciepły, cieplejszy od poprzedniego. Dzisiejszy news o suszy: we wsi Bolechowice zarządzono racjonowanie wody. Ludzie skarżą się na dwugodzinne okno, nie zawsze zdąży się zrobić pranie.

Cecylia mówi, że po przyjeździe do nowego miejsca dobrze wspinać się na najwyższą górę – „żeby zobaczyć, gdzie się jest”. A potem zejść nad rzekę, bo to, jaka jest, mówi coś o ludziach przy niej. Późno już, ciemne chmury zakryły Tatry Bieleckie, idą ku nam, teraz zdążymy tylko wejść na halę. Tu, niedaleko od bacówki rodziców, miejsc dzieciństwa, do których, jak woda, się wraca.

Ze szczytów Górców, Pienin i Beskidów, które stąd widać, spływają wody do dwóch mórz. W dole Jezioro Czorszyńskie, którego dno czyszczono, gdy Cecylia przyjeżdżała tu jako dziesięcioletka. Jan, jej ojciec, który wtedy ciągał ją po górach, zmarł tego marca.

Kiedy rozmawiali ostatni raz, chciała, aby przypomniał jej melodię, którą kiedyś układał. Melodię do psalmu:

*Rzeki swój głos podnoszą,
rzeki swój szum podnoszą,
ponad szum wód rozległych,
ponad potęgę morskich kipieli,
potężny jest Pan, na wysokościach.*

© © MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabić,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmarska, Anna Pietrzykowska, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja i redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
Reklama, promocja: promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
Prenumerata: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Kołacz



PRAWIE DWA TYSIĄCE LAT PRZED KAROLEM Marksem rabin Eleazar syn Azarii stwierdził, że byt określa świadomość. Zostało to odnotowane w traktacie mądrościowym tymi słowami: „Jeśli nie ma mąki, nie ma Tory”. Można też półzartem stwierdzić, że

jeśli jest mąka (zwłaszcza chlebową) i zagniatamy już ciasto – to dopiero będzie Tora! Co mam na myśli?

Na razie Najwyższy syci manną przemierzające pustynne bezdroża Dzieci Izraela, tak jak zapowiedział: „Oto spuszczę wam deszczem chleb z nieba” (Wj 16, 4; Cyllow). Codziennie na każdego czeka jego porcja – poza sobotą, albowiem począwszy od pierwszego pustynnego piątku, w którym „zebrali chleb w dwójnasób, po dwa omery na każdego” (wers 22), mają przyrządzać „to, co przyniosą, a będzie podwójną ilością tego, co zbierać będą codziennie” (wers 5). Kiedyś jednak Izraelici wejdą do Kanaanu i zaczną „pożywać chleb tej ziemi” (Lb 15, 19). Wówczas zacznie obowiązywać przykazanie: „Jako pierwocinę ciasta waszego zbierajcie kołacz [hebr. *chala*] na daninę; jako daninę z gumna, tak zbierajcie ją. Z pierwociny ciasta waszego oddawajcie Wiekuistemu daninę w pokoleniach waszych” (wersy 20-21). Wypieki te trafią do osobistych sług Wiekuistego: potomków Aarona. Jak zauważa anonimowe dzieło z XIII-wiecznej Hiszpanii, przy „daninie z gumna” kapłani muszą się napracować – ziarno trzeba przesiać i zmielić, natomiast tu dostaną produkt do bezpośredniego spożycia. W kolejnym wieku lokalny komentator pisze, iż chleb z nieba był święty, natomiast „chleb (tej) ziemi” zostanie uświęcony poprzez przykazanie oddzielenia „kołacza”. Prorok Ezechiel czyni rozdział między pierwocinami związanymi ze Świątynią a „kołaczem na daninę”: „Również pierwociny z wszelkich owoców najwcześniejszych, jak i wszelka dań ze wszystkich dani waszych do kapłana należą – niemniej pierwociny dzieł waszych oddacie kapłanowi, aby błogosławieństwo spoczywało na domu twoim” (Ez 44, 30). Przywodzi to na myśl opowieść o Eliaszu i wdowie, którą poprosił o upieczenie mu placuszka z pozostałej podczas głodu resztki mąki (zob. 1 Krl 17, 8-16).

Do dziś przy sporządzaniu wypieków z co najmniej jednego i dwóch trzecich kilograma mąki (są też inne opinie) z pięciu zbóż – pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa i orkisz – oddziela się niewielki kawałek ciasta (hebr. *chala*) i zwęglą go, aby uczynić zadość przykazaniu nawet w sytuacji, gdy kapłani są w permanentnym stanie nieczystości rytualnej i nie mogą jeść tego, co poświęcone. Ów obowiązek oddzielenia spoczywa na osobach wszelkiej płci, ale tradycyjnie jest prerogatywą kobiet. Cyllow nie bez kozery tłumaczy *chala* jako „kołacz”. Jak to się stało, że *chala* zaczęła oznaczać również chałkę, tradycyjne szabatonowe pieczywo? Przyjdzie czas również i na tę historię. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Jezus i Budda



JEZUS WSTĄPIŁ PO DRODZE DO WIOSKI. „Tam przyjęła Go do swego domu pewna kobieta, imieniem Marta. Miała ona siostrę o imieniu Maria. Ta usiadła u stóp Pana i wsłuchiwała się w Jego słowo. Marta natomiast była pochłonięta licz-

nymi posługami. Zatrzymała się więc i powiedziała: »Panie, nic Cię to nie obchodzi, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła«. Pan jej odpowiedział: »Marto, Marto, martwisz się i niepokoisz o wiele, a jedno jest potrzebne. Maria wybrała dobrą część, która nie będzie jej odebrana«.

Jeśli w Ewangeliach gdzieś można spotkać Jezusa, to podobnie jak w przywołanej Ewangelii Łukasza, na poczęstunkach, przyjęciach, ucztach. Drugie pewne miejsce to domy teologów, rabinów oraz znienawidzonych poborców podatkowych i wojskowych. Najwidoczniej Jezus najlepiej poczuł się pośród tych, na których pobożny i porządny człowiek nie powinien nawet popatrzeć. Z tymi społecznymi wyrzutkami Jezus nie miał szczególnego kłopotu, Jego utrapieniem i niekończącą się troską byli święcie przekonani, że nikomu nic do tego, jak oni sobie życie układają, byle było szczęśliwe i nieważne, że po trupach – w znaczeniu przenośnym i dosłownym. Unikali oni i uciekali przed Jezusem ze strachu, że za głęboko zajrzy im w oczy i do portfela. Robili wszystko, żeby nie dopuścić do głosu cienia wątpliwości, co do ich religijno-moralnej czystości. Wobec takich szczęśliwców Jezus bywał bezradny. Coś z tego podzwania w zachowaniu i słowach Marty.

Pretensje Marty można zrozumieć. Nieciekawie wyglądałoby, gdyby goście kieszki marsza grały. Ale chodzi o co innego, o to „jedno, które jest potrzebne”. Tym jednym jest ta oto chwila i to, co teraz oto niespodziewanie zaistniało i na razie trwa. I dlatego, że trwa na razie, trzeba się tym koniecznie zająć. Nie wiemy, co było dalej, jak siostry rozwiązały ten dylemat. Miejmy nadzieję, że Jezus kolację dostał, trudno iść spać na głodnego. Ale skoro i nas zaproszono na tę kolację, to i ugoszczono i na drogę dano gościńca.

Na Watykanie w czerwcu też odbyło się spotkanie papieża Franciszka z buddystami z Tajlandii. Wtedy papież powiedział: „Budda i Jezus rozumieli potrzebę przewyciężenia egoizmu, który rodzi konflikty i przemoc. Dhammapada podsumowuje nauki Buddy w następujący sposób: »Unikaj zła, kultywuj dobro i oczyszczaj swój umysł – oto nauka Buddy«. Jezus powiedział do swoich uczniów: »Daję wam nowe przykazanie: abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiowałem«. Naszym zadaniem jest dziś prowadzić naszych wiernych do bardziej żywego zrozumienia prawdy, że wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami”. A jeszcze nie tak dawno wszystkich pogan hurtem wysyłaliśmy do piekła. ©

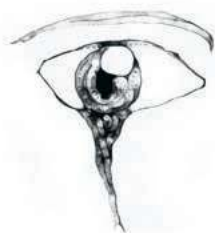
ABP GRZEGORZ

Ryś:

Duch wygania do pracy

Mówi Jezus: „Gdy spytają was: »Jaki jest znak Ojca w was?«, odpowiedzcie: »Ruch i spoczynek«”.

EWANGELIA TOMASZA



Jeśli nie chcesz jutro być
lepszym niż dziś
– po co ci jutro?

NACHMAN Z BRACŁAWIA



OSTATNIO LITURGIA dwukrotnie – w wersji Mateusza i Łukasza – przyniosła nam tekst polecenia Jezusa: „Żniwo wpraw-

dzie wielkie, ale robotników mało; proście więc Pana żniwa, aby posłał robotników na swoje żniwo” (Mt 9, 37n; Łk 10, 2).

Słowa zapisane przez Ewangelistów są te same, ale konteksty ich wypowiedzenia inne. U Mateusza polecenie to towarzyszy pierwszemu posłaniu Dwunastu. Niesie więc w sobie wezwanie do modlitwy o – jak słyszymy to najczęściej – „powołania kapłańskie”. U św. Łukasza polecenie modlitwy pada w kontekście wysłania siedemdziesięciu dwóch – a więc nie apostołów. Pan posyła „uczniów”. Powodem posłania nie są święcenia kapłańskie i przeznaczenie do jakiejś „wyjątkowej” misji – wystarczającym powodem jest samo bycie uczniem. Mamy się modlić o powołania kapłańskie dla Kościoła i o powołania świeckich w Kościele.

W obu zapisach pada to samo słowo dotyczące posłania. W greckim tekście mamy tu słowo *ekbállo*. Może ono znaczyć tyle co „posłać”. Pierwsze jednak jego znaczenia kryją w sobie o wiele więcej gwałtowności: „wyrzucić”, „wypędzić”. Kiedy odczytujemy te znaczenia, to Jezusowa prośba przedstawia nam się nieco inaczej. Nie chodzi o to, że nie ma „powołanych”. Są! Tylko im się nie chce ruszyć do misji. Siedzą w bezpiecznym zacisku swojej prywatności i nie zamierzają poważniej się angażo-

wać. Potrzebna jest wielka moc Ducha Świętego, który – mówiąc najprościej – pogoni ich do roboty. I nikt z nas nie wyobraża sobie tej siły inaczej, jak tylko w formie głębokiego, wewnętrznego (!) imperatywu, któremu nie sposób się oprzeć.

Nie chodzi więc o to, że nie ma kapłanów. To komentował już w przejmujący sposób św. Grzegorz Wielki. „Świat pełen jest kapłanów – pisał – tylko nie ma robotników”! Łatwo jest wziąć święcenia; jeszcze łatwiej – miejsce w kościelnej hierarchii; to jednak wcale nie musi się przełożyć na jakiekolwiek zaangażowanie w procesie ewangelizacji.

Analogicznie jest w przypadku ludzi świeckich. Bóg nieustannie ich powołuje i wyposaża w wielorakie charyzmaty, posługi oraz działania. Muszą być jednak jeszcze przez tego samego Ducha „wgnani” do pracy ewangelizacyjnej. Tu „wytaniająca” siła Ducha musi być zwykle jeszcze większa niż w przypadku duchownych. Musi przełamać nie tylko osobiste lęki czy poczucie wstydu lub niekompetencji. Musi jeszcze przełamać opór ze strony duchownych, którzy nie potrafią sobie ani wyobrazić, ani – tym bardziej – stworzyć innego Kościoła niż sklerikalizowany i w imię tego karykaturalnego modelu gotowi są zgasić każdy dar Ducha w „nie-duchownych”. Modlimy się o takie mocne doświadczenie posłania w naszych świeckich Siostrach i Braciach, by ich duchowe uposażenie zajaśniało – i zadziało – w pełni w Kościele. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 VII)

16. niedziela zwykła: Rdz 18, 1-10a; Ps 15;
Kol 1, 24-28; Łk 10, 38-42;
Poniedziałek: Mi 6, 1-4. 6-8; Ps 50;
Mt 12, 38-42;
Wtorek: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 85; Mt 12, 46-50;
Środa: Jr 1, 1. 4-10; Ps 71; Mt 13, 1-9;

Czwartek: Jr 2, 1-3. 7-8. 12-13; Ps 36; Mt 13, 10-17;
Piątek: Pnp 8, 6-7 albo 2 Kor 5, 14-17;
Ps 63; J 20, 1. 11-18;
Sobota: Ga 2, 19-20; Ps 34; J 15, 1-8;
17. niedziela zwykła: Rdz 18, 20-32; Ps 138; Kol 2, 12-14; Łk 11, 1-13.

Wybrał PIOTR SIKORA



WIDMO KRAŹY NAD PREZESEM

Jarosław Kaczyński ruszył w Polskę, bo uważa, że jego partia straciła energię i może przegrać wybory. Jednak działacze PiS nie dostrzegają w nim już lidera, za którym poszliby w ogień. Nawet bać się go nie widzą powodu.

MAREK KĘSKRAWIEC



Prezes Jarosław Kaczyński po posiedzeniu Sejmu. Warszawa, 6 lipca 2022 r.

Wtedy właśnie doszło do splotu „niefortunnnych zdarzeń”. Nadeszła pierwsza wielka fala pandemii z liczbą zachorowań sięgającą dziennie 28 tys. przypadków, a Polacy zaczęli mieć poważne wątpliwości co do tego, czy władza dobrze radzi sobie z covidem. Wystarczy przypomnieć jeden fakt: z funkcji chwilę wcześniej ustąpił minister zdrowia Łukasz Szumowski, który na początku pandemii wygrywał rankingi zaufania społecznego, a pół roku później był już skompromitowany nieudanymi zakupami resortu (m.in. słynne respiratory zakontraktowane u byłego handlarza bronią) oraz sprawą podejrzanych milionowych grantów otrzymywanych przez jego krewnych. Na dokładkę w październiku 2020 r. na skutek orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego zaostrzono prawo aborcyjne, a na ulice wyszły protestujące tłumy. Partia władzy straciła wówczas niemal 10 proc. poparcia w ciągu 2,5 miesiąca. I nigdy już nie wróciła do swych najwyższych notowań.

Dziś ta tendencja stała się jeszcze bardziej wyraźna. Najlepsze wyniki PiS to 34-36 proc., a jeśli sporadycznie pojawiają się korzystniejsze rezultaty, to tylko w badaniach prowadzonych na zlecenie instytucji ideowo bliskich władzy.

I choć PiS po siedmiu latach rządów wciąż jest liderem rankingów, to z naszych informacji wynika, że w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego po raz pierwszy mówi się o widmie porażki, tym bardziej realnej, że czekają nas długie miesiące kryzysu energetycznego i niepewna sytuacja na Wschodzie. Niepokojące zmiany zaobserwowano zwłaszcza na wsi, której poparcie było w ostatnich latach kluczem do ogólnopolskiego sukcesu PiS. To dzięki ciężkiej pracy w terenie udało się ją wyleczyć z sympatii do Polskiego Stronnictwa Ludowego. Dziś jednak nastroje są tam coraz gorsze, a czar PiS jako partii, która radzi sobie z każdym kryzysem, prysł. Zwłaszcza wśród rolników, gdzie według CBOS poparcie dla ugrupowania Kaczyńskiego spadło rekordowo – z 62 do 27 proc.

Dawnych wspomnień żar

– Wykonaliśmy proste zadanie matematyczne. Na podstawie sondaży i we-

wnętrznym analiz „napisaliśmy” scenariusz zdarzeń przy wariacie jednego i dwóch bloków opozycji. W obydwu możemy przegrać – mówi anonimowo jeden z posłów PiS, tłumacząc odejście Jarosława Kaczyńskiego z rządu i jego rozpaczę właśnie objazd Polski. – Oczywiście jest tu wiele niewiadomych, gdyż przy naszym systemie przekładania głosów na mandaty wiele zależy od tego, czy do Sejmu wejdą Konfederacja i PSL. Ale jedno jest pewne: bez jakiegos przełomowego pomysłu, który przywróci energię, możemy już zacząć wspominać lata spędzone w ławach opozycji.

Co ciekawe, mówiąc o „przełomowym pomysle”, mój rozmówca nie myśli wcale o kolejnych programach społecznych. W środowisku PiS wiedzą bowiem, że kasa państwa jest pusta i walka toczyć się będzie raczej o utrzymanie tego, co jest. Inflacja wymyka się spod kontroli, co wyklucza kolejne transfery gotówki. Jednocześnie coraz więcej Polaków dostrzega, iż np. pieniądze z programu Rodzina 500 Plus tracą na wartości (świadczenie wprowadzone w 2016 r. jest dziś realnie warte ok. 380 zł).

Jeśli PiS ma się utrzymać przy władzy, kluczem do sukcesu musi być przywrócenie życia w strukturach partyjnych. Dziś – jak twierdzi mój rozmówca z otoczenia prezesa – zamieniły się one w przedsiębiorstwo, które otrzymuje z budżetu państwa ponad 20 mln zł rocznie (PO – niewiele mniej), a do tego obsadza setki instytucji, agend rządowych i spółek. To są często świetnie płatne stanowiska i nawet jeśli ktoś uważa, że obejmujący je działacze partyjni wcale się nie przemęczają, to i tak na pracę dla struktur partyjnych nie starcza im głowy, woli i czasu.

– Nie ma już w nas tego żaru, jaki był przed laty. Szef jedzie więc w Polskę, by zburzyć ten komfort i poustawić szachownicę na nowo – mówi polityk PiS. – Oczywiście zaoferujemy jakiś ważny program społeczeństwu, ale kluczem do zwycięstwa jest doładowanie partyjnych baterii.

PiS liczył do niedawna, że kłopoty wizerunkowe wynikłe z inflacji, a zwłaszcza rosnących kosztów energii zostaną zrównoważone przez naturalną skłonność do skupiania się narodu wokół władzy w tragicznych momentach historii. Okazało się jednak, że pomimo najazdu Rosji na Ukrainę, tzw. efektu flagi nie daje się zauważyć. Zdaniem prof. Jarosława Flisa, →

WPRAWIE I SPRAWIEDLIWOŚCI JUŻ WIEDZĄ, że skończyły się czasy, gdy partia regularnie zyskiwała w sondażach ponad 40 proc. poparcia, bijąc rekordy latem 2019 r. i na samym początku pandemii, gdy słupki zatrzymywały się dopiero przy 47 proc. Nawet wówczas zdarzały się wprawdzie nagłe spadki popularności, ale były krótkotrwałe i następowały tylko, kiedy PiS wywoływał niezrozumiałe dla wielu Polaków konflikty z Unią Europejską.

Teraz jest inaczej. Z analizy sondaży najważniejszych polskich instytutów badających opinie publiczną wynika, że przełom nastąpił już jesienią 2020 r.

→ socjologa z UJ i stałego współpracownika „Tygodnika”, nie ma w tym nic dziwnego, bo ten rodzaj zbiorowego uniesienia jest właściwy – wbrew naszym stereotypom – raczej krajom germańskim (oraz Irlandii i Finlandii) niż słowiańskim czy romańskim. Co zresztą nie musi być dla PiS złą wiadomością, bo oznacza, że osłabienie wojennego napięcia w społeczeństwie nie obróci się przeciwko władzy. O ile oczywiście da sobie ona radę z ekonomicznymi wyzwaniem kryzysu związanego z tym konfliktem i wojną handlową z Rosją.

Pełna dekoncentracja

Odchodząc z rządu Jarosław Kaczyński stwierdził: „Muszę się skoncentrować na tym, co jest dla przyszłości Polski najważniejsze. To nie tak, że przeceniam swoją rolę, chodzi po prostu o to, że partia musi odzyskać werwę, bo zbliża się ten czas, który dla każdej partii politycznej na świecie jest najważniejszy. Wybory”. Prezes wyraźnie zasugerował przy tym, że nie ma mowy o rozpisaniu ich we wcześniejszym terminie – odbędą się zgodnie z planem jesienią 2023 r. Przyspieszanie ich w warunkach wojny mogłoby wystawić nas na atak propagandowy Rosji w celu politycznej destabilizacji Polski, a poza tym operacja rozwiązania parlamentu wcale nie jest prosta. Najłatwiej można by to zrobić nie uchwalając budżetu, oznaczałoby to jednak głosowanie dopiero na wiosnę. Poza tym partia, której rządy rozbijają się o budżet, zawsze sondażowo traci, zyskując u części elektoratu opinię nieudacznika. To zaś przy obecnym poziomie poparcia dla PiS może być pomysłem przyspieszającym porażkę. Kaczyński ma już zresztą złe doświadczenie z taką grą *va banque*. Zaryzykował przeprowadzenie szybszych wyborów w 2007 r. i stracił władzę na osiem lat.

W maju prezes PiS miał więc zdecydować, że zamiast przyspieszać wybory nie dające żadnej gwarancji sukcesu, lepiej zabrać się za mozolną pracę u partyjnych podstaw. Najpierw dojdzie do rewolucji kadrowej w regionach, a potem partia ma wrócić do spotkań z wyborcami, czyli do tego, co było jedną z podstaw jej sukcesu w 2015 r. Działacze mają przypomnieć elektoratowi wszystkie programy społeczne, reformy podatkowe i dodatkowe emerytury, gdyż naród uznaje je już za oczywistość i zapominał, kto jest ich autorem. Jednym z lejtmotywów ma być powtarzanie, że PiS dał ludziom te miliardy,

które w czasach PO były „rabowane”, jak stwierdził Kaczyński miesiąc temu podczas konwencji PiS.

Kłopot w tym, że to już nie jest rok 2015, lecz 2022, prezes nie ma 66 lat, tylko 73. Widać wyraźnie, że jest w gorszej kondycji fizycznej, choć między bajki można włożyć podchwytywane przez media plotki na temat szeregu tajemniczych chorób, na które miałby cierpieć – są one raczej wyrazem bezradności opozycji, która nie mając pomysłu na siebie, liczy, że problem „rozwiąże się sam”. To znaczy Kaczyński zachoruje i nie będzie mógł rządzić partią, a z uwagi na fakt, że nie ma wyznaczonego następcy, całe środowisko zacznie się spierać i rozpadać. Pojawiają się co prawda coraz liczniejsze pogłoski, że Kaczyński przygotowuje na swego następcę ministra obrony Mariusza Błaszczaka, ale to opozycji nie martwi. Panuje w niej bowiem przekonanie, że Błaszczak ma zbyt słaby autorytet, by utrzymać PiS w całości.

Zostawmy jednak myślenie życzeniowe opozycji, gdyż żadna konkretna decyzja o schedzie po Kaczyńskim nie zapadła i szybko nie zapadnie. Prezes nie szykuje się na polityczną emeryturę co najmniej do następnych wyborów w PiS, które są za trzy lata. Choć oczywiście młodszy już nigdy nie będzie, ma wszczepioną endoprotezę stawu kolanowego, a zadanie zaprowadzenia porządku w partyjnych strukturach wydaje się wyjątkowo ambitne. Jeden z ważnych polityków PiS z bólem przyznał mi, iż „po szefie widać, że się starzeje”. I o ile starsi działacze wciąż jeszcze traktują go jak niekwestionowanego lidera, to wśród młodszych pojawiła się moda na wytykanie mu błędów.

Tłuste koty sobie śpią

Marazmowi i zgorzknieniu w partii ma zaradzić przeprowadzana właśnie rewolucja kadrowa. Zamiast 41 okręgów, PiS dzieli się dziś na 94, tyłu jest też nowych pełnomocników regionalnych. Początkowo ze stanowisk partyjnych mieli odejść ludzie pełniący funkcje w ministerstwach i w prezydium Sejmu lub Senatu. Kłopot w tym, że zanim ten system za funkcjonował, już został zmieniony pod wpływem niezadowolonych „baronów”. Kaczyński nie chciał mnożyć frustracji i zgodził się, by ponad okręgami znalazło się jeszcze szesnastu opiekunów wojewódzkich. Kiedy spojrzysz na listę tych „opie-

kunów”, widać, że prezes umieścił na niej prawie samą wierną od lat gwardię: Beate Szydło, Elżbietę Witek, Andrzeja Adamczyka, Mariusza Błaszczaka, Joachima Brudzińskiego, Piotra Glińskiego, Henryka Kowalczyka, Marka Kuchcińskiego, Mateusza Morawieckiego, Jacka Sasina, Marka Suskiego czy Ryszarda Terleckiego. Młode kadry PiS reprezentują tylko wice-minister rodziny Anita Czerwińska (52 l.) i minister edukacji Przemysław Czarnek (45 l.) – ten ostatni zawsze stawiany za wzór niezwykle ciężkiej pracy w terenie. Właśnie do tego PiS ma teraz wrócić. Jednak gdy ma się przed oczami cały ten zestaw nazwisk, trudno uwierzyć w przypływ nowej energii.

Zmian jest więcej na niższych szczeblach. Lokalni działacze przejęli zarządzanie partią w Gdańsku (Tomasz Rakowski), Lublinie (radny Piotr Breś), Łodzi (radny Krzysztof Stasiak), Poznaniu (znany wydawca Tadeusz Zysk). Nie zmienia to jednak wiele, gdy się spojrzy na nazwiska wszystkich 94 liderów okręgów. W zdecydowanej większości rządzą nimi wojewodowie, marszałkowie lub parlamentarzyści. Zdarzają się pośród nich ludzie młodszy lub szerzej w Polsce nieznani, ale zazwyczaj to osoby, które o losach PiS decydują od lat, jak Stanisław Karczewski, Antoni Macierewicz czy Krzysztof Tchórzewski.

Siedem lat rządzenia Polską, nieustanne bitwy z UE i opozycją, wewnętrzne konflikty o stanowiska oraz nieuchronne zepsucie władzą i łatwymi pieniędzmi – wypaliły energetycznie, ale też ideowo to środowisko. W regionach potworzyły się koterie i układy, narosło wiele konfliktów, nawet nie tyle frakcyjnych, co osobistych. Kaczyński co prawda liczy, że jest w stanie przeanalizować i poukładać ten kosmos na nowo, ale nawet w partii działacze mają wątpliwości co do skuteczności prezesa. Realia kolejnych spotkań trwającego właśnie objazdu po Polsce też nie są zachęcające. Odwoływanie się do mitu brata, opowieści o niskich zarobkach lekarzy w Niemczech oraz ironiczne uwagi o operacjach zmiany płci i osobach transpłciowych są co najwyżej echem poprzednich kampanii – świadczą tylko o braku nowych ludzi oraz nowych pomysłów na mobilizację i powiększenie elektoratu.

– Krótko i na temat: kiedyś Kaczyński budził uwielbienie, a jego słowa przekładały się na czyny. Prowadziłem wiele roz-

mów z ludźmi PiS i nawet im zazdrościłem tej wiary, że „prezes zawsze coś wymyśli i wyciągnie nas z kłopotów”. Pamiętam też strach działaczy przed nim i szacunek do tego, co mówi. Dziś to już przeszłość. Dokładnie 3 lipca ubiegłego roku mówił o syndromie tłustych kotów i zapowiadał rozliczenie z nepotyzmem w partii. No i co takiego się przez ten czas stało? Nic. Doły partyjne widzą, że stary samiec alfa już tylko szczeka, ale nie gryzie – to z kolei dosadna opinia prosiącego o anonimowość polityka Solidarnej Polski.

Rzeczywiście, rok temu na kongresie PiS Kaczyński sam mówił o zamykaniu się partii, niechęci do pracy, którą zastąpiła walka o stanowiska. Próżno by jednak szukać efektów tej konstatacji, przykładów karania za nepotyzm i afery albo jakiejś spektakularnej rezygnacji wywołanego do tablicy polityka. Najbardziej znana dymisja wiąże się z trwającą miesiąc żalosną procedurą zmuszania do odejścia wiceministra sportu Łukasza Mejzy, który skompromitował się organizowaniem zagranicznych wyjazdów dla osób ciężko chorych, by korzystali z drogich i nieskutecznych terapii. Tyle że Mejza nawet nie należał do PiS.

Dziś w Prawie i Sprawiedliwości panuje więc raczej przekonanie, że prezesa stać już tylko na połajanki, a organizm partii po przejściu władzy do tego stopnia się rozrósł, że szef już go nie ogarnia. W jego najbliższym otoczeniu nie ma też nikogo młodego i zaufanego, kto dawałby mu rady na miarę błyskawicznie zmieniającego się świata. Dlatego ostatnie pomysły reorganizacji partii są wewnątrz niej oceniane z dużym sceptycyzmem czy wręcz obojętnością.

Łaskawy jak Ziobro

Kaczyński ma jeszcze jeden problem, równie ważny. Nazywa się Zbigniew Ziobro. Tak, to brzmi jak zgrany refren, ale nie sposób pominąć jego kolejnych przejawów. Można obśmiewać pomysły wstrzymania składki do Unii Europejskiej albo dziwić się, że minister rządu dyskutuje publicznie ze swoim szefem oraz chce się z nim zakładać o śliwowicę, niedwuznacznie sugerując, że premier Morawiecki poszedł na ustępstwa wobec Brukseli i oszukał koalicjanta. To jednak bardzo czytelna taktyka. Ziobro rzeczywiście jest politykiem niechętnym Unii w jej obecnym kształcie i szczerze to ko-

Siedem lat rządzenia,
**nieustanne bitwy z UE
i opozycją, wewnętrzne
konflikty o stanowiska**
oraz nieuchronne zepsucie
władzą i pieniędzmi
– wypaliły PiS energetycznie,
ale też ideowo.

munikuje, licząc na wsparcie antyeuropejskiego elektoratu. Wie też, że Kaczyński najchętniej pozbyłby się go z rządu, co publicznie przyznaje wicemarszałek Ryszard Terlecki, prawa ręka prezesa. Pozbyłby się, ale nie bardzo może.

Po rozpadzie środowiska Jarosława Gowina PiS nie ma dziś oprócz Solidarnej Polski żadnego koalicjanta o realnym potencjale. Istnieje co prawda szansa na powyborczy sojusz z Konfederacją, ale ta partia jest ostatnio kompletnie nieaktywna i toczy ją wewnętrzny spór narodowców z tzw. wolnościowcami. Istotę konfliktu streszcza dowcip, że politycy Konfederacji spotykają się tylko w niedzielę rano: jedni idą do kościoła, a drudzy wracają z nocnej imprezy. Dziś Konfederacja może liczyć co najwyżej na wzrost nastrojów antyukraińskich, tyle że pójsie tym tropem raczej wykluczy koalicję z PiS, który jednoznacznie postawił na wsparcie dla Kijowa.

Ziobro wie, że Kaczyński nie ma wielkiego pola manewru, ale sam nie ma pewności, jak zostanie potraktowany przy układaniu list wyborczych za rok. Może się okazać, że w ostatniej chwili otrzyma ofertę np. połowy mniej miejsc niż w 2019 r. Na start z własną listą może być wtedy za późno, zwłaszcza że według sondażu IBRIS-u sprzed dwóch miesięcy Solidarna Polska nie jest traktowana

przez obywateli jak niezależna siła polityczna i może liczyć na 0,7 proc. głosów (czyli w granicach błędu statystycznego).

Jednakże zarówno Kaczyński, jak też Ziobro mają świadomość, że gdyby doszło do nadmiernych ustępstw Warszawy wobec Brukseli w kwestiach reformy sądownictwa, może dojść do rozpadu koalicji, a wtedy sondaże Ziobry się zmieniają, gdyż jest on wciąż popularnym na prawicy politykiem. To dlatego PiS, wbrew radom Morawieckiego (publicznie stwierdził, że nie ma zamiaru umierać za wymiar sprawiedliwości), wciąż spiera się z Unią. Ustawy sądowe, choć nie rozwiązały żadnego z problemów polskich obywateli z wymiarem sprawiedliwości, wciąż są oczkiem w głowie Ziobry, a ludzie przez niego awansowani w sądach i prokuraturze stali się dlań ważnym zapleczem politycznym. I to z dostępem do wrażliwych informacji, możliwych do wykorzystania w czasie kampanii.

Kaczyński wie, że nie może przesadzić. Gdyby bowiem Ziobro zdecydował się na zerwanie z PiS, oznaczałoby to wojnę na całego. A że w elektoracie rządzącej prawicy nastroje antyunijne również są obecne, wizja, w której idąca do wyborów samodzielnie Solidarna Polska odbiera PiS-owi 2 lub 3 proc., co przekłada się na utratę władzy, jest mimo wszystko bardzo prawdopodobnym scenariuszem. Ostatnie, czego chce dziś Kaczyński, to przejść do opozycji z powodu zmarnowanych głosów. Tak stało się w 2015 r., gdy koalicja Zjednoczonej (niezupełnie) Lewicy nie przekroczyła progu, a PiS stał się tego beneficjentem przy przekładaniu głosów na mandaty w Sejmie.

Jeżdżący dziś po Polsce Jarosław Kaczyński ma więc mnóstwo kłopotów, nawet jeśli wciąż nie musi martwić się o opozycję. Jego własny obóz polityczny, który zamienił się w obżarty i leniwy piknik, dostarcza mu ich z nawiązką.

© (P) MAREK KĘSKRAWIEC

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Mrągowie | Wydział Cywilny zawiadamia, że przed tutejszym Sądem pod sygnaturą akt I Ns 214/21 toczy się postępowanie z wniosku o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Radzejewskiej, zmarłej 7 października 2017 roku w Mikołajkach, ostatnio stale zamieszkałą w Mikołajkach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili nabycie spadku po nim. gdyż w przeciwnym wypadku będą pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Warszawska Parada Równości, 25 czerwca 2022 r.

Biznes wchodzi w paradę

MAREK RABIJ

Wysyp reklam podczas warszawskiej Parady Równości to oznaka poważnej zmiany, jaka zachodzi w traktowaniu osób LGBT+. Na razie głównie w dużych miastach.

W TYM ARTYKULE PADNĄ JEDYNIENIE ARCHIWALNE wypowiedzi. Biura prasowe firm, których reklamy lub logotypy pojawiły się 25 czerwca na Paradzie Równości, nie czuły potrzeby komentowania tej decyzji; w ostateczności odsyłały do swoich zagranicznych central.

Biuro prasowe Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy również nie zechciało wyłamać się z milczącego szeregu. Stolica – jak wyjaśniła jedna z pracownic – objęła paradę jedynie patronatem i pomogła nieco w przygotowaniach. Po konkrety odesłała do fundacji Wolontariat Równości, organizatora wydarzenia.

„Dziękuję za wiadomość. Parada już za chwilę i w związku z obowiązkami organizacyjnymi nie odpowiadam już na

maile” – w imieniu Julii Maciochy, prezeski fundacji, odpisał autoresponder konta pocztowego, choć parada zakończyła się kilkanaście dni temu. Na tym urwała się nasza korespondencja.

Szkoda, bo właśnie dzieje się historia. Podczas tegorocznej Parady Równości na platformach przewożących uczestników i uczestniczki zaroilo się od logotypów i reklam. Obok korporacji, które wspierają to wydarzenie od lat – jak Google czy firma doradcza Accenture – tym razem były także podmioty rdzennie polskie, jak znany producent gier CD Projekt i studio informatyczne Sii Polska. Bodaj po raz pierwszy w dziejach parady tak licznie „maszerowały” również banki: Citi, Nordea, Credit Suisse, BNP Paribas oraz Gold-

man Sachs. Był nawet gigant morskich przewozów kontenerowych Maersk, a także międzynarodowa firma rekrutacyjna Michael Page, koncern farmaceutyczny GSK, Microsoft, Netflix oraz Procter&Gamble.

Reakcje? Mieszane. Aktywiści miejscy od lat wspierający postulaty społeczności LGBT+ w tym wybuchu zainteresowania paradą dopatrzili się – zapewne nie bez racji – przejawów koniunkturalizmu ze strony korporacji, którym ciąży na wizerunku wiele grzechów i grzeszków. W mediach społecznościowych nie zabrakło też głosów samych osób LGBT+, które podważały szczerość intencji reklamodawców. Nie brakło jednak i takich, które w tegorocznej Paradzie Równości dostrzegły dowód sukcesu, jaki aktywiści i aktywistki społeczności LGBT+ odnieśli w ostatnich latach w pracy na rzecz równego traktowania.

Wystarczy cofnąć się o sześć lat, by zobaczyć, jak wiele zmieniło się w tak krótkim czasie.

Prawda logotypów

Właśnie wtedy obserwowałam w Warszawie dwa znaczące obrazy. Na jednym uczestnicy Orlen Warsaw Marathon – kwietniowego spotkania blisko 20 tys.

fanów biegania – walczyli ze sobą i innymi biegaczami w asyście setek plakatów i billboardów. Drugi obraz to 36 tys. uczestników Parady Równości (której głównym sponsorem od lat jest ambasada Norwegii). Tam reklam było jak na lekarstwo. Na platformach z rozprawionymi uczestnikami widniały osamotnione logotypy polskiej sieci klubów dla gejów oraz Google i Accenture – korporacji, które na całym świecie deklarują poparcie dla walki z homofobią. Nie dostrzegłem ani jednego dużego banku, firmy ubezpieczeniowej czy operatora komórkowego.

Ten całkowity brak zainteresowania polskiego biznesu społecznością LGBT+ był wręcz zaskakujący – zważywszy na wręcz legendarną siłę nabywczą tych konsumentów, którzy z punktu widzenia speców od sprzedaży muszą się wydawać wymarzoną grupą docelową. Wykształconą i zarabiającą mocno powyżej średniej krajowej, do tego zazwyczaj bezdzietną, więc skupioną na własnych potrzebach. Podstawę do takich ocen rodzimej społeczności LGBT+ w 2016 r. stanowiły jednak badania prowadzone w USA i Europie Zachodniej. W Polsce nikt podobnych analiz nie zlecał, gdyż – jak wyjaśnił mi w 2016 r. Bartek Jaźwiński z agencji marketingowej Majestic Media, która specjalizuje się w komunikacji rynkowej z klientami i klientkami LGBT+ – duża część członków tej społeczności wciąż obawiała się do tego przyznać. A przede wszystkim dlatego, że sam biznes nie był zainteresowany tym kierunkiem. Większość polskich firm wolała udawać, że tacy odbiorcy nie istnieją.

„Rokrocznie pracujemy dla kilkudziesięciu klientów, z budżetami od 2-3 tys. zł do takich, które przekraczają ćwierć miliona – wyliczał mi wówczas Jaźwiński. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby kontrahent był zainteresowany taką reklamą, poza tzw. tęczowymi mediami”.

Wcześniejsze doświadczenia były, delikatnie mówiąc, mało zachęcające. W 2014 r. państwowy LOT w mailingu do klientów pozwolił sobie na umieszczenie niewinnej rekomendacji przelotów do kilku europejskich miast, w których osoby LGBT+ „mogą być sobą”. Rozpętało się piekło: narodowcy zwolęwali się na pikietę pod siedzibą spółki i obiecywali wywiezienie jej ówczesnego prezesa Sebastiana Mikosza na taczach. Posłowie prawicy w mediach wyrażali oburzenie.

Reklama w tej formie szybko więc zniknęła ze strony przewoźnika. W nagrodę za odwagę bycia pionierem LOT dostał co prawda Tęczową Pszczolę (wyróżnienie LGBT Business Forum), ale nikt w spółce nie odważył się jej odebrać.

Tęczowe złotówki

Minęło sześć lat. Gdzie znajduje się dziś Polska na skali temperatur nastrojów wobec społeczności LGBT+? Blżej Warszawy z kolorową i radosną Paradą Równości, przyciągającą poważny biznes, czy raczej tych 50 gmin, które uznały za stosowne ogłosić się strefami wolnymi od „ideologii LGBT”?

Paradoksalnie i tu, i tam. Mówienie o twardej polskiej homofobii, niereagującej na zmiany społeczne i cywilizacyjne, byłoby dziś takim samym uproszczeniem, jak upatrywanie w otwarciu dużego biznesu na klientelę LGBT+ nagłego festiwalu równouprawnienia. Reklamy podczas Parady Równości na razie dowodzą tylko tego, że w dużych polskich miastach przedstawiciele i przedstawicielki tej społeczności mogą już „być sobą” – cytując wspomnianą reklamę LOT-u. W mniejszych miejscowościach wciąż bywa to trudniejsze, a czasem po prostu niemożliwe, co z kolei sprawia, że firmy nie dostrzegają potrzeby bezpośredniej rozmowy z tą klientelą.

Tymczasem – jak pokazuje pionierskie badanie siły nabywczej osób LGBT+ w Polsce, przeprowadzone w 2018 r. przez firmę Nielsen – przynależność do tej społeczności deklaruje aż 10 proc. polskich konsumentów i konsumentek. W sferze ich zwyczajów zakupowych raport zatytułowany „Tęczowe złotówki” potwierdził również większość hipotez sformułowanych wcześniej na zasadzie analogii z rynkami USA i Europy Zachodniej. Polscy klienci i klientki LGBT+ również okazali się osobami wykształconymi ponad średnią dla całego społeczeństwa, znacznie zamożniejszymi, inwestującymi chętnie we własne zdrowie, samorozwój i czas wolny. Do tego są konsumentami doceniającymi jakość i wiernymi sprawdzonym markom – o ile ich właściciele nie wykazują postaw homofobicznych. Aż 80 proc. ankietowanych przyznało, że podczas zakupów kieruje się tym, czy firma na co dzień wspiera u siebie równość i równouprawnienie. Autorzy badania doszli również do konkluzji, że w przypadku osób nieheteronormatyw-

nych wyższa konsumpcja stanowi jeden z wyróżników ich stylu życia.

Ale bez przesady

Rzecz w tym, że narracja o „tęczowej złotówce”, która specjalistom od marketingu może się wydawać inkluzywną, a co najmniej neutralną, dla części społeczności LGBT+ stanowi po prostu nową, ugrzeczniczoną wersję dobrze znanej im zabawy „swój-obcy”. W tej optyce typologia konsumentów oparta na ich tożsamości płciowej czy orientacji seksualnej staje się jeszcze jedną formą opresji, polegającą na stawianiu społeczności LGBT+ obok reszty społeczeństwa. Widać to w niektórych opracowaniach i artykułach na ten temat, w których „przeciętny gej lub lesbijka” wciąż wypada pod tym względem lepiej od „statystycznego Polaka”. Ważna jest też inna kwestia. Sądząc po wielu deklaracjach przedstawicieli społeczności LGBT+, etap, w którym wystarczało jej wyłącznie tolerowanie „odmienności”, dobiegł dawno końca. Dziś na agendę wkroczyła równość, a to oznacza jedno: jeśli jakieś firmy chcą się dobrać do legendarnej „tęczowej złotówki”, powinny jak najszybciej przestać o niej mówić jako o czymś odrębnym.

To kwestia fundamentalna, gdyż wielu specjalistów od marketingu wciąż nie potrafi przyjąć do wiadomości, że dla osób, których największym pragnieniem jest być traktowanymi jak reszta społeczeństwa, samo porównywanie siły nabywczej na podstawie paradygmatu płci lub orientacji seksualnej jest dziś nie do zaakceptowania. Zwłaszcza że nie sposób zetknąć się z badaniami siły nabywczej, w której grupę docelową zawężano by do osób o orientacji heteroseksualnej.

Tymczasem lista wpadek, jakie zdarzyły się światowemu biznesowi, próbującemu przemówić inkluzywnie do – a raczej w imieniu – społeczności LGBT+, jest długa i wciąż rośnie. Szczególnie mocno zapamiętano wpadek Nissana, który w jednej z reklam usiłował w zabawny sposób powiązać dylematy przy wyborze auta z napędem elektrycznym z decyzją na temat coming outu. Niektórym odbiorcom nie było wcale do śmiechu. I nie jest zapewne nadal. Mijają lata, ale ujawnianie mniejszościowej orientacji seksualnej to wciąż dla wielu osób jedno z najtrudniejszych życiowych przeżyć, nierzadko okupione szykanami i rodzinnymi tragediami. © P

Zanim nadejdzie ciemność

KRZYSZTOF STORY TEKST I ZDJĘCIA

Nie mamy wyjścia – musimy odejść od węgla. Problem w tym, że nie bardzo mamy dokąd. Zamiast budować elektrownię atomową, straciliśmy cenne lata na dyskusje. Dopiero teraz coś się zmienia.

CZEKAM NA PARKINGU PRZY JEDNEJ z najładniejszych bałtyckich plaż, niedaleko Białogóry. Całe dzieciństwo przyjeżdżałem tu z rodzicami na wakacje. Teraz z daleka widzę chmurę kurzu. Sebastian nadjeżdża na motorze, gasi silnik czarnej WSK-i, zdejmując kask: – Polska energetyka jest jak ten motor – mówi. – Z wierzchu świeża farba, ładnie wygląda, a w środku 40-letni złom. Ciągłe trzeba coś remontować i łątać, a i tak wiadomo, że zaraz się rozpadnie.

Dziesięć kilometrów na zachód od nas, nad samym morzem ma powstać pierwsza w Polsce elektrownia jądrowa. Zdaniem Sebastiana to szansa na zmianę zdezelowanej WSK-i na nowy motocykl. W podzielonej gminie Choczewo jest jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników inwestycji, do której Polska bez żadnych efektów przymierza się od 17 lat. Dlatego dzisiaj nie warto pytać: stawiamy „atom” czy nie, tylko: co zrobimy, żeby za kilka lat nadal mieć prąd w gniazdkach?

Żadnej rezerwy

Z Sebastianem rozmawialiśmy 29 czerwca, w słoneczny, bezwietrzny dzień. Polska zużyła wtedy 438 GWh energii. Ponad połowa pochodziła z węgla kamiennego, kolejne 25 proc. dołożyły opalane węglem brunatnym elektrownie w Bełchatowie, Pątnowie i Turowie. Wiatraki i fotowoltaika nie dobiły nawet do 12 proc.

Ważniejsza jest inna statystyka. Trzy czwarte naszego prądu pochodzi ze źródeł, które zaraz wyschnie. Katastrofę, przed którą stoimy, obrazuje jedna liczba: średni wiek elektrowni w Polsce to 48 lat. I dlatego prawie każdy blok węglowy w kraju, od Turowa po Jaworzno, ma już wyznaczoną datę zamknięcia. W lipcu 2021 r. Ministerstwo Klimatu i Środowiska opublikowało sprawozdanie dotyczące bezpieczeństwa polskiej sieci energetycznej. W najbardziej optymistycznym

wariantcie tej analizy do 2030 r. z polskiej sieci zniknie prawie 7 GW mocy (łączna moc wszystkich źródeł energii w Polsce wynosi obecnie niecałe 60 GW). W pesymistycznym – 8 GW do 2025 r., a do 2030 – ponad 11 GW. To wyliczenie opiera się na deklaracjach składanych przez same elektrownie, a te chcą stare węglowe „trupy” zamykać jak najszybciej, i to wcale nie przez troskę o klimat, lecz o własne budżety.

Od 1 lipca 2025 r. elektrownie węglowe wypadną z tzw. rynku mocy wprowadzonego w 2017 r. To mechanizm, w którym państwo płaci elektrowniom nie tyle za energię, ile za gotowość do jej produkcji. Jest więc kroplówką, na której od pięciu lat wisi polska energetyka. Teraz zostanie odcięta, bo z rynku mocy będą mogły korzystać od 2025 do 2035 r. tylko najnowocześniejsze jednostki węglowe, spełniające rygorystyczne normy emisji. Takich mamy w kraju jak na lekarstwo, a musimy też pamiętać, że i one po 2035 r. zostaną wyłączone z rynku mocy. Dodatkowo ciągle rosną (i będą rosły) koszty emisji CO₂ ustalane w ramach unijnego systemu. A poza tym: stare piece się psują, remonty są drogie i nieopłacalne, niedługo skończy się też możliwość finansowania inwestycji węglowych z publicznych pieniędzy.

Proces odłączania od sieci starych jednostek już się zresztą zaczął. W latach 2019-2020 produkcja energii w polskich elektrowniach spadła o prawie 13 tys. GWh rocznie (około 8 proc. całego prądu w Polsce). W ubiegłym roku doszło do kolejnych spadków, bo PGE i Tauron wyłączyły z eksploatacji bloki węglowe o łącznej mocy blisko 2 tys. MW. Wiadać więc, że już zaczęliśmy odchodzić od węgla. Szkoda tylko, że przez lata zaniebaliśmy i ignorowania problemu nie bardzo mamy dokąd pójść. W analizie ministerstwa czytałem, że warunkiem bezpieczeństwa dostaw energii jest terminowe za-



kończenie inwestycji. „Do momentu oddawania do eksploatacji nowych jednostek wytwórczych, dodatkowych w stosunku do obecnie budowanych, nie należy odstawiać istniejących źródeł”. Mówiąc krótko: nie mamy żadnej rezerwy.

Trzy drogi

Wyjścia są trzy: OZE, gaz (ale tylko jako paliwo przejściowe) oraz atom. I wszystko wskazuje na to, że trzeba będzie skorzystać ze wszystkich naraz. – To już nie jest konkurs piękności, gdzie możemy wybrać swoją ulubioną technologię – komentuje Jakub Wiech, zastępca redaktora naczelnego portalu Energetyka24.pl. – Nie możemy pytać: atom czy OZE? Musimy coś robić. Jak najwięcej i jak najszybciej.

Fotowoltaika i wiatraki, pomimo absurdalnych często barier prawnych, intensywnie się w Polsce rozwijają i stanowią dziś ok. 18 proc. całego miksu energetycznego. W najbliższych latach powstaną też na Bałtyku liczne morskie farmy wiatrowe. Jednak oparcie całej energetyki na OZE jest obecnie nierealne. Jedynym krajem nawołującym do tego w UE są



*Mieszkańcy gminy Choczewo protestują przeciwko budowie elektrowni atomowej.
30 czerwca 2022 r.*

Niemcy, które paradoksalnie spalają dziś najwięcej węgla w Europie: w ostatnim roku udział węgla w niemieckim miksie wzrósł nawet z 24 do 29 proc. Energii można oczywiście magazynować, ale największe dostępne magazyny mają pojemność ok. 1 GWh – wystarczy na zasilenie Warszawy przez 60 minut.

W gaz planujemy do 2040 r. zainwestować miliardy, choć wiąże się to z opłatami emisyjnymi (mniejszymi niż za węgiel). Najważniejszym projektem jest tu oczywiście Baltic Pipe i gaz z Norwegii, dzięki któremu w przyszłym roku będziemy mogli zastąpić odcięte paliwo z Rosji. W zeszłym roku został oddany nowy blok gazowy w Żeraniu, dwa kolejne powstają w elektrowni Dolna Odra, po jednym w Grudziądzu i Ostrołęce, która po fiasku projektu węglowego (i stratach wynoszących według NIK niemal 1,4 mld zł) została pośpiesznie przekształcona w elektrownię na gaz.

Zostaje jeszcze atom. Ale to głównie opowieść o tym, jak to się stało, że 38-milionowy kraj nie ma stabilnego, niskiemisyjnego źródła energii, podczas gdy w Europie Środkowo-Wschodniej ato-

mówki nie są niczym nadzwyczajnym i stać na nie było niemal każde państwo.

Dorobek uważam za nikły

Żeby opowiedzieć o tej kompromitacji i zmarnowanej szansie, musimy cofnąć się w czasie. 12 sierpnia 1971 r. Prezydium Rządu PRL podejmuje decyzję o budowie elektrowni jądrowej. Rok później zostaje wybrana lokalizacja – wieś Kartoszyń nad Jeziorem Żarnowieckim, choć do historii projekt przejdzie jako Elektrownia Jądrowa Żarnowiec.

Technologię dostarczył oczywiście ZSRR. Umowę o współpracy podpisano w 1974 r., a osiem lat później rozpoczęła się budowa. W tym momencie Czechosłowacja miała już dwa działające reaktory w Bohunicach i sześć kolejnych w budowie. Energetyka jądrowa w bloku wschodnim przeżywała rozkwit, głównie za sprawą reaktora WWR-400 – bezpiecznego, dość taniego i prostego w konstrukcji. Wiele z nich pracuje do dzisiaj. Docelowo cztery takie jednostki miały stanąć też w Żarnowcu. Dodatkową zaletą było to, że wiele podzespołów, w tym prawie cała maszynownia, mogło być

produkowanych w polskich zakładach (m.in. Zamech, Energoprojekt, Rafako). W archiwach rządowych żółkną też plany drugiej elektrowni, która miała stanąć w Klempiczu w Wielkopolsce (wykonano nawet pierwsze prace).

Pierwsze piętro Żarnowca stoi do dziś i niszczeje; na teren wejść nie można. Po drugiej stronie wody działa elektrownia szczytowo-pompowa, która miała towarzyszyć jądrowce jako magazyn energii. To żywy dowód, że w Żarnowcu budowa szła sprawnie do końca lat 80., nawet po katastrofie w Czarnobylu w 1986 r. Tak naprawdę klęska przyszła z upadkiem komunizmu. Dogorywający PRL nie miał pieniędzy na kontynuowanie projektu, zatrudnienie spadło z 6 tys. robotników do tysiąca, prace prawie stanęły. Tak wspomina tamten czas prof. Andrzej Strupczewski z Narodowego Centrum Badań Jądrowych, który wykonywał analizy bezpieczeństwa Żarnowca: – Ten reaktor był bezpieczny, ale miał wielką wadę, był rosyjski. Wtedy akurat odzyskailiśmy niepodległość i wiele osób uważało, że patriotycznym obowiązkiem było wystąpić przeciwko sowieckiej elektrowni w Polsce. Nasze analizy przyjmowała co prawda Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej w Wiedniu, ale nie polskie społeczeństwo. Zaczęły się protesty i głodówki. A nowy rząd nie miał pieniędzy. Pojawił się więc pomysł, by przerwać budowę, a to, co mamy, sprzedać do innych krajów.

Rząd Tadeusza Mazowieckiego powołał specjalną komisję prowadzoną przez ministra przemysłu Tadeusza Syryjczyka. W komisji było po równo przeciwników i zwolenników atomu, więc nic dziwnego, że – jak zanotował sam Syryjczyk w 1990 r. – „zespoł nie ustalił jednoznacznej odpowiedzi na temat kontynuowania lub zaniechania budowy”.

Minister pisze dalej: „dorobek komisji uważałem za nikły”, a potem wyciąga wnioszek na temat elektrowni: „jest inwestycją zbędną dla polskiego systemu energetycznego w horyzoncie 10 do 20 lat, a potem wcale nie ma pewności, że energetyka jądrowa będzie potrzebna”. Ta prognoza opierała się na nietrafionym z dzisiejszej perspektywy założeniu, że wykorzystanie energii będzie spadać. Nie ma



Elektrownia szczytowo-pompowa Żarnowiec. Jedyna pozostałość po polskiej elektrowni jądrowej. 29 czerwca 2022 r.

→ też w analizie słowa o zanieczyszczeniu środowiska, choć naukowcy o kryzysie klimatycznym zaczęli pisać co najmniej 20 lat wcześniej. W dodatku minister pisze o szacowanym czasie eksploatacji jądrowki od 30 do 50 lat, choć większość bloków pracuje znacznie dłużej.

Warto dodać, że przeciwko elektrowni jądrowej występowało wówczas nie tylko społeczeństwo obawiające się powtórki z Czarnobyla oraz ekolodzy, ale również potężne wtedy w Polsce lobby węglowe. Na podstawie rekomendacji Syryjczyka rząd Mazowieckiego 4 września 1990 r. podjął decyzję o skasowaniu projektu jądrowego. Elektrownia została postawiona w stan likwidacji.

Broń od atomu

To nie był ewenement. Prace nad projektami jądrowymi przerwały na początku lat 90. XX w. wszystkie kraje wychodzące z bloku sowieckiego. Tyle że nasi sąsiedzi swoje rozpoczęte budowy zakonserwowali, a projekty odłożyli na potem. Przykład? Słowacja właśnie kończy budowę ostatniego bloku w Mohovcach, którą zaczęła w 1985 r. i przerwała na ponad dekadę. Oznacza to, że za rok problem z opłatami za emisje przestanie dla Słowaków w zasadzie istnieć (70 proc. energii będą mieli z atomu, 25 proc. z OZE).

– My stwierdziliśmy, że w żadne odkładanie nie będziemy się bawić – mówi prof. Strupczewski. – W patriotycznym

uniesieniu wyłączyliśmy nawet pompy odwadniające plac budowy. Zalana konstrukcja jest dzisiaj bezużyteczna.

Co się dało, wyprzedaliśmy, i to za grosze. Jedna z osłon reaktora pojechała do elektrowni w Finlandii, inna część sprzętu na Węgry. Kredyty zaciągnięte na Żarnowiec spłacaliśmy aż do 1996 r. Zmarnowaliśmy wysiłek wykształcenia ponad 2 tysięcy specjalistów i osiem lat budowy. A potem na długie lata w ogóle zapomnieliśmy o atomie i dopiero po wejściu do Unii, w 2005 r. przypomniał sobie o nim rząd Marka Belki. W założeniach polityki energetycznej Polski do 2025 r. znalazły się słowa: „uzasadnione staje się wprowadzenie do krajowego systemu energetyki jądrowej”. Od tego czasu opracowaliśmy również założenia polityki energetycznej do 2030 r., a ostatnio – do 2040 r. W każdym dokumencie jest to samo zdanie o atomie.

Deklaracji było więcej. Pierwszą poważną złożył Donald Tusk w 2008 r., kiedy zapowiedział budowę dwóch elektrowni jądrowych. Jedna, co oczywiste od dawna, miała stanąć na Pomorzu, gdyż nie ma tam żadnych dużych źródeł mocy, jest za to ogromne zapotrzebowanie na prąd dla Trójmiasta. Pierwszy reaktor miał zacząć pracę w grudniu 2021 r. W ciągu dwóch lat wybrano potencjalne lokalizacje, utworzono specjalny departament w Ministerstwie Gospodarki, powołano spółkę Polskie Elektrownie Jądrowe,

a pełnomocniczką rządu ds. jądrowki została Hanna Trojanowska, doświadczona inżynierka energetyki.

– Pani Trojanowska doprowadziła do zmian w prawie, dostosowując je do energetyki jądrowej – przyznaje Andrzej Strupczewski. – Więcej zrobić nie mogła, bo rządzący zamiast dać jej władzę i pieniądze, dali jej tylko tytuł i gabinet.

Program energetyki jądrowej przeszedł konsultacje środowiskowe i transgraniczne, gdyż rozwój atomu trzeba konsultować z sąsiadami. Po wyborze trzech potencjalnych lokalizacji (Gąski, Choczewo, Żarnowiec) rozpoczęły się jednak protesty, wspierane przez duże organizacje ekologiczne, m.in. Greenpeace. Rząd z kolei nie podjął żadnych realnych działań, ogłaszał tylko kolejne terminy rozpoczęcia i zakończenia budowy. Dodatkowo zupełnie „położono” kwestię komunikacji z mieszkańcami okolic wskazanych lokalizacji, nie zadbano też o wytłumaczenie społeczeństwu, że nie grozi mu drugi Czarnobyl.

Skutek? W lutym 2012 r. w gminie Mielno odbyło się referendum, 94 proc. mieszkańców opowiedziało się przeciw budowie w nadmorskich Gąskach. Dwa lata później Hanna Trojanowska została odwołana ze stanowiska. Dziś jedną z niewielu pamiątek po programie jądrowym PO jest kapliczka na wylocie z Gąsek. Na krzyżu pod figurą Matki Boskiej ozdobne litery układają się w napis: „Broń od atomu”.

Lekcje bez nauki

Ta kapliczka jest dyżurnym pretekstem do wyśmiewania obaw ludzi przed atomową katastrofą. A szkoda, bo powinna być traktowana jako pomnik zaniedbań i niekompetencji władz. Takie projekty zaczyna się od edukacji, a dialog z mieszkańcami nawiązuje się lata wcześniej, pokazując im korzyści i możliwości rekompensaty ewentualnych szkód (ich koszty przy inwestycji tej skali są w zasadzie pomijalne). Obserwując tamten projekt jądrowy, w którym nie podjęto żadnych realnych działań, ciężko nie traktować poważnie teorii, że rząd wcale jądrowki nie chciał. Potrzebował jedynie wielkiej wizji na użytek negocjacji z Komisją Europejską.

Dziś podstawowe pytanie brzmi: czy wyciągnęliśmy naukę z tej lekcji? Według planu ogłoszonego przez rząd PiS w 2020 r. pierwszy reaktor ma zacząć działać w 2033 r., a do 2040 r. mamy mieć od 6 do 9 GW mocy w dwóch elektrowniach. Według analiz Polskiego Instytutu Ekonomicznego wydamy na to 105 mld zł (tylko ostatnie plany zakupowe polskiej armii sięgają 100 mld zł).

W zeszłym roku ogłoszono też preferowaną lokalizację. To Lubiato-Kopalino, choć tak naprawdę elektrownia ma stać dalej na zachód – nad samym morzem na wysokości Śląszewa. Z początkiem kwietnia inwestor (Polskie Elektrownie Jądrowe) złożył w GDOŚ raport środowiskowy, co jest pierwszym realnym działaniem w energetyce jądrowej od 1990 r.

Droga do elektrowni jest jednak daleka. Najpierw musi powstać raport lokalizacyjny. To odwrotność raportu środowiskowego, który pokazuje, jak elektrownia wpłynie na otoczenie. Lokalizacyjny musi ustalić, jak otoczenie może zagrozić elektrowni. Z budową atomu wiąże się wyśrubowane standardy bezpieczeństwa, trzeba rozważyć nawet perspektywę uderzenia meteorytu w Bałtyk. Następnie czekają nas konsultacje społeczne oraz transgraniczne, i tu możemy się spodziewać sprzeciwu ze strony Niemiec i Austrii. Raczej nie zablokują projektu, ale mogą go opóźnić.

Czeka nas też wybór głównego wykonawcy. W grę wchodzi trzy firmy: francuski EDG, amerykański Westinghouse i koreański KHNP – wszystkie już teraz walczą o sympatię władz i społeczeństwa. Na przykład KHNP zaprosił ostatnio do Korei grupę polskich dziennikarzy, ufun-

Co się dało, wyprzedaliśmy, i to za grosze.

Ośłona żarnowieckiego reaktora pojechała do elektrowni w Finlandii, inne części na Węgry. Kredyty splanaliśmy aż do 1996 r.

dował też plac zabaw w Choczewie, kusi obietnicą postawienia w Polsce fabryki paliwa uranowego. Każda oferta to inny model reaktora i osobne negocjacje, które obejmują dużo więcej niż cenę. Ważne są np. gwarancje udziału polskiego przemysłu przy budowie, a tu mamy solidne kompetencje. W budowę bloku nr 3 w Elektrowni Jądrowej Olkiluoto w Finlandii jest zaangażowanych 25 polskich firm. Oczywiście ostateczny wybór jest też istotną decyzją geopolityczną.

Potraktujcie nas poważnie

W Śląszewie skręcam w szutrową drogę oznaczoną drogowszkazem „Do morza”. Dwa kilometry jadę między polami, do parkingu, dalej jest nadmorski las sosnowy, a za nim wydmy, piaszczysta plaża i morze. 100 metrów dalej ma zaczynać się teren elektrowni. Planowana jest linia kolejowa, drogi, a nad Bałtykiem stanie ponad kilometrowe molo, dzięki czemu budowa będzie zaopatrywana drogą morską (potem molo ma być dla turystów). Na tym terenie od 2017 r. trwają wszystkie możliwe badania i ciągły monitoring sejsmiczny, meteorologiczny oraz hydrologiczny.

Pani obsługująca miejscowy parking jest elektrowni zdecydowanie przeciwna. Michał Milczarek, sołtys Śląszewa, jest za atomem, ale nie przekonuje go lokalizacja. – Region żyje z turystyki. Pod elektrownię trzeba będzie wyciąć kawał pięknego lasu, a ja muszę stać po stronie mieszkańców, którzy niejednokrotnie dużo tu zainwestowali w pensjonaty, domy letniskowe, a teraz mogą to wszystko stracić – mówi Milczarek, zdając sobie sprawę, że przy takich inwestycjach nie można zadowolić wszystkich, a głos Śląszewa może zostać po prostu zignorowany. Już więc walczy o konkretne rekompensaty dla swojej gminy: – To choćby gwarancja inwestycji w światłowod i kanalizację. Zależy mi też na tym,

by inwestor pomógł nam w rozbudowie budynku szkoły w pobliskim Ciekocinie.

Obecnie poparcie dla energetyki atomowej w Polsce bije rekordy, ale można zrozumieć osoby, które nie chcą jej obok swoich domów, na ulubionej plaży. Gmina Choczewo jest podzielona, w Śląszewie na płotach widzę plakaty „Nie dla atomu”. Zwolenników jest jednak więcej, co przyznaje wójt Wiesław Gębka: – Chcielibyśmy jednak, by państwo traktowało nas po partnersku. Przecież my w jakimś sensie niszczymy naszą gminę i zmieniamy ją w przemysłową. Razem z morskimi farmami wiatrowymi, które tu mają stanąć, będziemy produkować 12 proc. polskiej energii. I trzeba będzie tę energię jakoś wysłać w kraj. Być może będziemy musieli zmienić hasło promocyjne z „Gmina naturalnie piękna” na „Gmina pod kablami”.

Władze Choczewa mają konkretne postulaty: choćby schowanie kabli pod ziemią na najbardziej newralgicznym odcinku. Nadal mają też wiele zarzutów do komunikacji z Polskimi Elektrowniami Jądrowymi, ale większość przyznaje, że wygląda ona inaczej niż w 2012 r. Tylko w ostatnim kwartale PEJ zorganizowały sześć spotkań z mieszkańcami, pracującą też z samorządowcami. W okolicznych gminach działają punkty informacyjne, a dla mieszkańców organizuje się wycieczki do Świerka pod Otwockiem, gdzie w Narodowym Centrum Badań Jądrowych pracuje reaktor badawczy Maria. Samorządowcy mogli też zobaczyć elektrownie, bo organizowano dla nich wyjazdy; wójt Choczewa był w kilkunastu jądrowkach w różnych krajach.

Przedstawiciele PEJ starają się pokazywać przede wszystkim korzyści dla lokalnej społeczności: planowaną infrastrukturę, potężne dochody z podatków i możliwość zarobku na noclegach i usługach dla tysięcy robotników, a potem pracowników elektrowni. To nie zmienia jednego: wszyscy zadowoleni nie będą, a lata budowy staną się dla mieszkańców bardzo uciążliwe.

Energetyczna jenga

Mieszkańcy gminy Choczewo o atomie w okolicy słyszą od co najmniej 14 lat. I przeciwnicy, i zwolennicy są już zmęczeni. Większość najbardziej obawia się jednego: że skończy się jak w Żarnowcu, a oni zostaną z kolejną ruiną. Nie są w tej obawie osamotnieni: na jeszcze bardziej

→ przerażone wyglądają polskie władze. Gdy państwo przymierzało się do przekopu Mierzei Wiślanej, politycy latami przyjeżdżali nad morze, fotografować się z symboliczną „pierwszą” łopatą i snuć wizje. Ostatnią taką łopatę wbijał 16 października 2018 r. sam Jarosław Kaczyński. Tymczasem z atomem fotografować się nie chce nikt. Nikt nie ostrzy łopat, a najważniejsi politycy konsekwentnie omijają gminę Choczewo.

Może czują, jak wysoka jest stawka: fiasco projektu jądrowego i całej reszty polskiej transformacji energetycznej może skończyć się katastrofą. W cytowanym już sprawozdaniu MKiŚ czytam prognozę w wariancie pesymistycznym, który lepiej nazywać „realistycznym”: „przekroczenie standardu bezpieczeństwa wystąpi już w 2024 r. i co do zasady jest niemożliwe do skompensowania za pomocą środków zaradczych”. To jedno zdanie oznacza, że jeśli nie zaczniemy szybko budować nowych mocy (obojętne, w jakiej technologii), za półtora roku czeka nas racjonowanie energii – najpierw dla przemysłu, potem dla obywateli.



Wiesław Gębka, wójt gminy Choczewo.
30 czerwca 2022 r.

Atom nie ma szansy pomóc nam w tak krótkim terminie. Już teraz założona przez rząd data uruchomienia pierwszego reaktora w 2033 r. wydaje się mało realna. Potrzebne będą również OZE i elektrownie gazowe – innych wyjść już nie mamy. Dowodem jest smutna, ale do bólu pragmatyczna decyzja Parlamentu Europejskiego z 6 lipca o włączeniu gazu (jest mniej więcej dwa razy mniej toksyczny

niż węgiel) do „zielonej taksonomii” – listy źródeł energii, które wspierają transformację energetyczną. Na tej samej liście znalazł się też, po wielu miesiącach negocjacji, bezemisyjny atom.

W dłuższej perspektywie elektrownia jądrowa wydaje się koniecznością. Raport pokazuje, że do 2035 r. powinniśmy zbudować 16 GW mocy w nowych, niskoemisyjnych siłowniach, żeby zastąpić umiarkowany węgiel. Inwestowanie tylko w OZE jest ryzykowne: nie ma w Europie gospodarki opartej w większości na OZE i choć dalszy rozwój technologii magazynowania energii jest pewny, to jego tempo już nie, a tylko duże magazyny pozwolą zniwelować zależność OZE od pogody.

Tymczasem polska energetyka zaczyna przypominać popularną grę jenga, w której wyjmuje się kolejne klocki z wieży, robiąc to tak, by się nie przewróciła. Nasza jenga coraz bardziej się chwieje, a wiele klocków zaraz będziemy musieli wyjąć i nie mamy czym ich zastąpić. Jeśli chcemy dalej grać bez atomu, ta gra może się zamienić w rosyjską ruletkę.

© P. KRZYSZTOF STORY

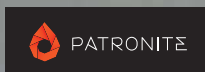
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podcast

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodcastTygodnikaPowszechnego



JACEK

Podsiadło: Smutny koń



JERZY CHMIELEWSKI, NIEŻYJĄCY JUŻ PREZES Piaseczyńskiego Towarzystwa Kolei Wąskotorowej, pośmiertnie zwany „sercem piaseczyńskiej kolejki” i odznaczony odznaką „Zasłużony dla Kolejnictwa”, wpadł w 1983 r. na pomysł reaktywacji konkursu

Miss Polonia. Poszedł z nim do Stanisława Cejrowskiego, szefa Stołecznej Estrady i ojca Wuce Kwadransa. Pomysł chwycił. „Zgłaszały się nie tylko dziwki” – wspominał Jerzy Chmielewski. Autorem scenariusza pierwszej gali i przewodniczącym wyłącznie męskiego jury był Cejrowski. Film „Ósemka” uwiecznił jedną z wypowiedzi konferansjera Wowo Bieliciego: „Jak można lepiej ocenić inteligencję kobiety niż w kostiumie kąpielowym?”. Koronę zdobyła Lidia Wasiak, która w nagrodę polecała do Londynu na konkurs Miss World. W biurze Miss World na oczach światowej socjety red. Stawicki z ekspresjaka pożarł się z red. Kulicką z „MM Jazz”, żoną ojca Wuce Kwadransa, o wejściówki na finałową galę.

O konkursie z 1984 r. Serce Piaseczyńskiej Kolejki napisał: „Zgłaszały się kandydatki bez zębów, ze zniekształconym układem kostnym (kulawel)”. Niuanse finału opisał dr Marek Klat, autor książki „Miss Polonia. Kulisy konkursów”: „Ofiarą bezczelnego zachowania pracownika Stołecznej Estrady padł Jan Pietrzak. W czasie rozmowy o warunkach jego występu i honorarium artysta opuścił salę odmawiając występu”. Pod nieobecność Pietrzaka wygrała Magdalena Jaworska. Na balu po gali Włoch Dino Zenere awanturował się o reklamówki Campari, że miały być, a nie ma. W „Polityce” red. Żona Ojca Wuce Kwadransa oskarżyła Serce Piaseczyńskiej Kolejki o „zdefraudowanie kontenera reklamowych upominków wartości półtora tysiąca dolarów”. Chmielewski potem wyjaśniał, że Campari nie było, bo „właśnie wtedy weszła w życie ustawa »o wychowaniu w trzeźwości«, ale łął – ustawę ogłoszono kilka miesięcy po balu. Losy reklamówek wyjaśniła sama Miss Magdalena Jaworska: „Torba prezentów, które dostałam i przekazałam w pewne ręce p. Jerzego Chmielewskiego, zdematerializowała się. Pierwotnie zginał i puchar, który jednak udało mi się wyprosić. Za to Joannie Karskiej przepadł bez wieści. Dostała w zamian reklamówki firmy Campari, które przepadły wcześniej”.

„Kurier Polski” po prowadzonej przez Mieczysława Gajdę gali w 1985 r. chwalił „Rosiewicza, który odziany w jarmułkę tęsknie wspominał wspaniały świat Lubartowa”. „Dziennik Bałtycki”: „Gajda poknocił wyniki końcowe. Najpierw wycofał z medalowej trójki »Miss Gracji« – Brygidę Bziukiewicz, a jak ją przywrócił, to dziewczyna mało nie zemdląła z wrażeń”. Tytuł Miss Polonia przypadł Krystynie Zawidzkiej. Red. Żona Ojca Wuce Kwadransa znów wypomniła Sercu Piaseczyńskiej Kolejki znikające nagrody: Chmielewski nie przekazał Zawidzkiej pieniędzy od sponsora jej kosmetyków, Miss Foto nie dostała obiecanej „sprzętu z Unity”. Dr Klat:

„Po libacji, panowie z TVP próbowali w nocy dostać się po piorunochronie przez okna do pokoju finalistek”.

W 1986 r. telewizja wymyśliła dodatkowe wybory Miss Studia 1 w poznańskiej Arenie. Małgorzata Prusak: „Członkowie jury próbowali na siłę zapraszać do swych pokoi uczestniczek finału”. Elżbieta Nowicka: „Jeden z realizatorów programu usiłował zwać nas do pokoju. Agatę Dławichowską czterech podpitych organizatorów namawiało do wspólnego spędzenia wieczoru”. Agata Dławichowska: „Scenografię montowano w nocy, bo w dzień ekipa techniczna była pijana”. Dr Klat: „Dość smutnym elementem imprezy był wprowadzony na scenę koń”. W połowie gali pretendenci, które dostały mało punktów, postanowiły zmyć się z Areny. Dr Klat: „Gdy Marek Jefremienko wybiegł w muszce i we fraku za dziewczętami, jako pierwszą złapał Elżbietę Nowicką”. Elżbieta Nowicka: „Tłumaczył mi, że była to tylko wstępna punktacja, że jeszcze nie wiadomo, kto wygra, że może nam zapłacić, bylebyśmy tylko wrócili”. Finałową imprezę w Operze Leśnej prowadzili Tadeusz Sznuć i Janusz Świerczyński. Było nowocześnie, wyniki sumował komputer. Świerczyński uroczyście je odczytał, kierując się liczbą punktów uwidocznioną w ostatniej rubryce. Nie zauważył, że w tej akurat rubryce wydrukowane są numery, z jakimi startowały kandydatki. „Dziennik Polski”: „Janusz Świerczyński, znany »dziennikowy« prezenter, źle odczytał z komputerowego wydruku kolejność finalistek. Pomylił się również opanowany zazwyczaj Tadeusz Sznuć. Ogłosił wszem i wobec zwycięstwo w konkursie panny Beaty Smeli. W rzeczywistości zwyciężyła Renata Fatla”.

W 1987 r. Miss Polonia została Monika Nowosadko. Red. Żona Ojca Wuce Kwadransa była członkinią jury. W „Przekroju” postawiła Sercu Piaseczyńskiej Kolejki zarzut manipulacji wynikami oraz brak protokołu z obrad jury. Anonimowy juror na pytanie „Sztandaru Młodych”, czy był protokół, odparł: „Nie. Nie wiem nawet, czy to było potrzebne, przecież siedzieli tam poważni ludzie”.

W 1988 r. nagrodą dla Miss była toyota. Irena Woźniacka śpiewała w związku z tym na płycie: „Ochota, ochota na toyotę / nadzieją napęlnia damski biust”. Mann i Materna zadawali pytania z „testu na inteligencję” przygotowanego przez Kydryńskiego („Gdyby pani miała do wyboru na męża Tadeusza Drożdę, Zbigniewa Bońka, Wojciecha Młynarskiego, Martinę Navratilovą i ministra Aleksandra Krawczuka, kogo by pani wybrała?”). Zwyciężyła Joanna Gapińska.

Piaseczyńsko-ursynowskie wydanie „Kuriera Południowego” alarmowało w 2011 r., kilka miesięcy po śmierci Chmielewskiego, że jego córka wystawiła na Allegro za 220 tys. „największy symbol wąskotorówki – zabytkowy parowóz Px48”.

©

TURYSTA CZY PIELGRZYM

Bez księdza jako przewodnika, z indywidualnym programem, a nawet z niereligijnym motywem: pojawiają się nowe sposoby pielgrzymowania.

KAROL KLECZKA

JESZCZE TRZY LATA TEMU WYDAWAŁO SIĘ, że będzie tylko lepiej. Światowa Organizacja Turystyki w raporcie z 2019 r. podawała, że co roku do sanktuariów różnych wyznań pielgrzymowało około 300-330 milionów ludzi, notując przez dwie dekady wzrost rzędu 60-90 milionów. Aż nadszedł covid. Lourdes co roku odwiedzało około 6 milionów pielgrzymów, lecz w 2020 r. z przyjazdu do francuskiego sanktuarium zrezygnowało aż 95 proc. grup zorganizowanych, w efekcie przynosząc najgorszy sezon turystyczny w historii tego drugiego najpopularniejszego miasta na turystycznej mapie Francji. Podobna zapaść dotknęła Fatimę, do której w 2020 r. dotarło 1,4 miliona pielgrzymów – cztery razy mniej niż w roku poprzednim. Kryzys nie ominął i Jasnej Góry (spadek ponad czterokrotny), ale niską frekwencją charakteryzowały się właściwie wszystkie kierunki turystyki religijnej, niezależnie od wyznań i szerokości geograficznej. Jaka przyszłość czeka pielgrzymowanie?

Załamanie trendu

Choć zwiększone zainteresowanie pielgrzymkami przed pandemią uzasadniano narastającymi potrzebami duchowymi, to rzeczywistość bywała bardziej prozaiczna, a motywacje klientów pielgrzymkowych biur podróży zróżnicowane.

– Przed pandemią bardzo popularnym kierunkiem podróży była Ziemia Święta – mówi Rafał Jankowiak z biura podróży Misja Travel. – Izrael i Palestyna to kraje o ciekawych kulturach żydowskiej i arabskiej, z historią, w której przenikają się chrześcijaństwo, judaizm i islam. Mają wspaniałą kuchnię, piękne krajobrazy. Jeśli się uprzeć, to w Izraelu znajdzie się nawet stoki narciarskie. Jedyne wady z perspektywy polskiego turysty to ceny na miejscu oraz nieprzyjemne kontrole bezpieczeństwa – opisuje.

Niebagatelną rolę w popularności Ziemi Świętej na turystycznej mapie świata odgrywało państwowe wsparcie turystyki. – Rząd Izraela uruchomił dopłaty dla linii lotniczych, płacąc za każdego pasażera dodatek w wysokości 60 dolarów. To zwiększało liczbę relatywnie tanich połączeń, które w przypadku Polski obsługiwało aż osiem lotnisk – podkreśla przewodnik.

Pandemia jednak zmieniła wszystko. Ziemia Święta, topowy kierunek turystyczny, został niemal na trzy lata wyłączony z ruchu. W 2021 r. do Izraela przybyło ponad 400 tys. turystów, a to nawet nie 10 proc. ruchu sprzed pandemii. Dramatyczne przełożenie tego zamrożenia podkreślali franciszkanie z Kustodii Ziemi Świętej. Informowali, że mieszkańcy Betlejem, gdzie aż 90 proc. obywateli utrzymuje się z turystyki, z uwagi na



zawieszenie pielgrzymek musieli mierzyć się z ubóstwem.

Trudności dotknęły również inne regiony pielgrzymkowe. Jankowiak podaje przykład Medziugorje, do którego wyjazdy często uwzględniały zwiedzanie Chorwacji. W związku z obostrzeniami pandemicznymi przekraczanie granicy krajów stało się większym niż do tej pory obciążeniem, zrażając część potencjalnych klientów.

Sanktuaria po sąsiedzku

Po złuzowaniu obostrzeń pielgrzymi stopniowo zaczęli wracać do sanktuariów. W Lourdes początkowo była to tylko ludność lokalna (mieszkająca w promieniu 100 km), a następnie głównie mieszkańcy Francji. To sprawiło,



PAWEŁ MURZYN / EAST NEWS

Górska pielgrzymka szlakiem papieskim. Dolina Chochołowska, 26 czerwca 2022 r.

że sanktuarium o międzynarodowej sławie stało się miejscem lokalnego ruchu turystycznego.

Na taki lokalny kierunek zwraca uwagę również Jankowiak, podkreślając, że coraz częściej do jego firmy przychodzą turyści zainteresowani zwiedzaniem polskich sanktuariów. – Dziś mamy ponowny wzrost liczby zakażeń i choć na razie Europa się nie zamyka, to widzę po swoich klientach zmianę nastawienia. Klienci, którzy nie mogli wyjechać w 2020 r., obecnie mogą wykorzystać vouchery, które dla nich wystawiliśmy. Jednak jest taka grupa, która żyje dziwnym przeświadczeniem, że w Polsce pandemii już nie ma, ale za granicą jak najbardziej się pochorują. To przedstawia ich priorytety na turystykę krajową – informuje.

Na zjawisko krótkodystansowych podróży zwrócił uwagę też Franciszek Mróz, geograf z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, przyglądając się wpływowi covid na pielgrzymki i turystykę religijną w pierwszym półroczu pandemii. Mróz przeprowadził badania terenowe na polskich odcinkach popularnej Camino de Santiago (Camino Polaco, Pomorska Droga św. Jakuba i Via Regia), z których wynika, że w porównaniu z 2019 r., w pierwszym roku pandemii ruch na polskich drogach pielgrzymkowych w miesiącach wakacyjnych nawet wzrósł. „Tysiące pielgrzymów, którzy planowali maszerować Drogą Świętego Jakuba, zmieniło plany i wybrało lokalne szlaki – krajowe bądź regionalne odcinki Camino de Santiago, lub też udali się in-

nymi szlakami pielgrzymkowymi do pobliskich świątyń” – pisze badacz w artykule opublikowanym w 2021 r. Ludzie wybierali mniejsze i bliższe sanktuaria regionalne zamiast tych o tradycyjnie największej popularności.

Jednak nawet w kontekście polskim widać, że jakaś grupa pielgrzymów odpadła. W ostatnim dostępnym podsumowaniu ruchu turystycznego na Jasnej Górze widać co prawda wzrost z niespełna miliona pielgrzymów w 2020 r. do 1,6 miliona w roku 2021 – ale to znaczący spadek w stosunku do sytuacji przedpandemicznej, kiedy to do Częstochowy przybywało co najmniej 4 miliony pielgrzymów rocznie. „Aby uzmysłowić skalę załamania ruchu pielgrzymkowo-turystycznego ➔

→ z powodu pandemii, przytoczymy kilka danych statystycznych: w latach 1994-2019 średnia roczna liczba osób oprowadzanych przez Jasnogórskie Centrum Informacji wynosiła około 130 tys. W roku 2020 z usług przewodnickich skorzystało tylko 11 460 osób, co stanowiło 8,8 proc. wieloletniej średniej, natomiast w roku 2021 było to 28 914 osób, co daje nam 22,2 proc. tejże” – podsumowywali paulini w dorocznym raporcie opisującym turystyczny wymiar ich pracy. Podobne dane przedstawia Franciszek Mróz, pisząc o Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, gdzie spadek pielgrzymów w pierwszym półroczu pandemii wyniósł aż 80 proc.

A może ludzie zaczęli inaczej pielgrzymować?

Nowe pielgrzymowanie

Trudno powiedzieć, na ile w obecnym sezonie dojdzie do odbicia niżkowej tendencji, ale mówiąc o pielgrzymowaniu i turystyce religijnej, warto się zastanowić, na ile to osobne zjawiska. Tradycyjne, piesze pielgrzymki do miejsc kultu są nie tylko polską specyfiką, choć to Polacy stanowią jedną z najliczniejszych grup pielgrzymich na świecie. Czym jednak jest sama turystyka religijna?

– Specyfika wyjazdów religijnych polega na tym, że każdej z organizowanych wycieczek towarzyszy ksiądz i prawie codziennie jest msza – opisuje Rafał Jankowiak. Wyjazd ma zatem dwójaki charakter: podróży i zwiedzania, ale takich, którym towarzyszy opieka duszpasterska.

– Zależy nam na tym, aby księża towarzyszący wycieczkom byli zaangażowani w kierunek podróży – mówi szef Misja Travel. – Przykładowo, gdy organizujemy wycieczki do Ziemi Świętej, to księża towarzyszący najczęściej są biblistami.

Można by zatem odnieść wrażenie, że turystyka religijna przypomina tradycyjne wycieczki autokarowe, w których grupa pokonuje dobrze zdefiniowaną trasę wraz z przewodnikiem, a religijną wyjątkowość zadaje kierunek, obecność księdza i modlitwy.

Prof. Izabela Soljan z Uniwersytetu Jagiellońskiego podkreśla, że to nie środek transportu jest najważniejszy. – Turystyka religijna jest pojęciem szerszym niż pielgrzymowanie, chociaż to pielgrzymki były wcześniej historią zjawiskiem – mówi badaczka. Twierdzi, że dla wyłapania dystynkcji między

W przeszłości pielgrzym musiał się utrudzić,

a motyw zwykle miał pokutny. Dziś sanktuaria odpowiadają na różne potrzeby.

jednym a drugim należy skoncentrować się na motywacjach uczestników. – Pielgrzymka jest podróżą podjętą z motywów religijnych, a turysta religijny może kierować się także poznawczymi – wyjaśnia Soljan, dodając jednak, że element duchowościowy też powinien jakoś być spełniony, aby nie mówić o turystyce wyłącznie kulturowej.

Trudno tu szukać czytelnych rozróżnień, a same sanktuaria tego nie ułatwiają. – Gdy już ktoś przybywa do miejsca kultu, to raczej nikt go o motyw nie pyta, a liczby pielgrzymów podawane w statystykach sanktuariów są szacunkowe i bazują na danych bezwzględnych, czyli liczbie osób przebywających w danym ośrodku. To, czy ktoś ma motyw poznawczy albo kulturowy, ostatecznie nie ma znaczenia w tej klasyfikacji – wyjaśnia naukowczyni.

Kto zatem wybiera się na takie wakacje? W biurze Misja Travel nie pytają klientów o stosunek do wiary. Wiedzą jednak, że niekiedy w wyjazdach uczestniczą osoby poszukujące. Niemniej szef biura podejrzewa, że większość klientów stanowią osoby zaangażowane w wiarę. – Najczęściej w pielgrzymkach biorą udział kobiety, a jeśli pojawiają się mężczyźni, to w dużej mierze są to „mężowie swoich żon”. Spotkać singla na wyjeździe to wydarzenie – opowiada Jankowiak zaznaczając, że taki obraz koreluje z generalnym zainteresowaniem kościelną tematyką. – Trzeba też podkreślić, że średnia wieku naszych klientów w latach 2017-2022 wynosi 57 lat. Nie są to klienci najmłodsi, ale też wydaje się, że w pewnym sensie wiek pokrywa się tutaj z turystami typowych objazdówek „świeckich”. Osoby młodsze po prostu korzystają z innego modelu wyjazdowego: albo turystyki trampingowej, albo *all inclusive* w kurorcie.

Są i inne tryby pielgrzymowania. Porównując oferty katolickich biur podróży, coraz częściej można w nich natrafić na zorganizowane pielgrzymki do

wspomnianego już Santiago de Compostela. Nie są to wycieczki autokarowe, lecz pielgrzymki *perse*, co również wpływa na profil klienta. Jankowiak nie ukrywa, że taką ofertą są zainteresowane osoby młodsze, bardziej sprawne fizycznie. – Warunkiem minimalnym jest możliwość przejścia stu kilometrów. Dla wielu osób starszych to rzecz nie do przeskokienia.

Choć obecnie najpopularniejszą pielgrzymką pieszą jest Camino de Santiago, to podobne szlaki rozciągają się na całej mapie Europy, tworząc drogi św. Olafa, św. Marcina czy szlak ignacjański. Dane statystyczne potwierdzają stale rosnące od lat 80. zainteresowanie tego typu formą turystyki religijnej, niemniej również w tym przypadku pandemia spowodowała wyrwę. W 2019 r. zarejestrowano rekord na Camino de Santiago, którą pokonało niemal 350 tys. pielgrzymów. Pierwsze miesiące 2020 r. wskazywały, że może być jeszcze lepiej (zarówno w styczniu, jak lutym liczba pielgrzymów przebiła wyniki porównawcze z 2019 r.). Jednak według informacji biura pielgrzymkowego z Santiago de Compostela, ostatecznie w 2020 r. drogę przeszło niecałe 54 tys. pielgrzymów, czyli siedem razy mniej niż rok wcześniej. Zmienił się też sam profil pielgrzyma zmierzającego do grobu św. Jakuba.

– Mówimy o coraz bardziej popularnej formie pielgrzymowania, ale tutaj także zachodzą zmiany. Przypuszczam, że w przyszłym roku zorganizujemy kilka grup Camino bez księdza – opowiada Jankowiak. – Jest coraz mniej księży, a przede wszystkim młodych. Przewodnik też powinien przejść te wspomniane już sto kilometrów. Dodatkowo taka pielgrzymka zabiera więcej czasu. Wyjazd do sanktuarium jest obliczony na tydzień od niedzieli do soboty, natomiast Camino wymaga dłuższego okresu, od dziesięciu dni wzwyż. Ksiądz nie zostawi parafii na dwa tygodnie bez zastępstwa – objaśnia szef biura podróży.

Pielgrzymki niereligijne

Franciszek Mróz, pisząc o pierwszych miesiącach pandemii, zwraca uwagę na nietypowe zjawisko dotyczące samego Camino. W odróżnieniu od poprzednich lat wybierało się na nie znacznie więcej młodszych pielgrzymów (w grupie 30-60 lat) odwołujących się do innej niż religijna motywacji.

Zmianę wzorca kulturowego podkreśla również prof. Sołjan. – W przeszłości pielgrzym musiał się utrudzić, sama pielgrzymka zaś rodziła się z pobudek pokutnych. Same sanktuaria nie podejmowały działań mających na celu zagwarantowanie komfortu pielgrzymowi. Reforma zachodzi dopiero w XX wieku. Coraz częściej sanktuarium, czego przykładem może być Lourdes i Fatima, zwracają uwagę na standard obsługi i stworzenie odpowiednich warunków pobytu odwiedzającym. Moim zdaniem kolejny etap polega na większym otwarciu sanktuariów na przybywających, co widać zarówno w formach działalności duszpasterskiej, jak i organizacji przestrzeni ośrodków. Sanktuaria, zwłaszcza duże, coraz częściej wychodzą poza teren jednej świątyni, przypominają założenia parkowe z dużą liczbą obiektów o różnym przeznaczeniu albo wprowadzają rozwiązania kierowane np. do turystyki rowerowej. Wynika to z coraz bardziej zacieraających się różnic między tradycyjnym pielgrzymem a turystą – opisuje badaczka.

Takie otwarcie owocuje jednak pewnymi paradoksami. – Obecnie osoba, która przeszła Camino de Santiago i otrzymuje certyfikat przebycia drogi, tzw. compostelkę, zostaje niejako mianowana pielgrzymem, choć podając racje podróży, może przywołać motyw niereligijny. Tym samym staje się „pielgrzymem niereligijnym” – zwraca uwagę prof. Sołjan. To jakoś kłóci się z podaną wcześniej sakralną ideą pielgrzymki, ale zjawisko niereligijnego pielgrzymowania jest też świadectwem dużych przemian w samej duchowości. – Jeśli tradycyjne sposoby nie zapewniają realizowania potrzeb duchowych współczesnego człowieka, to siłą rzeczy zachodzi zmiana – uważa prof. Sołjan i dodaje, że choć przemianie mogą ulegać formy, to jednak idea poszukiwania duchowości pozostaje zbliżona. Podobnego zdania jest Jankowiak, który nie ukrywa, że część klientów zainteresowanych pieszymi pielgrzymkami poszukuje spowolnienia i refleksji, ale z powodów osobistych nie chce tego robić w towarzystwie księdza, choćby ze względu na powszechny spadek zaufania do Kościoła.

– Pandemia przyspieszyła procesy sekularyzacji. Widać przecież, że do kościołów wierni nie powrócili w takiej liczbie, w jakiej uczęszczali przed koronawirusem. W Polsce szczególnie wyraźny jest

przykład młodzieży – twierdzi geografka. – Warto przyrzeć się np. pielgrzymkom maturzystów na Jasną Górę. Wydaje mi się, że w jakimś stopniu są one praktyką wymuszoną na młodzieży, jednak stanowią wyrażnie zaznaczającą się grupę w ruchu pielgrzymkowym. Jak będą one wyglądać przy takim spadku uczestników lekcji religii? – pyta prof. Sołjan.

Być może obserwujemy przemianę modelu pielgrzymowania w kierunku indywidualistycznym. Mówi Rafał Jankowiak: – Nasze wycieczki w ramach Camino są inaczej prowadzone: przewodnik opisuje rano etap, miejsce docelowe, natomiast pielgrzym może pokonywać trasę sam. Jeśli ktoś czuje się niepewnie w obcym kraju, może iść z przewodnikiem. To po prostu inny typ pielgrzymy, który jest bardziej podmiotowy i chce samodzielnie kształtować swoją pielgrzymkę – dodaje.

– W Lourdes obecnie podejmowany jest wieloletni program odrodzenia sanktuarium w wymiarze krajowym, do którego włącza się rząd francuski. To nie tylko wynik pandemii, ale również powszechnej w kraju nieznajomości tego miejsca – twierdzi prof. Sołjan. – Profil duszpasterski sanktuarium zmienia się, by coraz bardziej uwzględnić potrzeby pielgrzymów indywidualnych, którzy stanowią tam aż 70 proc. wszystkich wiernych.

Jak to wygląda w Polsce? Zdaniem badaczki polskie sanktuaria zdecydowanie nie zwracają uwagi na pielgrzymę indywidualnego, nadal biorąc za dobrą monetę fakt, że ponad połowa przybywających do nich osób uczestniczy w wyjazdach zorganizowanych. – Gdy do sanktuarium przybywa pielgrzymka zorganizowana, to nie sanktuarium ją organizuje, ale pielgrzymi lub inne podmioty, np. parafie. Porównując to ze znaną mi sytuacją francuską, widzę, że w Lourdes powstają oddzielne, przeznaczone dla osób indywidualnych programy duszpasterskie, ale też po prostu ścieżki zwiedzania, pojawia się jakaś oferta możliwości poruszania się po tym miejscu – opisuje prof. Sołjan. – W Polsce ze względu na silne historyczne powiązanie Kościoła z sytuacją polityczną kraju, czynnik narodowy i patriotyczny nadal odgrywa w sanktuariach dużą rolę, czego przykładem może być Jasna Góra czy Licheń. Prawdopodobnie tradycyjne, zwłaszcza pieszne pielgrzymki nadal będą miały miejsce i nie przeszkodzi im pandemia, co trzeba uznać za pewien fenomen Częstochowy i innych polskich kierunków pielgrzymkowych – podsumowuje badaczka. – Jednak powszechna tendencja się zmienia, a klient indywidualny ma swoje wymagania. Potrzebuje udostępniania sanktuarium na innych zasadach. ©

POŻEGNANIE

W wieku 88 lat zmarł w Mińsku

Ś.†P.

Aleksander Pruszyński

Syn Marii z Meysztowiczów i Ksawerego Pruszyńskiego

Urodzony 4 maja 1934 roku w Rohoźnicy (Białoruś) i tam zostanie pochowany w miejscu, które zawsze bardzo kochał.

Absolwent SGPiS w Warszawie, dziennikarz i publicysta,
działacz polonijny w Kanadzie,
wydawca dziennika „Słowo Solidarności” w Toronto.O pamięć o Olu – dobrym i zawsze pomocnym człowieku
– prosi siostra Maria Pruszyńska-Boni.

Pozostawił w smutku i bólu rodzinę, bliskich i bardzo wielu przyjaciół.

Nie będziemy mogli odprowadzić go na miejsce wiecznego spoczynku,
wierzymy, że białoruska ziemia lekką mu będzie.

Liturgia niekonsekwentna

PIOTR SIKORA

Zamiast tłumić spór z tradycjonalistami, jak to usiłuje robić papież, warto wykorzystać stawiane przez nich kwestie i przemysleć fundamenty wiary.

KONTEKSTEM POWSTANIA NAJNOWSZE-
go listu apostolskiego papieża Franciszka „*Desiderio desideravi*”, poświęconego formacji liturgicznej, jest z pewnością kościelna polityka – a dokładniej: problemy, jakie Franciszkowi sprawia tradycjonalistyczna opozycja. Jednoznacznie wskazują na to odniesienia do *motu proprio* „*Traditionis custodes*”, w którym papież ograniczył możliwość celebracji liturgii w rycie przedsoborowym, oraz fragmenty, w których wyraźnie sugeruje, by zaprzestać sporów o liturgię i zaangażować się w odkrywanie jej piękna w posoborowej formie.

Spotkanie bez granic

Błędem byłoby jednak zlekceważenie teologicznej treści tego dokumentu, który zawiera ważne – choć nie zawsze bezdyskusyjne – idee dotyczące podstaw chrześcijaństwa i fundamentów ludzkiej relacji do *sacrum*.

Franciszek przypomina rzecz, która właściwie powinna być oczywista: że chrześcijaństwo nie polega ani na wspomnianiu życia Jezusa, ani na przyjęciu pewnych idei i reguł postępowania, lecz na spotkaniu ze Zmartwychwstałym, a nawet więcej: na staniu się Nim (p. 41). Znamienne jest, że trzeba o tym przypominać. Potrzeba ta pokazuje na istotne zmiany w samorozumieniu chrześcijan. Dzisiaj wielu z nich postrzega swoją wiarę właśnie w kategoriach doktrynalnych, moralnych czy społeczno-kulturowych. Papież próbuje przywrócić wizję bliższą tej, jaka była oczywista dla pierwszych uczniów Jezusa, a która, choć nigdy w historii nie zanikła, to często stawała się mniej wyraźna i rozpowszechniona. Dlatego pisze: celebrowanie liturgii jest właśnie wydarzeniem takiego spotkania człowieka z Bogiem.

Problematiczna w liście papieża jest jednak sugestia, iż jest to jedyne takie miejsce. Czytamy np.: „gdybyśmy w jakiś sposób przybyli do Jerozolimy po Pięćdziesiątnicy (...), nie mielibyśmy żadnej innej możliwości spotkania Go [Jezusa – PS], jak tylko we wspólnocie, która celebrowa” (p. 8). Tak opisana sytuacja „czasu początków” Kościoła traktowana jest zaś jak wzorzec ważny dla wszystkich innych czasów.

Natychmiast nasuwa się w tym kontekście przykład Szawła z Tarsu i wydarzenie, które spotkało go co prawda nie w samej Jerozolimie, lecz na drodze ze Świętego Miasta do Damaszku. Szawel spotkał Zmartwychwstałego wewnątrz siebie (por. Ga 1, 16), poza przestrzenią wspólnotowej celebracji pierwotnego Kościoła. Obecność Boga nie jest ograniczona do sakramentów. Jak mówił tenże Szawel do Ateńczyków: „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28).

Dziwne w papieskim liście jest nie tylko pominięcie tego wątku, lecz także przeciwstawienie spotkania Chrystusa w liturgii poszukiwaniu i spotkaniu Go w swoim wnętrzu. Kontekstem jest papieska krytyka dwóch „trucizn światowości” – gnostycyzmu i pelagianizmu. Liturgia – pisze papież – zabezpiecza nas przed zgubnymi wpływami obu.

Papieska diagnoza zawiera sporo skrótów myślowych, które mogą sugerować, że Franciszek krytykuje ważne elementy chrześcijańskiej tradycji. Najbardziej widać to w przypadku „gnostycyzmu” (rozumianego przez Franciszka bardzo specyficznie).

Gnostycyzm – wedle papieża – zawęża wiarę chrześcijańską do subiektywizmu, który zamyka nas w naszych własnych myślach i uczuciach (p. 17). Takie zamknięcie nie jest, oczywiście, zdrową

postawą duchową. Tym niemniej równie niezdrowy jest brak kontaktu ze sferą własnej podmiotowości. Można zaś wysunąć uzasadnioną hipotezę, że ta druga „choroba” jest współcześnie rozpowszechniona nawet bardziej niż pierwsza.

Dwie strony medalu

W tym kontekście dziwnie brzmi papieska krytyka nawoływań do „większej wewnętrzności” w przeżywaniu liturgii. Franciszek pisze: „Wewnętrzność może prowadzić do ryzyka zredukowania się do pustej subiektywności, jeśli nie bierze z sobą objawienia chrześcijańskiej tajemnicy. Spotkanie z Bogiem nie jest owocem indywidualnego, wewnętrznego poszukiwania Go, lecz wydarzeniem, które jest dane” (p. 24).

Jak wskazuje przykład wielkich świętych i mistyków Kościoła na przestrzeni całej historii chrześcijaństwa, przeciwstawienie ludzkiego „indywidualnego, wewnętrznego poszukiwania” otrzymanemu przez człowieka „wydarzeniu spotkania” nie jest adekwatne względem rzeczywistości. Widać to już na samym początku, choćby w historii życia Szawła z Tarsu. W V w. św. Augustyn odkrywa, że Bóg jest mu bliższy niż on sam sobie, i zwraca się w „Wyznaniach” do Boskiej Piękności: „W głębi duszy byłaś, a ja się po świecie błąkałem i tam szukałem Ciebie, beładnie chwytając rzeczy piękne, które stworzyłaś. Ze mną byłaś, a ja nie byłem z Tobą”. W wieku XVI Teresa z Ávili słyszy od Boga słowa: „Szukaj Mnie w sobie, szukaj siebie we Mnie”. W XX wieku Edith Stein dokonuje tego samego odkrycia, co biskup Hippony: „Jesteś mi bliższy niż ja sama sobie, bardziej wewnętrzny niż moja wewnętrzność”.

Papieski sceptycyzm wobec „wewnętrzności” jest tym trudniejszy do uzasadnienia, że Franciszek wyraźnie podkreśla symboliczny charakter celebrowania liturgicznej. Trafnie przy tym wskazuje na naturę działania symboli, „która nie polega na odnoszeniu do jakichś abstrakcyjnych pojęć”. Symbole – zauważa dalej papież – oddziałują z mocą na człowieka „zawierając i wyrażając w samej swojej konkretności to, co oznaczają” (p. 26).

Jak jednak pokazują niemal jednomyślnie współczesne filozoficzne analizy, istotnym aspektem działania symboli



Msza święta w rycie trydenckim. Warszawa, 2006 r.

– i o tym już papież nie wspomina – jest otwieranie przed człowiekiem głębi jego własnej podmiotowości. Innymi słowy: zdolność zaangażowania się w działanie symboliczne, które papież uznaje w tym samym dokumencie za istotową cechę aktu liturgicznego, jest zdolnością dotarcia do swojej „wewnętrzności”. Jest to też, oczywiście, zdolność otwarcia się na boską rzeczywistość uobecniającą się w owym rytualnym działaniu. Jednakże działanie symboliczne jednoczy obie sfery – głębię ludzkiej podmiotowości oraz obecność *sacrum*; nie ma między nimi żadnej sprzeczności, co więcej: nie powinno być nawet napięcia.

Niespójność liturgicznej praktyki

W kontekście współczesnej katolickiej praktyki liturgicznej warto poważnie potraktować trafną obserwację Franciszka: że symbole działają nie przez odniesienie do abstrakcyjnych idei, lecz w ten sposób, iż to, co oznaczają, zawiera się i wyraża w ich konkretnej, namacalnej treści. W konsekwencji papieskie uwagi o ko-

nieczności wypełniania wszystkich rubryk liturgicznych i o niewłaściwości improwizacji podczas celebracji liturgii nie powinny być rozumiane legalistycznie, tj. w sensie konieczności zgodności akcji liturgicznej z przepisami prawa kanonicznego. Chodzi raczej o uwzględnienie wewnętrznej logiki symboli wynikającej z ich konkretnej treści. Przyjęcie takiej perspektywy wymagałoby jednak istotnych zmian we współczesnej praktyce liturgicznej – np. w celebracji Eucharystii (i to zarówno w rycie przed-, jak też posoborowym).

Oto przykład miejsca, gdzie dotychczasowa praktyka narusza wewnętrzną logikę symboli: centralnym działaniem symbolicznym w Eucharystii jest ofiarowanie przez celebrującą wspólnotę chleba i wina, złożenie ich na ołtarzu, przemiana boską mocą w Ciało i Krew Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego Chrystusa oraz spożycie przemienionych darów przez uczestniczki i uczestników celebracji. Modlitwa wypowiedziana przez przewodniczącego liturgii bi-

skupa lub prezbitera wskazuje, że chodzi o chleb i wino, które przynosi (!) wspólnota, a które oznaczają to, co uczestniczki i uczestnicy celebracji otrzymali w życiu od Boga i co sami stworzyli swoim wysiłkiem. Można powiedzieć, że liturgiczne symbole zawierają i wyrażają całą ich egzystencję – przyniesioną i złożoną na ołtarzu.

Wiele mówi konkretna treść chleba i wina. Chleb to pożywienie codzienne, podstawowe. Wino w tradycji biblijnej wyraża radość i świętowanie. Można powiedzieć, że wspólnota składa swoją codzienność i wszelkie chwile szczególne, uroczyste, trud życia i jego radość. Całe to życie zostaje na ołtarzu przemienione mocą Ducha i – na zewnątrz takie samo, ale w istocie już jako boskie – oddane każdej i każdemu.

Warto spytać: jak do tej wewnętrznej logiki działania symbolicznego ma się praktyka liturgiczna, w której chleb i wino złożone na ołtarzu wcale nie zostały przyniesione przez konkretną wspólnotę celebrującą rytuał? Jak ma się do treści symbolu fakt, że przewodniczący celebracji, odnosząc się do przemienianego właśnie konkretnego chleba i wina, mówi – w imieniu Chrystusa – „bierzcie i jedzcie z tego wszyscy (...), bierzcie i pijcie z niego wszyscy”, a następnie przemienione postacie zjada i wypija sam, po czym pozostałym uczestnikom rozdaje chleb przemieniony, ale nie teraz, lecz podczas zupełnie innej celebracji?

Można zapewne odpowiedzieć, że jeśli przepisy zostały zachowane i słowa konsekracji wypowiedziane poprawnie, to „msza była ważna”, oraz że przecież komunikanty wzięte z tabernakulum są tak samo Ciałem Chrystusa, jak te konsekrowane podczas aktualnej liturgii. Taka odpowiedź byłaby przekonująca jedynie w perspektywie, w której liczą się abstrakcyjne idee i przepisy prawne. Świadczyłaby o braku wrażliwości symbolicznej i zdolności do zaangażowania się w symboliczno-rytualne działanie – czyli tego, o co słusznie dopomina się papież.

Brak wrażliwości symbolicznej i praktyka liturgiczna, która nie liczy się z treścią symboli, są ze sobą powiązane. Razem wpływają zapewne na coraz szybszy spadek liczby uczestników liturgii. Nic dziwnego – niespójnym symbolem trudno dać się prowadzić. ©



RICK FINDLER / GETTY IMAGES

Mnisi na górze Athos, Grecja, 6 grudnia 2016 r.

Szlaki Świętej Góry

MARIUSZ SAWA

Nieznajomość realiów mniszej republiki na Athos prowokuje szerzenie w mediach teorii spiskowych wokół tego ważnego dla prawosławia miejsca.

DOCHODZĄCY Z ZALESIONYCH, SPOWITYCH mrokiem gór przejmujący chichot hien sprawia wrażenie głosu z zaświatów – zwłaszcza, gdy człowiek w uduchowionym nastroju udaje się do średniowiecznej cerkwi na liturgię. Pośród oświetlonych jedynie woskowymi świecami świętych ikon oraz przesuwających się bezszelestnie między nimi odzianych w czarne szaty mnichów pielgrzym stawia sobie pytanie – po co tu przyjechał?

Przyciąganie

Po wielu latach refleksji nad prawosławiem wizyta na greckim Athosie, w du-

chowym sercu światowej ortodoksji, wydawała mi się naturalną koniecznością. Decyzję o wyjeździe podjąłem przy podlaskim stole w Czeremsze, w przeddzień Święta Przemienienia Pańskiego. Rostysław Kramar, który mnie wówczas gościł, człowiek otwartego intelektu, na Świętą Górę pielgrzymował już kilkakrotnie. Trudno było o lepszego towarzysza podróży. Planowany wyjazd miał mieć charakter pielgrzymkowy, a co za tym idzie, przynieść nerwom ukojenie poprzez izolację od spraw światowych.

Nie doszedłby jednak do skutku, gdybyśmy nie zakupili biletów 23 lutego, na dzień przed wybuchem wojny. Poważ-

nie się potem wahaliśmy, czy wyjeżdżać, podczas gdy sytuacja stała się tak dramatyczna. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy i spróbujemy dotrzeć do przynajmniej jednego miejsca związanego z kijowskim prawosławiem.

Niedostępność

Z polskiej perspektywy, zwłaszcza w dobie internetu, Athos z pozoru nie wydaje się czymś mocno nieznanym. W języku polskim napisano co najmniej kilka dobrych tekstów na temat historii i życia w republice mnichów. Przetłumaczono również dobre książki zachodnich autorów. Mimo to miejsce to sprawia wrażenie niedostępnego i w pewnym stopniu z określonych względów takie w istocie jest. Leży na Półwyspie Chalcydyckim, na terytorium Grecji, ale dostać się do niego można jedynie drogą morską, promem i to po uzyskaniu zezwolenia (diamonitirionu) na pobyt nie dłuższy niż cztery dni. Półwysep zasiedlony mnichami jest miejscem specyficznym, gdzie nawet prawu Unii Europejskiej postawiono granice. Dodatkowym utrudnieniem jest bowiem fakt, że mogą tam wejść jedynie mężczyźni. Kobiety nie mają wstępu. Je-

dyną, jak mówi legenda, która odwiedziła Athos, była Matka Boża. Stąd też wszystkie kamienie na wybrzeżu, którym się przechadzała, mają dzisiaj kształt Jej stopy.

Nie każdemu też będą odpowiadały warunki lokalowe panujące w monasterach. Przykładowo w Kastamonitu nocowaliśmy w kilkusobowym pokoju ogrzewanym piecem opalonym drewnem, oświetlanym lampą naftową, w którym nie było gniazdek elektrycznych. Jeśli do tego uświadomimy sobie, że w upalne dni nie tylko ujrzymy pływające w Morzu Egejskim delfiny, ale także wygrzewające się na górskich szlakach żmije, potencjalnego pielgrzyma może to odstraszyć. Surowa reguła życia mnichów, w tym wielogodzinne nocne nabożeństwa oraz ograniczony dostęp do niektórych obrzędów i miejsc dla ludzi spoza Kościoła prawosławnego, może okazać się mało zachęcający dla przeciętnego Europejczyka.

Inność

Obok poczucia bliskości z atoskim prawosławiem – w końcu to ten sam, jeden Kościół powszechny – dostrzegliśmy jego inność. Wynika ona ze specyfiki życia mnichów, które odmienne jest od naszego. Odmienność ta przejawia się choćby w specyficznym pojmowaniu roli człowieka na ziemi oraz stosunku do jego szczątków. Dla mnie jako osoby, która od kilku lat amatorsko zajmuje się ratowaniem zabytkowych prawosławnych cmentarzy Chełmszczyzny, uderzający był los atoskich nekropolii. Nie ma ich tam wiele i są praktycznie niewidoczne. Zazwyczaj mają formę niewielkich poletek z drewnianymi, krzywo wetkniętymi w ziemię niskimi krzyżami z wypisanymi imionami i datą śmierci. Bodajże raz, nieopodal jednej z chilendarskich kaplic, dostrzegłem grób kamienny sprzed kilkudziesięciu lat. Mniszym kościom nie jest dane spoczywać w ziemi do zmartwychwstania. Po krótkim czasie są wykopywane, a czerepy obmywa się winem i umieszcza w ossuariach.

Zmysły

W wymiarze zmysłowym doświadczyliśmy przeżyć nigdy wcześniej poza Athosem niespotykanych. I trzeba zauważyć, że nie zawsze były one wzniosłe, co nie znaczy, że nie wyzwały z czasem głębszych duchowych doznań. Atoska co-

dzienność hagiorytów to nie tylko woń cerkiewnego kadzidła, ale także zapach przepoconych *rias* (mnisich habitów). To nie tylko szlachetny dźwięk dzwonów przypominających o nadchodzącej modlitwie, ale również rozchodzące się po świątyni podczas nocnych śpiewów chrapanie zmęczonego mnicha w stalli. To odczuwalny na ustach chłód całowanej cudotwórczej ikony, ale też nieprzyjemna w dotyku wyliniała sierść wygłodniałych przyrmonasterskich kotów.

Nigdzie poza Athosem tyle radości po kilku godzinach nocnej modlitwy nie przyniósł mi dźwięk obstukiwanych po posiłku metalowych misek i nigdzie indziej wegańskie potrawy, w tym owoce morza popijane czerwonym, idealnie schłodzonym winem, nie smakowały tak wyśmienicie. Nie wiedziałem też, że słodka kawa w połączeniu z jeszcze słodszy lukum oraz wysokoprocentowym anyżowym ouzo podawanym na powitanie może tak pokrzepić utrudzonego górką wędrówką pielgrzyma.

W Polsce

Duch Athosu jest obecny także nad Wisłą. W 2010 r. w nadbużańskim Terespolu Ikona Matki Bożej Szybko Spełniającej Prośby zaczęła toczyć mirro, czyli – mówiąc prościej – płakać. Jej prawzór znajduje się w jednej z kaplic atoskiego klasztoru Dochiariu. Czczona w Polsce Ikona Iwerskiej Matki Bożej również objawiła się przed wiekami właśnie na Athosie. Jeden ze świętych polskiej Cerkwi z monasteru nad Bugiem, Antoni Supraski, zanim poniósł męczeńską śmierć w Salonikach, żył właśnie na Athosie. Zresztą związki wyznawców prawosławia i Rzeczypospolitej ze Świętą Górą, Polaków i Rusinów, wciąż czekają na swoich badaczy. Greckie prawosławie obecne jest ponadto w wystroju niektórych polskich świątyń, np. w żeńskim monasterze w Turkowicach. Nie wspominając już o tym, że dźwięk kadzidła czy też zapach palonego w nim ładanu są niemal identyczne w cerkwiach na Athosie oraz w Polsce.

Nad Dnieprem

Również Ukraina może poszczycić się związkami ze Świętą Górą. Korzenie ukraińskiej kultury wywodzą się także z Athosu. Mnisi ruscy już od co najmniej początku XI wieku posiadali tam swój monaster. Co ciekawe, klasz-

tor rosyjski św. Pantalejmona był współtworzony przez przodków nie tylko dzisiejszych Rosjan, ale również Białorusinów i Ukraińców. Warto dodać, że przez 35 lat jego ihumenem był, represjonowany w młodości przez reżim komunistyczny, zmarły w wieku 101 lat w 2016 r. starzec z Ukrainy, Jeremiasz (Alechin). Jedno z podań mówi, że w pobliżu monasteru Esfigmenu, na Górze Samaria, istniała pieczara św. Antoniego Peczerskiego, mnicha, pustelnika, ascety i założyciela Ławry Peczerskiej (X-XI wiek). Na wzgórzu tym stoi dzisiaj, odwiedzona przez nas, nieużytkowana XIX-wieczna cerkiewka.

Ukraińcy pielgrzymowali na Athos przez stulecia. Jednym z najsłynniejszych był Iwan Wszeński (XVI-XVII wiek), mnich i publicysta, gorliwy obrońca prawosławia w wersji ascetycznej i radykalnej oraz zwolennik bezkompromisowej postawy wobec świata świeckiego. Na duchowe centrum światowego prawosławia składały się także placówki założone przez emigrantów z Ukrainy, w tym wojowniczych Kozaków. Jednym z ciekawszych był założony w połowie XVIII wieku skit Czornyj Wyr. Resztki tego monasteru, z widocznymi śladami kozackiego baroku, popadają dzisiaj w ruinę. Innym z kolei był skit św. Ilii (Eliaza) założony przez Paisjusza Welyczkowskiego.

Biorąc to wszystko pod uwagę, szczególnie dzisiaj, zauważalna staje się na Athosie nieobecność zorganizowanego życia monastycznego wywodzącego się z naszego kręgu kulturowego, a zwłaszcza monastycyzmu ukraińskiego.

Różnorodność

Niestety nie tyle nieznamość wpływów Athosu na słowiańskie prawosławie, co po prostu struktur atoskiego „państwa” umożliwia szerzenie teorii spiskowych wokół Świętej Góry, w tym na potrzeby dzisiejszej walki propagandowej związanej z wojną rosyjsko-ukraińską. Kilka tygodni po naszym powrocie ukazał się artykuł błędnie sugerujący, że duchowe serce światowego prawosławia bije rytmem Cerkwi moskiewskiej („Ciemna strona mnichów ze świętej Góry Athos. To koń trojański Rosji w UE”; Onet.pl). Tymczasem na Półwyspie istnieje dwa-ście monasterów oraz ich filie, a tylko jeden z nich jest rosyjski. Pozostałe są w przeważającej większości greckie, ale



RICK FINDLER / GETTY IMAGES

Szczątki mnichów, którzy kiedyś zamieszkiwali jeden z klasztorów na górze Athos, przechowywane są w srebrnej skrzyni. Grecja, 6 grudnia 2016 r.

→ również serbskie i bułgarskie. My odwiedziliśmy cztery: XII-wieczny serbski Chilandar i trzy greckie: X-wieczny Esfigmenu oraz XI-wieczne Kastamonitu i Dochiariu.

Chilandar, do którego założenia przyczynił się św. Sawa, w sensie duchowym i historycznym jest tym, czym Jasna Góra dla polskich katolików. Specyficzne miejsce to natomiast Esfigmenu, którego mnisi przed półwiekiem, siłowo wręcz, zerwali jedność z Patriarchatem Konstantynopolańskim na gruncie krytyki eklezjalizmu. Mieliśmy okazję zostać przez nich ugoszczeni. Ich codziennym zmaganiom przyświeca hasło „prawosławie albo śmierć”, odrzucają szczepienia przeciwko covid, zaś ściany w ich pokoju gościnnym zdobiją antypapieskie i antypatriarsze fotografie z odpowiednimi komentarzami.

Przez krótki czas przebywaliśmy w stolicy, Karies, gdzie odwiedziliśmy najważniejszą świątynię Athosu, czyli katedrę Zaśnięcia Bogarodzicy z 962 r. z jej największą świętością – ikoną Matki Bożej „Godne jest”. Ostatni z naszych monasterów, Dochiariu, uosabiający potęgę dawnego Bizancjum, sprawia wrażenie jednego z najbardziej prężnych. Funkcjonuje przy nim szkoła cerkiewna dla chłopców. Należy przez to do tych wspólnot cenobi-

W wystawionej księdze pielgrzymów były wpisy mówiące zarówno o „Wielkiej Rosji”, jak i te sporządzone ręką pielgrzymów z wymordowanej przez nią ukraińskiej Buczy.

tycznych, które doskonale orientują się w problemach współczesnego świata. Miałym zaskoczeniem były dla nas słowa modlitwy za Ukrainę wypowiedziane przy posiłku przez tamtejszego ihumena. Sympatia Greków względem Ukrainy wiąże się z sentymentem do dawnych greckich kolonii. Wzrosła natomiast po zniszczeniu przez Rosjan Mariupola, gdzie w pierwszych dniach wojny zginęło dziecię Greków.

Spotkania

Relacje pielgrzymów z Athosu często opisują przełomowe spotkania z uduchowionymi starcami. Niejeden grecki eremita zmienił postrzeganie świata u niejednego

pątnika z Zachodu. My natomiast nie wszystkie wypowiedzi, które usłyszeliśmy na Athosie, zaliczymy do uwznioślających. Co najmniej dziwnie zabrzmiały słowa zgorzkniałego mnicha, którego spotkaliśmy w stolicy – Karies. Zakonnik ten, który przeżył tam już 40 lat, wygłosił do nas monolog przepełniony stereotypami i teoriami spiskowymi na temat Ukrainy i USA, a także czymś w rodzaju przepowiedni odnoszących się do mającej wybuchnąć rzekomo w określonych miejscach wojny jądrowej. Sądziłyśmy, że od tego typu doświadczeń uciekniemy.

W pamięci zapadnie nam natomiast znajomość ze spotkaną w deszczowy dzień osobą świecką. W oczekiwaniu na zakwaterowanie w monasterze Dochiariu przeglądaliśmy wpisy w księdze pielgrzymów. Były w niej i te mówiące o „Wielkiej Rosji”, jak i te sporządzone ręką pielgrzymów z wymordowanej przez nią ukraińskiej Buczy. Naszym żywym komentarzom przyglądał się starszy mężczyzna, obok którego leżał poobcierany plecak oraz para wysłużonych kijów, służących do pokonywania górskich ścieżek. Odnieśliśmy wrażenie, iż ów pielgrzym doskonale rozumie, o czym mówimy. W pokoju okazało się, że jest to Pavle Rak, słoweński intelektualista, publicysta, badacz prawosławia, a przede wszystkim tłumacz mający w dorobku wiele przekładów na język serbski. Pavle, mimo że miał żonę Rosjankę oraz paryskie kontakty naukowe z Rosjanami, stwierdził kategorycznie, iż nie będziemy tam, w świętym miejscu Grecji, rozmawiać po rosyjsku.

– Nie po tym, co się stało! – dodał stanowczo.

■ ■ ■

Wiele osób pytało mnie o wspomniane w pierwszym zdaniu hieny – od kilku lat notuje się ślady ich obecności na Athos, nie wiadomo, jak się tu znalazły. Najbliższym ich siedliskiem jest Turcja.

© MARIUSZ SAWA

Korzystałem z: Aleksander W. Mikołajczak, Rafat Dymczyk „Athos. Wzrok Świętej Góry” (Poznań 2010); Heinz Nussbaumer „Odkryć w sobie mnicha. Pielgrzymując na górę Athos” (Warszawa 2008) oraz „Święta Góra Athos w kulturze Europy. Europa w kulturze Athosu”, red. Marzanna Kuczyńska (Gniezno 2009).

WOJCIECH

Bonowicz:

Tuż przed



ALICE URODZIŁA SIĘ W PATERSON. TAK, tym sławnym Paterson z poematu Williama Carlosa Williamsa i filmu Jima Jarmuscha. Przez pewien czas mieszkała nawet przy głównej ulicy, którą w filmie codziennie przemierza autobus prowadzony przez Adama Drivera. „Wspaniały aktor. Uwielbiam go”, mówi. „Cały film jest bardzo dobry, widziałem go sześć razy”, dodaje, choć nie wyjaśniam, dlaczego. Kiedy przed laty, tuż po studiach, mieszkałem w New Jersey, pisałem wiersze, pracując jako *roomkeeper*, a potem także pomocnik we włoskiej restauracji. W zimne dni jeździłem do pracy podobnym autobusem, który z przodu miał automat na monety, a ruszając z przystanku kołysał się niczym zmęczony człowiek.

W poezji nie ma nic niezwykłego, ot, robota jak każda inna. Przed południem jesteś kierowcą, sprzątasz pokoje albo wykładasz w college'u, a po południu siadasz nad kartką papieru i zamiast planować wydatki lub projektować przebudowę ganku, coś tam zapisujesz. To zapisywanie nie ma żadnego praktycznego celu poza jednym – robisz to, bo musisz to robić. Nawet wtedy, gdy zapisy są nieudane, pisanie nie sprawia ci radości albo myślami jesteś gdzie indziej – wracasz do pustej kartki. Siedzimy z Alice w barze na rogu Starowiślniej i Dietla, trzymamy w rękach olbrzymie filiżanki kawy i rozmawiamy o poezji, szukając wspólnych znajomych i wspólnych wątków.

Alice Lyons przyszła na świat jako córka irlandzkich imigrantów. Zanim w 1998 r. zdecydowała się wrócić do kraju przodków, mieszkała i studiowała w Stanach.

Firankowa Irlandka, przezywali moją matkę, co znaczyło, że nie wolno mi było mówić deli, ave lub coffee na modłę
New Jersey,

„delicatessen, avenue, ka-fi” – poprawiała.

Co znaczyło: żadnych bikini i przekłutych uszu –

„Tylko Grecy i Cyganie tak się noszą”.

Jej zamięłowanie do poprawności sięgało nawet zasłon.

Trzeba je było zaciągać akuralnie, „na pokaz”

tak by od zewnątrz miały wygładzony wygląd.

Na pytanie o zasłony lub dlaczego w słoneczne dni

suszymy pranie w suszarce

ta sama ostra odpowiedź:

„Chcesz, żeby ludzie brali nas za Portoryków?”

– wspomina w jednym z wierszy (podaje go, podobnie jak kolejny, w przekładzie Justyna Huni). Fragment jest charakterystyczny i uruchamia kolejne skojarzenia: kiedy jest się „nie stąd”, człowiek bardzo się stara, żeby nie wzięto go za kogoś

innego, niż jest. Szybko więc znajduje sobie takich, którzy są „nie stąd” jeszcze bardziej. Dla Polaków, których spotkałem w New Jersey, takimi gorszymi migrantami byli właśnie Portorykańczycy.

Alice nie lubiła tych podziałów. Nie lubiła też amerykańskich przedmieść, gdzie stawiano domy w rzędach, tak jak się to dziś robi w okolicach każdego większego polskiego miasta. Osiedla-podróbki, tak je nazywa w jednym z wierszy, bo obiecywały coś, czego dać nie mogły, oferując w rzeczywistości same namiastki – domu, prywatności, wspólnoty i bliskości z naturą. Właśnie na takie osiedle, jeśli dobrze zrozumiałem, wyprowadziła się w końcu jej rodzina. I przed takim osiedłem Alice uciekła do Irlandii. Uciekła – to znaczy wróciła. Teraz ma pod dostatkiem pustych wzgórz i wody, i przyjaciół, z którymi regularnie chodzi na spacer po tych pustaciach.

Jest mała i krucha, ale kiedy z nią rozmawiam, wydaje mi się dyskretną rebeliantką, delikatną, lecz upartą rewolucjonistką, kimś od dawna znajomym.

Przyjechała zbierać materiały do powieści, której akcja rozgrywać się będzie częściowo w Polsce. Rozumie niektóre polskie słowa, włącza je do swoich wierszy i towarzyszących im działań artystycznych. Szorstkość i szelestliwość polszczyzny dobrze konweniują z jej wrażliwością na cierpienie, zwłaszcza takie, które latami gromadziło się w jakimś konkretnym miejscu. Alice była w Polsce kilka razy, ale nigdy nie zdecydowała się pojechać do Auschwitz. Czuje, że taka wizyta mogłaby być ponad jej siły. Natomiast jej debiutancki tom był efektem akcji zorganizowanej na schodach dawnego gmachu sądowego, gdzie angielscy sędziowie skazywali na śmierć irlandzkich wieśniaków.

Jeden z wierszy w tym tomie wydrukowała po polsku i angielsku:

Z tego wiersza nie będzie żaden bestseller.

Bardzo możliwe, że tylko mojej córce

będzie się chciało przeczytać

te słowa po mojej śmierci.

Jakże mam jej (lub tobie) wytłumaczyć,

że nigdy nie widzę wyraźnie

niż w tym wezbraniu, w tej

wypukłej chwili nieskończonego zwielokrotnienia tuż przed

wyplynięciem łez? ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem

I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 137/21 postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Marii Antczak, zmarłej 3 marca 2020 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. Skład spadku po zmarłej jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



KIEDY JEST ŻŁE, DOCENIASZ MAŁE RZECZY

Rosyjski atak zostawił na ukraińskiej stolicy i jej mieszkańcach ślady, które nie znikną przez lata.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA



CZTERY MIESIĄCE TEMU NA TYM PODWÓRKU stała grupa ludzi, a z oddali dochodziły kanonady artylerii. 45-letnia Ludmiła od dawna nie chodziła do pracy, więc nie widziała tego na własne oczy. Pracowała w niedużym sklepie spożywczym, gdzie poza drobnymi zakupami można napić się kawy lub zjeść ciastko. Choć wokół znajdują się wysokie bloki, wielu z mieszkańców znała przynajmniej z twarzy. Lubiąca zagadać Ludmiła z niektórymi się polubiła.

Dlatego może lepiej, że tego wszystkiego nie widziała. Tamtego dnia mieszkańcy bloku znajdującego się obok sklepu stali owinięci w koce, większość po prostu w piżamach, a nieliczni zdążyli założyć codzienne ubrania. Wszyscy bez wyjątku byli przerażeni, załamani, źli. Dorobek ich życia ogień strawił w trymiga. W chwilę stali się bezdomni.

Po huknięciu pożar ogarniał klatkę schodową i kolejne mieszkania 15-piętrowego bloku. Służby ratownicze szybko znalazły się na miejscu zdarzenia, godzinami gasiły ogień, a część uwięzionych mieszkańców wyciągali, wspinając się po drabinach wozów strażackich. Mimo to zginęło pięć osób, z czego ciało jednej z nich policja znalazła dopiero po miesiącu, gdy przeszukiwała budynek.

Nad stołecznym Kijowem, gdzie do rosyjskiego ataku z 24 lutego mieszkało 3 mln ludzi, wisiała groźba, że walki przeniosą się w głąb miasta.

Ludmiła wróciła do pracy półtora miesiąca po tym wydarzeniu. Jak zwykle szła do sklepu na ósmą rano. Osmolony szkielet bloku straszył jeszcze długo. Gdy wychodziła zapalić, wzrok nie miał dokąd uciec, bo zniszczony budynek znajduje się niemal na wprost wyjścia ze sklepu. Najpierw patrzyła na niego z przerażeniem i pewną niechęcią, bo od razu jej myśli wędrowały do zwęglonych ciał.

To się zmieniło, gdy w okolicy pojawili się robotnicy. Szlifowali bez wytchnienia, a Ludmiła widziała, jak niemal z dnia na dzień zniknął smolisty osad i zastępowała go biel.

– Jest głośno i strasznie się pyli, ale to nic. Najważniejsze, żeby ten blok odbudowali – przyznaje.

→

Zniszczony rosyjski sprzęt wojskowy na placu Mychajłowskim. Kijów, lipiec 2022 r.

Chwila beztroski

→ W pierwszych dniach lipca niewiele zostało z ponurej atmosfery tamtego marcowego poranka. Już dawno temu okolica się zazieleniła, a gęste liście trochę ukryły blok, który wówczas ucierpiał. Nie na tyle jednak, aby nie przyciągał wzroku przechodniów. Co rusz ktoś unosi głowę, by zerknąć na budynek albo zatrzymać się i zrobić zdjęcie. Wciąż wiele mieszkań w sąsiednich budynkach pozostaje bez okien, które zastąpiła folia.

Sklep, w którym pracuje Ludmiła, też był zdewastowany. Fala uderzeniowa wybiła okna i poniszczyła część z pozostawionych towarów. Wyglądało, jakby po pomieszczeniu przeszła trąba powietrzna. Wraz z właścicielem pracowali kilka dni, by doprowadzić je do ładu.

Dziś wielu spośród mieszkańców wróciło na to osiedle. Mężczyzna prowadzi wózek z dzieckiem, chłopcy szaleją na podwórku, kobieta wyprowadza psa, dwóch mężczyzn pociąga piwo z butelek koło sklepu Ludmiły. Do niej co chwilę ktoś przychodzi. W gorące dni największą popularnością cieszą się lody, chłodne napoje i piwo. Mimo problemów mieszkańcy pozwalają sobie na coraz więcej beztroski, którą zabrała im wojna.

Do sklepu wbiega dwóch chłopców, wpatrują się w słodczyce za przeszkloną ladą.

– Co chcecie? – zagaja Ludmiła.

– Yyy... – tylko tyle są z siebie w stanie wydusić; nie odrywają wzroku od łakoci. Wreszcie po długiej pauzie jeden niemal wykrzykuje, jakby go nagle oświeciło: – Chupa chupsa!

Jego koledze, który nie ma pieniędzy, ewidentnie wybór się nie spodobał. Namawia go, by wziął podłużną żelkę.

– Zobacz, jest większa – mówi ściszo-nym głosem.

Cena taka jak za lizaka.

– Bierz! – namawia usilnie.

– To poproszę – mówi do Ludmiły ten z pieniędzmi i kładzie monety na plastikową tackę.

Wybiegają zachwyceni, nie zwracając uwagi na remontowany budynek.

Dziura wciąż straszy

Kilkanaście kilometrów dalej wciąż stoi inny blok z wyrwą. To tam pod koniec lutego, trzeciego dnia rosyjskiej inwazji, trafiła rakietą. Niemal 30-piętrowy blok stał się symbolem skutków wojny w Kijowie.

Mimo to już niedługo po ataku ludzie tłumnie ruszyli do znajdującego się obok supermarketu. Wówczas zamknęła się większość sklepów. Nie wiadomo było, jak długo będą otwarte te wciąż działające ani czy będzie w nich co kupić. Co chwilę ktoś podchodził z nadzieją, że zostanie przynajmniej chleb.

37-letni Ołeksandr stoi przy supermarketcie, akurat odwrócony plecami do uszkodzonego bloku. Mieszka w okolicy i do tego sklepu zazwyczaj udaje się na zakupy. Z miasta nie wyjeżdżał przez cały ten czas. Nie chciał opuszczać domu. Pamięta dzień, kiedy uderzyła rakietą, długie kolejki, puste półki, a także jak w okolicy pomagał budować posterunki, gdy rosyjscy żołnierze próbowali wdrzeć się do stolicy.

Dziś, na początku lipca, atmosfera panuje tutaj taka jak koło sklepu Ludmiły. W supermarketcie półki są pełne, działa nawet stołówka, do której co chwilę ktoś przychodzi na szybki obiad. Na parkingu nie ma wielu wolnych miejsc, a idący na zakupy lub już wracający z siatkami unoszą tylko głowę, by spojrzeć po raz kolejny na ziejącą dziurę.

Przy trafionym budynku robotnicy przenoszą metalowe elementy. Uśmiechnięty chłopak przechodzi i robi *selfie*. Lekko ugina głowę, aby było widać dziurę wybitą przez rakietę. Na parterze zniszczonego budynku działa salon kosmetyczny i jedna z popularnych sieci kawiarni. Wciąż jednak nie zapadła decyzja, co zrobić z blokiem – zburzyć w całości, usunąć tylko nieprzydatną do życia część czy po prostu załatać wyrwę. Mieszkańcy narzekają na opieszałość władz miejskich, przez co muszą działać na własną rękę.

W budynku mieszkało 400 osób, które teraz nie mogą do niego wrócić. Jeśli przed jesiennymi chłodami nie zostanie przeprowadzony remont, to mieszkania, które się ostały, też mogą ulec zniszczeniu.

To wojna na długo

Tego dnia panuje straszny skwar i duchota przed nadciągającą burzą. Dlatego Ołeksandr zrobił przerwę na piwo, spożywa je w cieniu. Do 24 lutego był pracownikiem na budowie, ale praktycznie cała branża stanęła. Nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie.

– Nikt się nie kwapi, by teraz inwestować w takie projekty. Dlatego ten sektor pozostanie martwy. Zmieni się to do-

piero, gdy zwyciężymy nad Rosją – przyznaje Ołeksandr.

Swoje przeżycia i trudności, z którymi się mierzy, stawia na dalszym planie. Jak mówi, to drobiazgi w porównaniu z przeżyciami tych, którzy stracili domy, bliskich, zdrowie czy siedzą pod ostrzałami.

– Pieniądze da się zarobić, ale życia nie przywrócisz – stwierdza. – Kiedy jest naprawdę źle, zaczynasz doceniać małe rzeczy.

Jest przekonany, że sytuacja zmierza w dobrym kierunku i wojna potoczy się pomyślnie dla Ukrainy. Nie nosi jednak różowych okularów. Zdaje sobie sprawę, że konflikt nie skończy się szybko.

– Ta wojna rozpoczęła się osiem lat temu i kolejnych osiem lat to dla mnie całkiem prawdopodobny scenariusz – uważa Ołeksandr.

W 2014 r. wybuchła wojna w Donbasie, gdzie Rosjanie i wspierający ich separatyści walczyli przeciwko ukraińskiej armii. W rezultacie tego powstały dwie nieuznawane republiki na części terytoriów obwodów donieckiego i ługańskiego, których obrona stała się pretekstem do rosyjskiej inwazji w lutym 2022 r. Tylko z powodu tamtej pierwszej ośmioletniej odsłony konfliktu zginęło ponad 13 tys. osób.

Żelbet w cenie

40-letni Ołeksandr Burlaka, architekt i artysta, zawsze myślał, że jego mieszkanie jest źle rozplanowane. Zazwyczaj na powierzchni 70 m² spokojnie mieszczą się trzy pokoje. W jego mieszkaniu były dwa. Duży korytarz wydawał mu się marnotrawstwem przestrzeni, a grube ściany utrudniały jakiegokolwiek prze-róbki.

Inaczej spojrzał na to po 24 lutego. W korytarzu wraz ze swoim szwagrem spędził dwa miesiące. Tam było najbezpieczniej. Zmieściły się tam dwa duże materace, było miejsce, by wygodnie rozsiąść się z komputerem, więc wszystko miał pod ręką. Grube ściany i porządne okna skutecznie wygłuszały wybuchy. Tylko raz, gdy fragment zbitej rakiety spadł w okolicach dworca, rozległ się huk i budynek lekko zafalował.

– Ludzie inaczej spojrzeli na swoje domy. Patrzą na te twarde elementy i zastanawiają się, czy mogą zapewnić im bezpieczeństwo – przyznaje Burlaka.

Odzwierciadliło się to na rynku kupna i wynajmu mieszkań. Te znajdujące się na ostatnich piętrach i w pobliżu poten-



Architekt i artysta Ołeksandr Burlaka po rosyjskiej agresji inaczej spojrzal na swoje mieszkanie – korytarz, który wydawał mu się zbyt duży, dawał mu schronienie przez dwa miesiące. Powyżej: blok przy ulicy Czarnobylskiej – niemal doszczętnie spalony wskutek ostrzału.

Kijów, lipiec 2022 r.

cialnych celów ataków stały się strasznie tanie.

Burlaka mówi, że jego szwagierka po powrocie do Kijowa szukała dla siebie mieszkania. Nie mogła zrozumieć, dlaczego duże mieszkanie, za wynajem którego jeszcze kilka miesięcy temu trzeba byłoby zapłacić kilkanaście tysięcy hrywien miesięcznie, teraz były do oddania za 6 tys. hrywien (równowartość niecałego tysiąca złotych). Dopiero potem spojrziała na mapę i zobaczyła, że znajdowało się w pobliżu zakładu zbrojeniowego, bez wątplenia będącego na celowniku Rosjan.

Coraz więcej osób zwraca również uwagę na to, czy w mieszkaniu są przynajmniej dwie solidne ściany, za którymi w razie czego można się ukryć. A także na to, czy budynek został wykonany z żelbetowych monolitycznych płyt. W przyjętej w czerwcu przez Radę Najwyższą ustawie wymagane jest, by każdy nowy wielomieszkaniowy budynek miał schron lub inne ukrycie.

Od końca lutego na skutek rosyjskich ostrzałów w Kijowie ucierpiało ponad 600 budynków. W pierwszej kolejności inspekcji i odbudowie ma być poddanych 360 obiektów. Z budżetu miejskiego wydzielono na ten cel 600 mln hrywien (ok. 96 mln zł), a rząd ma przeznaczyć kolejne 200 mln hrywien (ok. 32 mln zł).

Został tylko gniew

Te zniszczenia, ofiary, przemoc i wciąż tocząca się wojna powodują, że powszechną emocją jest w najlepszym razie złość.

Na placu obok Monasteru św. Michała Archaniola o Złotych Kopułach ustawiono zniszczony rosyjski sprzęt wojсковy. Są tutaj spalone czołg, artyleria, ciężarówki, samochody osobowe i pozostałości po rakietach. Odwiedzają go tłumy. Pary, rodziny, znajomi, mimo rozwieszonych ostrzeżeń o ostrych krawędziach skaczą po nich dzieci.

23-letnia Julia, absolwentka aktorstwa, jest tutaj po raz trzeci. Za każdym razem znajomi namówili ją, by poszła z nimi.

– Tym razem to ja ją poprosiłam – mówi 21-letnia Anna, także marząca o karierze aktorskiej.

Pytam, jaka emocja jej towarzyszy, gdy patrzy na wraki.

– Nienawiść – rzuca Anna.

Obie kobiety są z miasta Sumy, w stronę którego rosyjskie wojska ruszyły od pierwszych godzin inwazji. Obecnie kobiety mieszkają w Kijowie.

Mówią, że wychowały się w rosyjskojęzycznym środowisku. Latami słuchały rosyjskiej muzyki, z którą wiązało się wiele miłych wspomnień. Za każdym razem, gdy ją włączały, wracały do tamtych chwil. Teraz usuwają kolejne rosyjskie piosenki ze swoich list odtwarzania. Tylko sporadycznie się złamią i którąś sobie puszcza.

Julia marzyła o wyjeździe do Petersburga, bo wydawał się jej twórczym miastem, ale obecnie wykreśliła to miasto, jak i cały kraj, z mapy miejsc, które chciałaby odwiedzić. Przez długi czas obie mówiły po rosyjsku. Teraz używa rosyjskiego w zasadzie tylko w rozmowie z rodzicami, którzy nie potrafią płynnie mówić po ukraińsku. Ojciec Anny jest Rosjaninem, ale gdy wybuchła wojna w Donbasie, zerwał kontakty z rosyjską rodziną. Zawsze powtarzał córce, że jest Ukraińcem, choć się w tym kraju nie urodził.

– Te wraki powinny nam przypominać, że nigdy nie możemy tego wybaczyć – mówi Julia.

– Niestety po roku 2014 pozwoliliśmy, aby ta wojna została zamrożona. Gdyby teraz nie traktowali tak ludności cywilnej, nie mordowali, nie gwałcili kobiet i dzieci, może też by tak się stało. Po tym wszystkim jednak nie pozwolimy o tym zapomnieć. Został w nas tylko gniew – wtóruje jej Anna.

W Kijowie czują się bezpiecznie. Wierzą, że ukraińska armia prędzej czy później złamie rosyjską ofensywę. Chcą, by ich kraj zerwał wszelkie kontakty z północnym sąsiadem.

– Oddzieli nas granica, reżim wizowy i ostre kontrole... – mówi Anna.

– ...zbudujemy mur... – dodaje Julia.

– ...wykopimy rów...

– ...zalejemy wodą...

– ...i zupełnie się oddzielimy.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Wielka susza w dolinie Padu

PAWEŁ BRAVO

Wygląda na to, że zaciął się mechanizm, który przez wieki gwarantował tej nizinie w północnych Włoszech status jednego z najżyźniejszych i najbardziej produktywnych obszarów rolniczych w Europie.

DOKŁADNIE DZIESIĘĆ LAT TEMU MARIO Draghi ocalił w pojedynkę euro przed upadkiem. Starczyła siła jego słów, gdy zapowiedział, że kierowany przezeń Europejski Bank Centralny sięgnie po wszelkie konieczne środki (sławne *whatever it takes*), aby bronić wspólnej waluty.

To oczywiście tylko częściowo prawda – wypowiedź Dragiego uspokoiła wtedy rynki jak samosprawdzająca się przepowiednia – ale głównie jednak piękna legenda, która okazuje się bardzo przydatna dziś, gdy ten sam człowiek jest premierem Włoch na czele bardzo kapryśnej i rozdartej wieloma konfliktami koalicji. W tej sytuacji samo przekonanie o jego sile sprawczej służy jako polityczna kotwica.

Dziś jednak Draghi ma przed sobą kryzys klimatyczny i społeczny, wobec którego żadne zakłęcia nie podziałają, a przepowiednie – czy raczej prognozy ekspertów w wielu dziedzinach – posprawdzały się co do joty. Mniejsza o słowa, w obliczu katastrofalnej suszy na Nizinie Padańskiej nie pomogą nawet wielkie pieniądze na poprawę bilansu wodnego i infrastruktury hydrologicznej, zafiksowane we włoskim krajowym planie odbudowy (który w przeciwieństwie do polskiego jest już wdrażany w szybkim tempie od paru miesięcy).

Długie miesiące bez deszczu

O tym, że tego lata w dorzeczu Padu – rzeki, która jest „kręgosłupem” północnych Włoch – zabraknie wody, także w zasilanych przez dorzecze Padu kanałach irygacyjnych, oraz że elektrownie będą ograniczać moc z braku wody do schładzania turbin, było już wiadomo mniej więcej w styczniu.

Od listopada 2021 r. bowiem nad zachodnimi Alpami i zachodnią częścią Ni-

zyny Padańskiej właściwie prawie nie padało, a z kolei w górach było bardzo mało śniegu i poziom wód w alpejskich potokach i jeziorach stopniowo spadał poniżej wszelkich historycznych minimów. Już wtedy włoskie media publikowały liczne relacje z miast nad Padem, takich jak Turyn, gdzie na miejscu wartkiej rzeki widać było leniwy ciek i błotniste dno. Rolnicy, którzy w lutym musieli często sięgać po nawadnianie świeżo obsianych pól i plantacji, powtarzali: „Tylko bardzo deszczowa wiosna może nas uratować”.

Wiosna była jednak prawie bez deszczów i bardzo ciepła (średnio o dwa stopnie powyżej średniej za poprzednią dekadę). Poziom wody w Padzie i jego alpejskich dopływach dalej spadał, by osiągnąć w tej chwili około jedną trzecią przeciętnego stanu dla przełomu czerwca i lipca.

To nie pierwsza taka letnia susza (nie ma tak samo niskie stany rzek odnotowano np. latem 2017 r.), ale dopiero teraz dociera do ludzi świadomość, iż na trwałe zaciął się odwieczny mechanizm gwarantujący nizinie status jednego z najżyźniejszych i najbardziej produktywnych obszarów rolniczych w Europie: połączenie ciepłego klimatu i długiego okresu wegetacji z obfitością łatwo dostępnych zapasów wody. Zapewniał je topniejący powoli przez lato alpejski śnieg.

Ludzka konstrukcja zaporów i kraników

W przeszłości ludzie szybko nauczyli się wzmacniać działanie tego gigantycznego systemu naturalnej retencji. Już od czasów rzymskich budowali skomplikowane systemy kanałów irygacyjnych, dostarczających kapilarnie wodę w ściśle kontrolowany sposób do każdego zakątka tego regionu.



System hydrologiczny Niziny Padańskiej przypominał już od średniowiecza czysto ludzką konstrukcję, złożoną z baniek, rurek, zaworów i kraników. Od czasów, kiedy uważnie studiował je (próbując także i w tej dziedzinie coś usprawnić) Leonardo da Vinci, niewiele się zmieniło. Dwudzieste stulecie dodało tylko lepsze materiały i nieco maszynowych przekładni oraz systemy komunikacji między np. drużynami otwierającymi przepusty w danej gminie, ale sama zasada działania pozostała ta sama. Nic nie wymagało wielkich zmian, bo śniegu w górach było pod dostatkiem.

Tymczasem w tym roku nie dość, że śniegu po zimie zostało znacznie mniej, to jeszcze przez wyższe temperatury ta mniejsza ilość szybciej spływała. Już na początku czerwca obserwatorzy alarmowali, że granica zera stopni przekracza cztery tysiące metrów nad poziomem morza, i że na obszarach górskich, gdzie



Dolina Padu. Rolnik Stefano Lanzoni na wyschniętym polu kukurydzy w Casalbuttano. Czerwiec 2022 r.

powinno leżeć jeszcze co najmniej metr starego śniegu, kwitną już kwiaty – czyli dzieje się tak, jakby już był koniec lipca.

Niedawna katastrofa na lodowcu pod Marmoladą w Dolomitach, także spowodowana przyspieszonym topnieniem, jest objawem tego samego szerszego zjawiska, którego prąródłem są zmiany klimatyczne. Konsensus glaciologów przyjmuje obecnie, że do roku 2050 masa lodowców alpejskich spadnie o połowę.

Półowa stulecia to odległy termin – tymczasem jednak rolnicy z Niziny Padańskiej już widzą, czym się kończy choćby jednoroczne silne wahnięcie w dół opadów śniegu sto i więcej kilometrów od ich gospodarstwa. A przewidywany ubytek powierzchni lodowców będzie co roku osłabiał działanie tego niewyczerpanego dotąd, prostego w obsłudze systemu retencji i irygacji.

Pierwsza padnie uprawa ryżu

W tym kontekście na niewiele się zda program obiecywanych przez państwo interwencji w rodzaju budowy i odnawiania zaniedbanych zbiorników tzw. małej retencji. Rolnictwo Niziny Padańskiej, tak bardzo od stuleci przyzwyczajone do łatwego dostępu do znacznej ilości wody, po prostu nie przetrwa dzięki gromadzeniu o parę procent więcej deszczówki.

W pierwszej kolejności padnie uprawa ryżu. Włochy (a ściślej Lombardia i Piemont) są największym jego producentem w Europie – i choć z pewnością nie gra on poważnej roli w gospodarce rolnej całego kraju, to kilkadziesiąt tysięcy ludzi pomiędzy Turynem a Pawią (a także w pobliżu Werony) jest całkowicie uzależnionych od tego zboża.

Początki uprawy ryżu na dużą skalę (bo śladowo był obecny na południu Półwyspu Apenińskiego dzięki Ara-

bom już od wczesnego średniowiecza) sięgają aż XV wieku. Wtedy już istniał rozbudowany system kanałów między rzekami Ticino a Padem, służących zarówno do celów transportowych (to nimi były wiezione surowce i budulec, które uczyniły z Mediolanu wielką nowożytną metropolią), jak i do nawadniania. Szczególną rolę w tworzeniu specyficznej sieci nawodnienia odegrało kilka wielkich klasztorów (cysteri z Pawii do dziś są wielkimi producentami ryżu).

O ile rezygnacja z kukurydzy (spodziewany spadek plonów w tym roku to 40 proc., trwające obecnie z kolei żniwa pszenicy – której się nie iryguje – przyniosły ok. 30 proc. mniej zbiorów) na rzecz upraw niewymagających stałego nawadniania jest do pomyślenia, o tyle głęboko przekształcony przez kilka stuleci przez ryżowe pola obszar nie da się łatwo przekwertować na coś bardziej odpowiedniego na suche czasy.

Lepiej głośno nie mówić

Jeden z największych spichlerzy Europy – gdzie do niedawna jeszcze wiele podziałów geodezyjnych i polnych dróg szło dokładnie po śladzie działek przyznawanych w nagrodę za służbę rzymskim legionistom – przez cały wiek XX zapelniał się stopniowo zwartą miejską zabudową, a pola się kurczyły na rzecz przemysłu. Ale wciąż to uprawa ryżu, pszenicy i kukurydzy – oraz w dolnym biegu Padu ogromna produkcja melonów i arbuzów – pozostawały częścią tożsamości tych skądinąd mocno zindustrializowanych regionów. Teraz wyjałowienie Niziny Padańskiej może znacznie przyspieszyć proces utraty tej tożsamości.

Kanały przestały służyć wpierw do transportu. Wraz z upowszechnieniem się ciężarówek, długie nadbrzeża kanałów w Mediolanie – jeszcze tuż po II wojnie będące węzłem obrotu towarowego – dziś są tylko centrum rozrywki, koncertów i sobotnich imprez.

Wkrótce też może się okazać, że te mniejsze, wiejskie kanały i rowy zarosną trawą. A sieć dróg, służąca przez stulecia do ich utrzymania, zamieni się w ścieżki rowerowe dla mieszkańców.

O tym, co zrobią górskie kurorty, jeśli śniegu będzie za rok jeszcze mniej, na razie nikt z władz regionu i kraju głośno woli nie mówić.

©P



JERESAI NJIKIZANA / AFP / EAST NEWS

Sukces zambijskiej opozycji daje nadzieję na podobną zmianę w sąsiednich krajach. Na zdjęciu: zwolennicy Nelsona Chamisy, kandydata na prezydenta Zimbabwe, na wiecu wyborczym w stołecznym Harare, 20 lutego 2022 r.

Zambijski cud

ALEXIO RASHIRAI Z HARARE
(ZIMBABWE), WOJCIECH JAGIELSKI

Na południu Afryki, w tej krainie politycznej niezmienności, Zambia jako jedyna daje nadzieję, że zmiany są jednak możliwe. Tylko tutaj opozycyjne partie wygrywają wybory i przejmują władzę.

POLITYCZNY TREND JEST JEDNOZNACZNY: w krajach z południa afrykańskiego kontynentu – w Republice Południowej Afryki, Namibii, Angoli, Botswanie, Zimbabwe, Mozambiku i Tanzanii – rządzą te same partie, które przed laty wywalczyły dla nich niepodległość albo, jak

w przypadku RPA, równouprawnienie czarnoskórych jej obywateli.

Wyjątki potwierdzają tam regułę. Bo choć głosowania skutkują zmianą rządzących formacji w Malawi oraz w górzystym Lesotho, to oba te kraje nie liczą się w regionalnej polityce i nie dyktują politycznych mód. Zresztą w niepodległym od 1964 r. Malawi tamtejsza partia założycielska, która po trzech dekadach rządów straciła władzę, dwa lata temu ją odzyskała i znów sprawuje – pod przywództwem wielkiego Lazarusa Chakwery jako prezydenta. Z kolei Lesotho jest królestwem i jego mieszkańcy za swojego przywódcę uważają króla, po nim wojskowych, a dopiero na końcu premierów i ich partię.

Nigdzie indziej

Partia-założycielka długo rządziła także w Zambii. Objęła władzę w 1964 r., gdy kraj – dawna brytyjska Rodezja Północna – ogłosił niepodległość. Sprawowała ją aż do roku 1991, gdy pierwszy i jedyny do tego czasu prezydent, Kenneth Kaunda, pod naciskiem Zachodu zgodził się urządzić pierwsze wolne i wielopartyjne wy-

bory (nacisk Zachodu wymusił pierwsze wolne wybory także w sąsiednim Malawi).

Kaunda przegrał je – podobnie jak rządzący w Malawi – po czym pogodził się z porażką i bez protestu oddał władzę swojemu pogromcy. Ustąpił z godnością. Choć jako przywódca popełnił wiele błędów i ściągnął na Zambię biedę, nie poddał się żądzy władzy, nie zmienił się – jak inni ojcowie-założyciele – w tyrana. Zmarł w 2011 r. i obok Nelsona Mandeli z Południowej Afryki, Juliusa Nyerere z Tanzanii czy Léopolda Senghora z Senegalu zapisał się w dziejach współczesnej Afryki jako mądry i sprawiedliwy patriarcha.

Wówczas po Kaundzie nastał związkowy przywódca, wielki Frederick Chiluba – ten, który pokonał Kaundę w wyborach. Rządził dwie kadencje – tyle, na ile pozwalała konstytucja – po czym złożył władzę. Przejął ją jego dotychczasowy wiceprezydent i towarzysz partyjny Levy Mwanawasa (2002-08), ale umarł na urzędzie i drugą kadencję dokończył jego zastępca.

Czwartym prezydentem został kandydat opozycji Michael Sata (2011-14) i wła-

dza po raz drugi przeszła w Zambii z rąk rządzących w ręce opozycji. Po Sacie, który również zmarł na urzędzie, nastał Edgar Lungu (2015-21), a w zeszłym roku wybory znów wygrał kandydat opozycji Hakainde Hichilema.

Nigdzie indziej na południu Afryki takie rzeczy się jeszcze nie zdarzyły.

Hichilema kontra Lungu

Jednak nawet w Zambii, będącej – jak wiadać – wyjątkiem w południowoafrykańskiej krainie niezmienności, wygraną Hichilemę uznano za cud. Bo w przeciwieństwie do Kaundy, żaden z jego następców nie chciał zégnąć się z władzą i na wszelkie sposoby starali się oni swoje panowanie przedłużyć. Choć, koniec końców, bezskutecznie.

Edgar Lungu nie był wyjątkiem. Prezydentów do tronu zwalczał bez ceregieli, a Hakainde Hichilema załazł mu za skórę jak nikt. W 2015 r., po śmierci Saty, rywalizował z Lungu o to, kto dokończy kadencję zmarłego prezydenta, i przegrał tylko o włos. Rok później, w regularnych wyborach o pełną kadencję, znów minimalnie przegrał z Lungu, ale nie uznał przegranej i zaskarżył wynik do sądu, twierdząc, że został oszukany. W sierpniu 2021 r. stanął do pojedynku z Lungu po raz trzeci.

Lungu wiedział, że choć dwukrotnie go pokonał, to Hichilema nie zrezygnuje (zanim zmierzył się z Lungu, przegrał jeszcze trzy wcześniejsze elekcje, w których przychodził na metę jako trzeci). Żeby utracić więc rywala, wiosną 2017 r. Lungu kazał go wsadzić do więzienia i wykluczyć z elekcji.

Poszło o zwykły drogowy wypadek. Kawalkada pojazdów, w której Hichilema jechał na wiec, nie ustąpiła pierwszeństwa prezydenckiej kolumnie. Hichilema został oskarżony o próbę zabójstwa głowy państwa i zdradę stanu, za co w Zambii grozi kara śmierci. Lungu planował, że skazanego Hichilemę ułaskawi, a wydany wcześniej prawomocny wyrok raz na zawsze zamknie mu drogę do prezydentury. Ustąpił jednak przed żądaniami Zachodu i po czterech miesiącach kazał po prostu wypuścić rywala z więzienia.

Zrobił to na swoje nieszczęście, bo w sierpniu zeszłego roku Hichilema stanął z nim po raz trzeci w wyborcze szranki i tym razem zwyciężył. W swojej szóstej próbie (równie długo w Afryce

o prezydencki fotel ubiega się Nigeryjczyk Atiku Abubakar, który w przyszłym roku stanie do walki po raz szósty) sięgnął w końcu po prezydenturę.

Tatko Kalkulator

Hichilema, rocznik 1962, zwyciężył Lungu, bo udało mu się przekonać wszystkich liczących się przywódców partii opozycyjnych, by właśnie jego wybrali na wspólnego kandydata całej opozycji.

Nic tak nie ułatwia satrapom obrony władzy, jak kłótniowość opozycji. Nie wiadomo, czym Hichilema przekonał do siebie opozycyjnych konkurentów ani co im obiecał. Może po prostu sami zrozumieli, że jeśli ktoś ma pokonać Lungu, to właśnie Hichilema, wspierany przez nich wszystkich.

Bo to on najlepiej z nich poznał sztukę wirtualnego komunikowania się z młodzieżą, która zmian pragnęła najbardziej. Przekonał ją, że zmiana będzie możliwa tylko pod jego rządami. Imponował młodym jako bogacz, który w Zambii, mimo wszystkich przeciwności, dorobił się majątku, a jednocześnie mówił językiem ulicy, jakby dola biedoty nie była mu obca.

Poza obietnicą zmiany i doświadczeniem w interesach Hichilema zapowiadał, że przywróci praworządność i swobody obywatelskie, którymi Lungu pogardzał, że wyda wojnę korupcji, zaradzi biedzie, bezrobociu i drożyznie, że przyciągnie zagranicznych inwestorów oraz wyciągnie kraj z długów, w jakie wpędził je Lungu, zapożyczając się na Zachodzie, a jeszcze bardziej u Chińczyków. „Znam się na tym – obiecywał na wiecach. – Tatko wszystkim tym się zajmie”.

Tak właśnie – Bally, czyli Tatko – mówił na Hichilemę jego zwolennicy. Zambijczycy zwą go także „Kalkulatorem” w uznaniu dla jego skrupulatności w księgach rachunkowych i dla mistrzostwa, z jakim zarządzał własnymi interesami.

Najbardziej jednak na sukces Hichilemy zapracował sam prezydent Lungu. Władza tak bardzo uderzyła mu do głowy, że uwierzył, iż stała się jego własnością, a wszystkich, którzy próbowali mu ją wyrwać, uważał za osobistych wrogów. Przeciwników politycznych i krytycznych dziennikarzy kazał zamykać w więzieniach, a lojalność urzędników i partyjnych dygnitarzy kupował

przyzwoleniem na korupcję. Otaczał się wyłącznie ziomkami, a innych skłócał w myśl zasady „dziel i rządź”. Z kosztami się nie liczył, a kiedy państwowa kasa zaczynała świecić pustkami, pożyczal u Chińczyków. Wpędził kraj w takie długi, że w 2020 r. nie był on w stanie spłacać odsetek od pożyczek.

Zambijczycy mieli go już tak serdecznie dość, że w końcu przeciwko Lungu zwrócili się nawet jego krajanie – i zagłosowali na Hichilemę oraz na jego obietnicę wielkich zmian.

Nadzieje sąsiadów

Wygrana wiecznego, zdawało się, dysydenta i kolejna wymiana ekip rządzących w Zambii obudziła nadzieję przywódców opozycji w Południowej Afryce i Zimbabwie.

Ci pierwsi chcieliby za dwa lata odsunąć od władzy panujący od 1994 r., tj. od upadku apartheidu, Afrykański Kongres Narodowy – partię Nelsona Mandeli. Z kolei opozycja w Zimbabwie za rok stanie do walki z ZANU-PF, Afrykańskim Związkiem Narodowym Zimbabwie – Frontem Patriotycznym, rządzącym od uzyskania niepodległości w 1980 r.

W Południowej Afryce z każdym rokiem swoich rządów Kongres traci zwolenników i rozpada się na frakcje. Ale bratobójcze waśnie i schizmy sprawiają jedynie, że przybywa opozycyjnych partijek, które – skłócone ze sobą – rozpraszają tylko głosy wyborców i nie są w stanie pokonać w wyborach nawet coraz słabszego Kongresu.

W Zimbabwie niewiele brakowało, by opozycja przejęła władzę. Na przełomie stuleci związkowy przywódca Morgan Tsvangirai stanął na czele Ruchu na Rzecz Demokratycznej Zmiany i zjednoczył wszystkich niezadowolonych z rządów Roberta Mugabego – związkowców, białych farmerów, wielkomiejskich inteligentów, dawnych towarzyszy broni Mugabego (którzy zwrócili się przeciw niemu, gdy został prezydentem), a także młodych, mających powyżej uszu patriarchalnych rządów starego przywódcy. Jednak w wyborach prezydenckich w 2002 r. Tsvangirai przegrał z Mugabem (42 proc. do 56 proc.). Opozycja twierdziła, że władze oszukały przy liczeniu głosów.

Sześć lat później Tsvangirai pokonał wprawdzie Mugabego, ale według wyborczych rachmistrzów zdobył tylko ➔

→ 48 proc. głosów (Mugabe – 42 proc.), czyli za mało, by zostać ogłoszonym zwycięzcą już w pierwszej rundzie.

Opozycja znów twierdziła, że została oszukana i że Tsvangirai zdobył ponad połowę głosów, czyli większość wystarczającą, by uniknąć drugiej rundy. A potem, zanim doszło do dogrywki, bojówki Mugabego sterroryzowały kraj, zabijając ponad 150 zwolenników opozycji. Protestując przeciw tyranii i oszustwom, Tsvangirai nie stanął do drugiej tury. Mugabe został wprawdzie ogłoszony prezydentem, ale pod naciskiem Unii Afrykańskiej zgodził się wyznaczyć niedawnego konkurenta na premiera i podzielić się z nim władzą.

Panowanie Mugabego przerwał dopiero jesienią 2017 r. wojskowy pucz, który wyniósł do władzy obecnego prezydenta Emmersona Mnangagwę – wcześniej „prawą rękę” Mugabego i jego „człowieka od brudnej roboty”.

Pastor się nie poddaje

Morgan Tsvangirai zmarł w 2018 r., a po jego śmierci na czele Ruchu na Rzecz Demokratycznej Zmiany stanął 44-letni dziś pastor Nelson Chamisa, który w tym samym 2018 r., w pierwszych wyborach prezydenckich po obaleniu Mugabego (ten zmarł w 2019 r.), przegrał z Mnangagwą (44 proc. do 51 proc. głosów). Opozycja znów skarżyła się, że została okradziona z wygranej.

Teraz, po zwycięstwie Hichilemy w Zambii, w przywódców zimbabweńskiej opozycji wstąpiła nowa nadzieja. „Zimbabwe będzie następne” – zakrzyknęli. „To, co zdarzyło się w Zambii, w Zimbabwe nigdy nie będzie mieć miejsca” – zapowiedział jednak prezydent Mnangagwa. Posłuszni mu sędziowie już w 2020 r. orzekli, iż Chamisa na przywódcę Ruchu na Rzecz Demokratycznej Zmiany został wybrany nieprawidłowo. Nie dość na tym: kolejnym wyrokiem oddali opozycyjną partię w ręce rywali Chamisy, którzy sprzymierzyli się z partią rządzącą, byle tylko pozbyć się pastora.

Choć pozbawiony własnej partii, jej sztandaru, barw, organizacyjnych struktur i pieniędzy, niezrażony Chamisa założył nową organizację. Koalicję Obywatelską na Rzecz Zmiany (CCC), i pod koniec marca poprowadził ją do wyborów uzupełniających – do parlamentu i samorządów.

Wygrana wiecznego, zdawało się, dysydenta

i zmiana władzy w Zambii
obudziła nadzieję
opozycji
w RPA i Zimbabwe.

W drugim zaledwie miesiącu swojego istnienia nowa partia Chamisy odniosła w tym głosowaniu spektakularny sukces. Wygrała aż w 19 z 28 wyborów uzupełniających do parlamentu i 75 ze 122 samorządowych. Sukces uznano za tym bardziej znaczący, bo marcowe wybory okrzyknięto próbą generalną przed tymi najważniejszymi, przyszłorocznymi, w których młody pastor znów zmierzy się z dobiegającym osiemdziesiątki Mnangagwą.

Radość przedwczesna

Sukces Chamisy pomniejszyła jednak niska frekwencja, a przede wszystkim fakt, że wybory uzupełniające przeprowadzono w okręgach, z których w parlamentarnych ławach i tak zasiadali głównie posłowie opozycji, a stracili mandaty wskutek rozłamu w Ruchu na Rzecz Demokratycznej Zmiany (zgodnie z zimbabweńskim prawem poseł, który podczas trwania kadencji parlamentu zmienia partynę barwy, traci mandat).

Po drugie, Zimbabwe to jednak nie Zambia. Komisja wyborcza i sądy z Lusaki, zambijskiej stolicy, utrzymują standardy przyzwoitości, podczas gdy w komisji wyborczej w Harare zasiadają byli wojskowi, którzy nawet nie udają bezstronności. Uzurpując sobie rolę najwyższych arbitrów, otwarcie odgrają się, że władza w Zimbabwe może należeć wyłącznie do tych, którym kraj zawdzięcza niepodległość – czyli do partii ZANU-PF, wyrosłej z dawnego ruchu wyzwolenczego i partyzantki. Rządowa telewizja z Zimbabwe pełni wyłącznie rolę propagandowej tuby, a opozycja nie ma do niej wstępu, chyba że w roli chłopca do bicia. Odwaga i charyzma wielkiego Chamisy mogą nie wystarczyć do pokonania Mnangagwy i generałów, strażników monopolu rządzącej partii na władzę.

Zwłaszcza że ostrzeżeni sukcesem pastora, do przyszłorocznych wyborów

rządzący przygotowują się lepiej. A jeśli to nie wystarczy, by zachować władzę, po prostu jak zwykle nie dopuszczają, aby elekcja była uczciwa i wolna. Były dowódca zimbabweńskiego wojska, generał Constantino Chiwenga, który po zamachu z 2017 r. został wiceprezydentem, już dziś odgrza się, że „zmiażdży opozycję kamieniem, tak jak miażdży się wszy”.

Chiwenga, namaszczony na następcę Mnangagwy, przebiera nogami, by już dziś go zastąpić. Zwolennicy generała w rządzącej partii przekonują, że skoro sędziwy Mnangagwa nie potrafił w marcu zapewnić wygranej, to może zawieść jako przywódca także za rok. Nie ma więc na co czekać i już dziś, dla dobra ZANU-PF, lepiej zastąpić go energicznym 65-letnim generałem. W Zimbabwe nie brak głosów, że kwestia władzy rozstrzygnie się właśnie podczas „wojny na górze”, a nie podczas elekcji.

Rok nie wyrok

Mimo to zwolennicy Chamisy zerkają z nadzieją na północny brzeg granicznej rzeki Zambezi, gdzie przed rokiem Hichilema w nierównej walce pokonał panującego prezydenta. „A jednak – wzdychają tęsknie – a jednak cuda się zdarzają”.

Wszelako ci z północnego brzegu, którzy przed rokiem uwierzyli w Hichilemę, że potrafi czynić cuda, po roku jego rządów nie są już tego tacy pewni. Ich życie niewiele się zmieniło, a Hichilema nie spełnił obietnic, których nie skąpił, walcząc o prezydenturę. Miał walczyć z korupcją i karać winnych, a w pierwszym roku powiedział, że wystarczy, gdy złodzieje zwrócą, co ukradli, a ich grzechy pójdą w zapomnienie. Nie zmieniła się też służalcza rządowa telewizja: tak samo poddańczo pokazuje tylko tych, którzy są u sterów władzy, a ich przeciwników obrzuca wyzwiskami i oskarżeniami.

Ci, którzy wiary nie stracili, przypominają, że w ciągu zaledwie roku Hichilema na powrót przyciągnął zagranicznych inwestorów i porozumiał się z zachodnimi bankami w sprawie warunków spłaty starych długów oraz zaciągnięcia nowych, bez których Zambia nie wydobydzie się z zapaści. „Rok nie wyrok – powiadają wyznawcy Hichilemy. – Trzeba dać mu czas”.

© ALEXIO RASHIRAI,

WOJCIECH JAGIELSKI

! Prenumerata „Więzi”
+ książka **gratis**

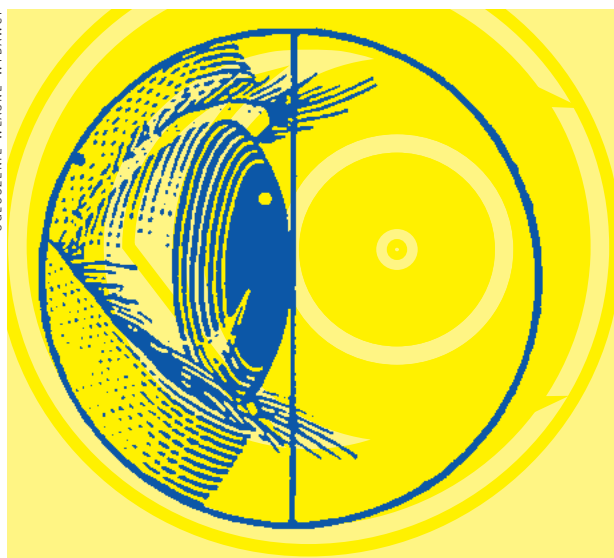


WIEŹ

Do każdej prenumeraty „Więzi”
(**pakiet druk + cyfra**) zamówionej
od 11 do 24 lipca dodajemy w prezencie
książkę **Ja tu zostaję.**
Fenomen Wołodymira Zełenskigo

Więcej informacji na stronie:
www.prenumerata.wiez.pl

tel. 22 827 96 08 ksiegarnia@wiaz.pl



**„Tygodnik Powszechny” dostępny dla
osób niewidomych i słabo widzących!**

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto”
umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom
z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim,
przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani
czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Serwisy specjalne: patrz szerzej

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

GOSPODARKA TRZESZCZY, czyli co nas czeka
KSIAŻKI W TYGODNIKU: eseje, recenzje, felietony
OCHRONA ZDROWIA: czy system da się wyleczyć
KRYZYS KLIMATYCZNY: jak zatrzymać katastrofę
UCHODŹCY I MIGRANCY: granice wytrzymałości
POLSKA SZKOŁA i lekcje do odrobienia
ATAK NA UKRAINE: korespondencje, analizy, podcasty

weź, czytaj!

na TygodnikPowszechny.pl/patrz-szerzej

ODRA PIĘKNA I GROŻNA

Opowieść o powodzi tysiąclecia sprzed 25 lat zdominował dramat Kłodzka, Opola czy Wrocławia. Ale to Nowa Sól jest dumna, że jako pierwsza z większych miast wygrała z wielką wodą.

MATEUSZ POJNAR

CHŁOPCZYK JEST AKURAT W DOMU BABCI, która mieszka niespełna sto metrów od rzeki. Niektóre meble są pokryte folią. Za chwilę dorośli wyniosą dużą część z nich na strych. Boją się. Chłopiec niewiele rozumie, ale czuje ich strach.

Niespełna czterolatek wcześniej był na wakacjach u dziadków na Podkarpaciu. Wracał do domu, jechał samochodem z mamą, tatą i starszym bratem. Wjeżdżali do Ścinawy, zbliżali się do mostu na Odrze. Nerwy, bo nie było wiadomo, czy jeszcze przepuszczą. W końcu płynęła wielka woda. Przepuścili.

I jeszcze jeden moment: dzwoni telefon, odbiera mama. Mówią, aby tata zaraz jechał do Dozamet, gdzie pracuje; trzeba ładować worki z piaskiem. Tata wybiega z mieszkania.

Tym niespełna czteroletnim chłopcem byłem ja. Dziś widzę to wszystko jak przez mgłę. Pewne rzeczy muszę sobie dopowiadać. Trzy obrazy z lipca 1997 r. są moimi najwcześniejszymi wspomnieniami z dzieciństwa.

Olbrzymia dawka wody

25 lat temu bardzo padało w dorzeczu Odry już od czerwca. „W lipcu nad Polskę południową nadciągnęły z południa masy zwrotnikowego, bardzo rozgrzanego i wilgotnego powietrza, które napotkały na zachodzie kraju napływające chłodne powietrze polarnomorskie. Spowodowało to wytworzenie się chmur deszczowych, które zalały gwałtownymi, nawalnymi opadami Sudety, Beskidy i niziny. Odra oraz jej dopływy otrzymały olbrzymią dawkę wody” – piszą historycy w publikacji Muzeum



Miejskiego w Nowej Soli o powodzi z 1997 r.

I dalej: „Gwałtowne opady z początku lipca spowodowały zjawisko powodzi w górach i na pogórzu oraz gwałtowny spływ mas wód do Odry. Powódź w górach zawsze ma charakter gwałtowny. Sama Odra w swym górnym biegu początkowo również jest rzeką górską i podlega tym samym zasadom. Znaczne nachylenie terenu powoduje bardzo szybki, niszczący spływ wody”.

Nasycona wodą ziemia nie mogła już wchłonąć nowych opadów, co ułatwiło ich szybki spływ. „Sytuację pogorszył również fakt, że w Czechach i w Polsce spuszczone w tym samym czasie do Odry

wodę z przepełnionych zbiorników retencyjnych”. Tymczasem „opady po stronie południowej Sudetów były nie mniej gwałtowne i obfite niż te, które spadły na stoki północne w Polsce”.

Może spali?

Konsekwencje? Potworne. Obrazy z Kłodzka, Raciborza, Opola czy Wrocławia – przerażające. Nie chodzi tylko o materialne szkody: zniszczone domy, drogi, sklepy, cmentarze, zalane pola, chemikalia z zalanych fabryk w rzece. Woda zabiła. W czeskiej części dorzecza Odry zginęło 20 osób, w Polsce 54 – przypominają historycy z nowosolskiego muzeum. „Na terytorium Polski konieczna była ewa-

kuacja ponad 106 tys. osób, zalaniu uległo 47 tys. mieszkań i budynków gospodarczych, pod wodą znalazło się 465 tys. hektarów użytków rolnych. W Republice Czeskiej w dorzeczu Odry ewakuowano 35 tys. osób, zniszczeniu uległo 320 domów i ponad 5 tys. mieszkań”.

– W Kłodzku było najgorzej. Mimo że przyjechaliśmy tam kilka dni po kulminacji – mówi mi Marek Szczypczyk, nowosolski strażak, dziś na emeryturze. – Wywrócone auta osobowe, tiry. Woda tak potrafi. Wszystko pomieszanę z konarami i tym, co niesie rzeka. Na rynku był ślad, jak wysoko woda dotarła: między pierwszym a drugim piętrem. To zrobiło na mnie wrażenie, bo przecież tam mieszkali ludzie. Zapytałem kolegi, co się z nimi stało. Okazało się, że zginęło tutaj kilka osób. Woda musiała przyjść w nocy. Może spali? Nie zdążyli uciec.

Punki i skini

Mieszkańcy Nowej Soli – 38-tysięcznego miasta położonego wyżej nad Odrą, bo już w województwie lubuskim – mieli więcej czasu na przygotowania. Rzucili rzecę wyzwanie. – Nie da się policzyć, ilu ludzi brało udział w obronie miasta. Pewnie kilka tysięcy – wspomina Krzysztof Gonet, ówczesny prezydent Nowej Soli. – Dzięki temu ocalało.

Jerzy Ceglarek przez lata był szefem robót publicznych w mieście. W magistracie szczytą się tym systemem: ludzie z problemami czy bezrobotni kierowani są do sprzątania ulic, koszenia trawy, usuwania awarii na placach zabaw lub do prac rozbiórkowych. Część mieszkańców spłaca w ten sposób długi za czynsz albo odpracowuje niewielkie wyroki. Inni to fachowcy, przez lata zrobili elewacje w ponad stu budynkach w mieście.

W 1997 r. to właśnie system robót publicznych był jednym z kluczowych elementów, które doprowadziły do zwycięstwa Nowej Soli nad powodzią. Bo choć woda wlała się na ulice, nie było takiego spustoszenia jak w innych miejscowościach. A wieszono, że nieduże miasto w ówczesnym województwie zielonogórskim po prostu zatonię w skumulowanej fali.

– Budowaliśmy umocnienia na wysokości Harcerskiej Górki i wtedy do prac włączyły się grupy hardkorowców →



MUZEUM MIEJSKIE W NOWEJ SOLI

Mieszkańcy Nowej Soli na zalanej ulicy Muzealnej. Lipiec 1997 r.

→ – uśmiecha się Ceglarek. – Choćby kowboje, jak ich nazywaliśmy, z ulicy Wesołej i okolic.

Tuż po powodzi na łamach „Gazety Wyborczej” Ceglarek mówił: „Spisywałem wszystkich. Miałem pod sobą z tysiąc młodzieży: punków, skinów. Nie spali trzy dni. Wytrzymali i wygrali”.

Ceglarek szacuje, że nowosolanie ułożyli ponad milion worków: – To była dopiero międzyludzka solidarność. Tacy są Polacy. Jesteśmy dziwnym narodem, bo razem potrafimy iść tylko w godzinie „W”. Gorzej jest w czasach pokoju.

Koledzy z dzielnicy

Robert Lipiński uczestniczył w obronie miasta. – To odbywało się na zasadzie „podaj cegłę” – wspomina. – Gorzej było, gdy w szeregu stanął ktoś cherlawy. Jeden worek ważył 20 kilo, inny 30 kilo. Do tego czasem piasek był mokry. Gdy ktoś podawał worek kolejnej osobie, a ta nie mogła go utrzymać, zaburzała rytm. Zmienialiśmy ją wtedy, dawaliśmy inne zajęcie.

Lipiński: – Wyglądało to tak: ktoś wjeżdżał wywrotką, zrzucał piasek na placu koło baru portowego, formował się sznur ludzi. Jeden chwycił za łopatę, drugi napełniał, kolejni ustawiali się i przekazywali sobie worki. Solidarność była. Pamiętam, jak Piotrek Płonka, nieżyjący już kolega z dzielnicy, który trenował kulturystykę, zarzucał sobie na ramiona po dwa worki i sam je niósł przez kilkadziesiąt metrów.

Tomasz Kalisz, również uczestnik tamtych wydarzeń: – Gdy byłem już potem na emigracji, dowiedziałem się, że powstał u nas Pomnik Powodzianina. Mama cały czas mi mówi, że „ten pomnik jest o was”. Odpowiadam: „Mamo, tam były setki, jeśli nie tysiące ludzi”. Mama jest dumna i odpowiada: „Ale ty byłeś jednym z nich”.

– Wtedy zrobiliśmy swoje – mówi Kalisz. – Mieliśmy satysfakcję, że nam się udało. Wysiłek był olbrzymi, walczyliśmy ramię w ramię. Całe miasto, bez względu na to, kto gdzie mieszkał. A przecież wcześniej ktoś potrafił na kogoś krzywo popatrzeć, bo jest z innej dzielnicy albo słucha innej muzyki. Jedność zapanowała: na wałach byli panowie spod budki z piwem, ludzie ze slumsów, gdzie lepiej nie chodzić, bo można dostać w łeb, ale i faceci, którzy na co dzień pracowali pod krawatem. Ci spod ciemnej gwiazdy może chcieli czuć się potrzebni, a może dramatyczna sytuacja wymusza zmianę codziennych nawyków? Zdawali sobie sprawę, że jest u nich

źle, mieszkają w ruderze, ale za chwilę mogą stracić nawet ją.

Przed i po

Artur Łukasiewicz opisywał wydarzenia w Nowej Soli dla „Gazety Wyborczej”. Dziś jest redaktorem naczelnym jej zielonogórskiego oddziału. – Widziałem wtedy niesamowite rzeczy – wspomina. – Pielęgniarki ze szpitala roznosiły bandaż, bo faceci, którzy targali wory, mieli do krwi pozdzierane ręce. Taki chłop siedział grzecznie na krzeselku, a pielęgniarka udzielała mu pomocy. Inne kobiety przynosiły kanapki, wodę, jabłka. Po mieście jeździły nyski z megafonami. Gość miał potężny głos i ryknął, że na jakiejś ulicy brakuje ludzi, a na innej worków. Harcerze i mieszkańcy szli więc z portu w to miejsce.

Łukasiewicz dodaje: – Po komunie dostaliśmy w spadku powszechne pijaństwo, z którym nie kryto się na ulicach. Podczas powodzi pijanych się nie widziało, dosłownie pojedyncze przypadki. Tak jakby ludzie w tym czasie wstydzieli się pić. Nie wiem, może chcieli być szlachetniejsi, lepsi? Wiedzieli, że to historyczna chwila. Że dzieje się coś ważnego, czego być może już nigdy nie przeżyją.

W roku 2006 o powodzi w mieście powstał film fabularny pt. „Odra”. – W Nowej Soli starsi ludzie mówią: „Ten płot robiłem trzy lata po powodzi”. Albo: „To było pięć lat przed powodzią”. U nas powódź stanowi cezurę, działała jak „przed wojną” i „po wojnie” – mówi Karol Dąbrowski, jeden z twórców filmu.

Spojrzenie historyka

– Gdy zaczęły się przygotowania do obrony miasta, bo wypłynęła informacja, że Nowa Sól może być kalką Opola czy Wrocławia, najpierw zaczęła się panika – wspomina dr Tomasz Andrzejewski, historyk i szef nowosolskiego muzeum. – Kiedy pojawił się apel „wszystkie ręce na pokład”, poszedłem budować wał w pobliżu oczyszczalni ścieków, która była wtedy w rozbudowie. Przy ul. Polnej niezwykle pospolite ruszenie mieszkańców. Szybko pojawiły się na miejscu setki, może tysiąc osób.

– Atmosfera była niesamowita – wspomina historyk. – Ludzie zjechali z różnych części miasta, by ratować dzielnicę Pleszówek. Było ryzyko, że mocno uciernię, szczególnie po zniszczeniu wału w okolicach mostu kolejowego koło Stanów. Pojecha-

łem tam rowerem. Straszliwie padało. Na miejscu wojsko. Żołnierze ze swoich rezerw dali ludziom wodery i płaszcze OP1. Oczyszczalnię udało się uratować.

Andrzejewskiego urzekła ówczesna mobilizacja: – Czy miasto narodziło się wtedy na nowo? Być może, ale nie chciałbym używać aż tak patetycznych słów. Wyobraźmy sobie jednak Nową Sól w roku 1997: jest potwornie pokaleczona transformacją, co widać po fabrykach Dozamet i Odra. Ogromne bezrobocie, poważne problemy społeczne. I w tym momencie dopada nas jeszcze woda, a ludzie mimo wszystko stają na wysokości zadania. Podejmują walkę o swoje miasto.

Andrzejewski: – Nowa Sól jako pierwsza, na tyle, na ile się dało, odparła atak rzeki. Głogów się obronił, ale tam miasto jest inaczej położone. To, co wydarzyło się u nas, było heroizmem, który zrobił duże wrażenie i znalazł się na czołówkach gazet. Byliśmy dumni.

Gdy w 2013 r., na 450-lecie istnienia Nowej Soli, powstało kalendarium, muzeum umieściło powódź wśród dwunastu najważniejszych wydarzeń w dziejach miasta.

Stara Wieś

Ta niewielka, bo licząca ok. 150 mieszkańców wieś, położona koło Nowej Soli, została wówczas całkowicie zalana. Niektórzy mieszkańcy Starej Wsi do dziś sądzą, że tamtejszy wał celowo wysadzono, by ratować miasto.

– Ludzie mówili, że żołnierze wysadzili wał na końcu wsi. Kiedyś przyjechał tu pewien człowiek i powiedział: jestem saperem i brałem w tym udział. Ale nikt nikogo nie złapał za rękę – przyznaje Kinga Kowalewska-Koziarska, właścicielka winnicy w Starej Wsi. – Mieli to zrobić, żeby uratować Nową Sól. Wody było na tyle, że port by tego nie wytrzymał i powódź zniszczyłaby centrum miasta.

– Nie byłem zła na nowosolan – mówi Kowalewska-Koziarska. – Miałam poczucie, że to mniejsze zło. Było mi przykro, ale zdawałam sobie sprawę, że tak musiało się stać. Jedyny żal jest taki, że później nasza rodzina nie dostała żadnego odszkodowania. A my żyliśmy z tego, co zabrała nam woda. Nie mieliśmy nic więcej. Wśród wytycznych do odszkodowań było to, czy woda weszła do domu. U nas tak się nie stało, załało za to naszą winnicę. To bolało.

Jerzy Bińkowski, dzisiejszy sołtys Starej Wsi, razem z innymi mężczyznami



MUZEUM MIEJSKIE W NOWEJ SOLI

Skrzyżowanie ulic Zjednoczenia i Muzealnej w Nowej Soli. Lipiec 1997 r.

został na miejscu, gdy Odra wylała: – Niczego nie wysadzili. Przecież słyszelibyśmy z chłopakami wybuch. Choć, z drugiej strony, obok nas stał wtedy włączony traktor. Sąsiad bał się, że jak go zgasi, to później nie zapali. Cały czas głośno pracował. Ale i tak nie zagłuszyłyby wybuchu. Po drugie, po co wysadzać wał akurat w tym miejscu? Można to było zrobić dalej od wsi, żeby nie zalało domów.

– Czy ten wał został celowo przerwany, żeby ratować Nową Sól? – pytam Krzysztofa Goneta, prezydenta miasta w latach 1990-98 (wielu chwali to, w jaki sposób zarządzał wtedy kryzysem).

– Nie – odpowiedź Goneta jest stanowcza. – Inna teoria mówi o jakichś wybuchach w okolicach Bobrownik. Bzdury kompletne. W Starej Wsi też nie było żadnego wybuchu. Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nic o tym nie wiem. Bez mojej wiedzy nic takiego by się nie wydarzyło.

Józef Suszyński, wówczas wiceprezydent, również zapewnia, że celowego przerwania wału nie było: – Nawet gdyby służby wojewody zrobiły to poza nami, wiedzielibyśmy. Nie dałoby się tego ukryć. Z meldunków, jakie do nas docierały, wiem, że wał był w tym miejscu osłabiony przez rosnące drzewo.

Wino oddaje charakter miejsca

Wróćmy do Kingi Kowalewskiej-Koziarskiej, bo opowieść o winnicy w Starej Wsi jest niemal biblijnego formatu.

Po potopie przyszło odrodzenie. Powódź zmusiła jej rodziców do trudnej decyzji: zastawili dom pod hipotekę. – Tata pojechał do Mołdawii, do Kiszyniowa. Busen, który wcześniej zjechał, pomagając powodzianom. Wyruszył po mate-

riał, by odtworzyć winnicę – opowiada Kinga Kowalewska-Koziarska.

– Wino jest jak papierek lakmusowy miejsca, w którym powstaje – mówi właścicielka winnicy. – Oddaje jego charakter. Tata stwierdził więc, że trzeba położyć coś nie do zdarcia. Dlatego pojechał po wschodnie szczepy. Po drugie, nie chciał posadzić tylko jednej odmiany. Jeden krzew oznacza klęskę urodzaju w momencie zbioru, a w tej winnicy pracuje tylko jedna rodzina. Trzeba sadzić tak, by rodiło od sierpnia do października-listopada. Żeby mieć owoc w rotacji.

– Śladowe owocowanie przyszło po trzech latach. Minęło siedem i wtedy krzew dostatecznie dojrzał – wspomina.

Na granicy

A o mały włos tej winnicy by nie było. – Tata nie mógł pobrać sadzonek w instytucie w Kiszyniowie, bo już ich tam nie było – wspomina Kowalewska-Koziarska. – Z kolei w Naddniestrzu Ruscy z bronią pytali: „Polak, co ty tutaj robisz?”. Przez granicę puścili go za papierosy. Od rogatek do rogatek, od jednej łapówki do drugiej.

Potem na polskiej granicy celniczka otworzyła drzwi busa, a tam leżały suche wiązki.

– Co to jest? – pyta.

– Sadzonki winorośli – odpowiada ojciec.

– A ma pan na to papiery?

– Tak. – Podaje dokumenty.

– Od wczoraj nieaktualne. Zmieniły się druki – rzekła celniczka i przedarła papiery.

Kinga Kowalewska-Koziarska wspomina, że ojciec wycofał się, został na granicy. Kolejny celnik zaproponował, by

przejechał na ukraińską stronę i poczekał do następnej zmiany. Była za 12 godzin. Stamtąd też go przegonili i powiedzieli, że nie może stać w strefie przygranicznej. W tę i z powrotem jeździł całą noc. Rozebrali mu auto, bo sądzili, że jest przemytnikiem. Myślał, że już musi się poddać i ciężko zdobyte pieniądze pójdą w błoto. O szóstej rano podjechał do kolejnego celnika.

– Co pan tam ma? – rzuca celnik.

– Sadzonki winorośli i nie mam aktualnych papierów fitosanitarnych! – Pokazał porwane dokumenty.

– Niech pan otworzy busa – powiedział celnik. A potem: – Dobra, jedź już.

To nie koniec. Strefa przygraniczna ma około stu kilometrów. Ojciec Kingi zjechał koło lasu, za potrzebą. Wraca, a koło auta stoją celnicy. Opowiedział im wszystko. Zobaczyli, że wygląda jak zdjęty z krzyża. Powiedzieli: – Niech pan jedzie, tylko niech się pan już nigdzie nie zatrzymuje!

Właścicielka winnicy wspomina: – Gdy ojciec wrócił, pierwszy i ostatni raz w życiu zobaczyłam, jak mama zdejmuje mu skarpety, myje nogi w misce i kładzie go spać. Potem spał dobę. Ale tamta podróż dała mu siłę: nie ma co płakać, trzeba się brać do roboty i koniec!

Anioł stróż z rybą

– Później z mężem przejeżdżaliśmy dzieło rodziców – dodaje Kinga Kowalewska-Koziarska. – Kupiliśmy półtora hektara ziemi naprzeciwko i uprawiamy również tam. Łącznie mamy dwa hektary. Jesteśmy małą winnicą, raczej butikową. Taką chcemy zostać, żeby mieć bezpośredni kontakt z ludźmi, którzy nas odwiedzają.

Właścicielka oprowadza mnie po winnicy. Przystajemy obok wyrzeźbionej w drewnie kapliczki. Są w niej trzy anioły stróże. Jeden trzyma rybę. Pilnuje pięknej, ale groźnej rzeki.

Winnica Kingi Kowalewskiej-Koziarskiej jest jedną z najstarszych w kraju, które działają do dziś. – To dzięki temu, że rodzice się wtedy nie poddali – uśmiecha się, patrząc na anioły. – Bo jeżeli w coś się wierzy, łatwiej pokonać nawet najtrudniejszą drogę. © MATEUSZ POJNAR

Autor jest dziennikarzem „Tygodnika Krąg”, który ukazuje się w powiecie nowosolskim koło Zielonej Góry. Właśnie ukończył książkę „Rzeka ma zawsze rację” o powodzi tysiąclecia w jego regionie.

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:

Serce dżdżownicy



POBLANO JEST W CZWARTEK. MEKSYKAŃSKA papryka wyhodowana w Pueblo, syn ją uwielbia.

W środę bakłażan, a w piątek takeaway z McDonalda.

Syn bardzo pilnuje porządku dań, dlatego zawsze wie, jaki dzień dzisiaj. Poblano? Więc jest czwartek.

Shannon, pracownica społeczna, powiedziała, że powinni pomyśleć o przyszłości. Starzeją się i jeśli coś się z nimi stanie...

Tak, wiedzą, że się starzeją.

Tak, przyszłość ich syna to residential home.

Trudno im o takim domu poważnie myśleć. Syn prawie nie mówi, będą go uważali za głupka, a on więcej wie niż wielu normalnie mówiących.

Nikt nie będzie wiedział, ile wie.

Nikt nie będzie wiedział, jak bardzo lubi się uczyć.

Wczoraj uczyli się o teleskopie Hubble'a i oglądali mgławicę, Filary Stworzenia. Tak niezwykle, że trudno patrząc na nie, nie uwierzyć w Boga. Syn długo im się przyglądał. God..., powtórzył za nią. God... Co rozumiał przez to, nie ma pojęcia.

Ani co ona przez to rozumie.

Dostała maila od prezydenta Bidena. Prosiła o większą pomoc dla Ukrainy i jej odpowiedział.

Dear Mrs Hrabowski, pisał prezydent, the prayers of the world are with the brave and proud people of Ukraine, as they defend their country...

Modlitwy świata są z bohaterskim, dumnym narodem...

Kiedyś pisała listy znacznie częściej. Do prezydentów, gubernatorów, sędziów i do gazet... O wszystkim. O auty-

zmie, o karze śmierci, o przyjęciu Polski do NATO. Ma jeszcze swój list do „New York Times’a”. Zdaje się, że pierwszy stanowczy głos w sprawie NATO, jeśli nie liczyć wystąpień Madeleine Albright.

Odezwała się po masakrze w Teksasie – kiedy dowiedziała się, że zabójca kupił legalnie broń. Miał osiemnaście lat, kupił ją w dniu urodzin.

Zadzwoniła do Kalifornii i Wirginii, do sędziów, którzy obniżyli wiek zakupu broni z dwudziestu jeden lat do osiemnastu. To wy jesteście sprawcami tej zbrodni! Krzyżała do automatycznych sekretarek stanowych sądów. Robiła z siebie wariatkę, która nie potrafi nad sobą zapanować, ale trudno, musiała im to wykryczyć.

Dżdżownicy nie mają oczu ani płuc, ale mają serca, dowiedzieli się, ona i syn. Może nawet kilka serc – wszystko zależy od definicji. Mają po pięć par łuków tętnicznych, a każdy łuk to swoiste serce. No to mają po dziesięć serc. Albo w ogóle serc nie mają. Jeśli serce musi mieć komory, to niestety, żaden z łuków tętnicznych sercem nie jest.

Musi coś sprostować.

Napisałam w „Synapsach”, że przed szkołą numer osiemnaście rosły piwonie. Jak słusznie przypomniawszy jej Agnieszka, lekarka mająca trzy specjalizacje, przed osiemnastką piwonii nie było. Były, owszem, ale w dwunastce, i to na tyłach, na środkowym okrągłym klombie.

Osiemnastka była przy ulicy Czerwonych Sztandarów.

Był i pomnik – dumnie kroczące postacie ze sztandarami, stąd nazwa. Po zmianie stroju chcieli go zburzyć, ale mieszkańcy pomalowali pomnik, umieścili napis – Make love, not war – i poświęcili Jimmiewi Hendrixowi. Pilnowali Hendrixa dzień i noc, i pomnik ocalał. Ostatnio znowu chcą Czerwone Sztandary wysadzić w powietrze – Instytut Pamięci Narodowej uważa, że są to sztandary komunistyczne.

Władze miasta – że nic podobnego. To całkiem inna czerwień niż myśli IPN. Z PPS-em związana, z działaczami, którzy tworzyli Legiony Polskie! Niewinne, antyrosyjskie sztandary to są.

Walka o pomnik nie jest skończona.

Parę dni temu ktoś go oblał czerwoną farbą.

Zwolennik Putina, ocenił historyk, dyrektor miejscowego muzeum.



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY



Myślała o chłopcu z autyzmem, innym niż ma jej syn. Chłopiec umiał mówić. Mówił i mówił, nie zwracając uwagi na słuchających. O samolotach przeważnie, bo miał o nich ogromną wiedzę.

Znalazła go na Facebooku. Są tam samoloty i dużo bezdomnych kotów i psów.

Byli w planetarium. Astronom Sara Seager opowiadała o planetach poza naszym układem słonecznym. Bada ich atmosferę – czy jest tam para wodna i tlen.

Przytoczyła słowa poety Ralpa Emersona: nauka nie wie, jak bardzo jest zadłużona w wyobraźni, science does not know its debt...

Emerson był właścicielem jeziora Walden Pond, które oboje z synem bardzo lubią. Zwłaszcza lubią chatę nad jeziorem, którą zbudował Thoreau, filozof, przyjaciel Emersona. W drewnianej chacie jest kominek, łóżko, krzesło i stół. Thoreau mieszkał w niej dwa lata i dwa miesiące. Żył prostym życiem, kontemlował i słuchał odgłosów lasu. Tak naprawdę jest to replika, autentyczna chata stała po drugiej stronie jeziora.

Lubią spacerować dookoła Walden Pond. Przypominają drogę wokół Morskiego Oka, ale jest mniej kamieni.

Po powrocie z Walden Pond upiekła i zamroziła kaczkę.

Kaczka ma dużo żelaza, była na wyprzedaży, termin spożycia kończył się po dwóch dniach.

Ma w ogrodzie dużo chwastów. Powinna je wyrwać, bo rosną, gdzie nie powinny, ale jak zna się ich nazwy, to przestają być chwastami.

Czy złocien marunę można nazwać chwastem i go wyrwać?

Motyle lecą do Meksyku przez całą Amerykę, a potem wracają. Muszą w drodze czymś żywić się, więc zasiała milkweed, roślinę dla motyli.

Myśli o moim mężu – co jej kiedyś o nim napisałam.

Że napalił w kominku i było trochę dymu.

Że piliśmy wino na tarasie.

Że smakowały mu placki pani Oksany z jakichś specjalnych ziemniaków...

Chciałaby spytać – jakie ziemniaki to były?

Nie Idaho?

Szarawe czy złote, z Yukonu? Yukon bywa w sklepach, ale nie gold.

Białe były czy raczej czerwone?

Podłużne? Okrągłe?

No, jakie?

Od razu chciała o to spytać, ale zapomniała.

©

Bohaterką tekstu jest Maria H., o której pisałam w „Synapsach Marii H.”. Lubie jej listy. Lubie pisać o niej.

weź, czytaj!

Do każdej prenumeraty wyjątkowy notes kulinarny w prezencie.



Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



REZUSY CZUJĄ RYTM

Sygnały płynące z naszych trzewi wpływają na nasze myśli, uczucia i decyzje. Okazuje się, że nie jesteśmy jedynymi zwierzętami, które je odbierają.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Makak królewski w Narodowym Parku Bandhavgarh w Indiach

NA GIELDZIE LICZĄ SIĘ UŁAMKI SEKUND. Handlarze nie mogą sobie pozwolić, by każdą decyzję poprzedzała świadoma analiza potencjalnych zysków i strat – muszą działać intuicyjnie, ufając, że ich przeczucia okażą się słuszne. Co różni tych, którzy obstawiają lepiej, od tych, którym idzie gorzej? M.in. to, że ci pierwsi są statystycznie lepsi w odbie-

raniu sygnałów napływających z wnętrza ciała.

Bogate wnętrze

Jedną z najprostszych metod pozwalających określić, jak dobrze ludzie radzą sobie z odbieraniem tego typu informacji, jest poproszenie ich o policzenie uderzeń swojego serca w określonym czasie.

Trzeba zastrzec, że powinni opierać się tylko na informacjach z wnętrza ciała – nie mogą więc używać dłoni do pomiaru tętna w miejscach, w których jest wyczuwalne z zewnątrz. W tym samym czasie dokonuje się precyzyjnego pomiaru pulsu za pomocą aparatury, a następnie porównuje zarejestrowany wynik z tym, który podały osoby badane. Im bardziej

zbliżone są do siebie te wartości, za tym lepsze uznaje się zdolności interoceptywne tych osób.

Mianem interocepcji określa się właśnie to, co umożliwia nam świadome i nieświadome wyczuwanie „wewnętrznego stanu naszego organizmu”. Dzięki interocepcji czujemy, że jesteśmy głodni, że spadł nam poziom cukru we krwi albo że nasze serca biją. Składają się na nią informacje napływające z trzewi i sygnały z tkanek. Bez niej trudno byłoby nam stwierdzić, czego potrzebuje nasz organizm i jak powinniśmy się zachować, by zapewnić mu optymalne warunki. Inaczej doświadczalibyśmy też swojego ciała i emocji – o ile w ogóle byśmy ich doświadczali.

Wielu psychologów mówi o interocepcji jako o kolejnym, obok propriocepcji, wewnętrznym zmysle. Ta druga polega na wyczuwaniu położenia naszego ciała i poszczególnych kończyn w przestrzeni (jeśli chcesz sprawdzić, jak sprawnie się nim posługujesz, zamknij oczy i dotknij koniuszkiem palca czubek własnego nosa).

W 2016 r. Narayanan Kandasamy z Uniwersytetu w Cambridge i współpracownicy opisali w „Scientific Reports” badanie przeprowadzone na grupie handlarzy z londyńskiej giełdy, którzy na co dzień specjalizują się w rodzaju inwestycji wymagającym zawierania bardzo wielu transakcji w bardzo krótkim czasie. Zmagają się z ogromną ilością danych, na podstawie których muszą wyłapywać wzorce zmian cen i podejmować ryzykowne decyzje.

Wyniki pokazały, że handlarze, którzy osiągalni lepsze wyniki finansowe, podawali także liczbę uderzeń własnego serca bliższą rzeczywistości niż ci, którzy zarobili mniej. Potwierdziła to druga seria badań, w której wykorzystano inną klasyczną procedurę – osobom badanym prezentowano serie dźwięków, a ich zadaniem było stwierdzenie, które serie są odtwarzane synchronicznie, a które asynchronicznie względem ich rytmu serca. I w tym przypadku bardziej precyzyjnych wskazań dokonywali ci, którzy więcej zarabiali. To solidne przesłanki, by uznać, że dobrzy handlarze giełdowi są po prostu lepsi w odczytywaniu tego, co podpowiada im ich wnętrze.

Ciało wie szybciej

Skąd pomysł, by badać handlarzy giełdowych i ich zdolność do wyczuwania

skurczów we wnętrznościach? Doniesienia o tym, że pobudzenie fizjologiczne organizmu odgrywa istotną rolę w naszym codziennym funkcjonowaniu i daje podstawy temu, co nazywamy przeczuciami, pojawiały się już wcześniej. Jednym z najbardziej wpływowych – i radykalnych – zwolenników tego poglądu jest Antonio Damasio, portugalski neurobiolog, który zasłynął badaniami pacjentów z rozmaitymi uszkodzeniami układu nerwowego. Zgodnie ze sformułowaną przez Damasia hipotezą markera somatycznego, sygnały docierające do nas z wnętrza organizmu wpływają na nasz proces decyzyjny jeszcze zanim w ogóle zdamy sobie z tego sprawę.

Żałujemy, że mamy wyciągać karty z czterech stosów w taki sposób, by zgarnąć jak najwięcej punktów. Karty z jednego stosu przynoszą duże korzyści, ale też kolosalne straty. Pozostałe może nie przynoszą spektakularnych zysków, ale nie generują też aż tak wielkich strat. Czy szybko zorientujemy się, jaką strategię powinniśmy przyjąć? Badania przeprowadzane przy użyciu tej gry (nazwanej Iowa Gambling Task) pokazują, że osoby zdrowe zwykle zaczynają bezwiednie unikać ryzykownego stosu jeszcze zanim dotrze do nich, że to prosta droga do klęski. Zgodnie z teorią Damasia różne stosy zaczynają wywoływać różne pobudzenia fizjologiczne – ich poprawne odczytywanie faktycznie mogłoby więc stanowić drogę na skróty do dobrej decyzji (albo złej, jeśli ktoś skutecznie wykształciłby u nas fałszywe przekonanie np. o wysokiej jakości jakiegoś produktu). Większość z nas szybko uczy się optymalizować swoje ruchy i wybrałaby karty z tych stosów, które ostatecznie okazują się przynosić większe korzyści. Szybciej przychodzi to tym, którzy są skuteczniejsi w identyfikowaniu sygnałów płynących z własnego wnętrza.

Bardzo słabo z takim zadaniem radzą sobie natomiast osoby z uszkodzeniami w tzw. brzuszno-przyśrodkowej korze przedczołowej (ang. *ventromedial prefrontal cortex*, vmPFC), obszarze mózgu położonym nieco za oczami. Struktura ta ma odgrywać kluczową rolę w powstawaniu reakcji somatycznych, czyli pobudzenia emocjonalnego odczuwanego w ciele, w odpowiedzi na wspomnienia lub wyobrażenia związane z jakimś zdarzeniem lub przedmiotem. To wła-

śnie vmPFC jest, zdaniem Damasia, siedliskiem markerów somatycznych, czyli cielesnych sygnałów na temat przewidywanych skutków jakichś decyzji. U osób z uszkodzeniami w tym obszarze powstawanie takich sygnałów ma być zaburzone.

Nauka na błędach

Podczas gry w Iowa Gambling Task ciała pacjentów z uszkodzoną vmPFC faktycznie nie przejawiały charakterystycznych reakcji, takich jak reakcja skórno-galwaniczna, która świadczy o podwyższonym pobudzeniu. Tak jakby ich organizmy nie informowały ich o tym, że stos, z którego zamierzają pociągnąć kartę, wcześniej doprowadził ich do utraty znacznej sumy (wiązał się więc z silnym, negatywnym przeżyciem). Z badań przeprowadzonych przez Antoine’a Bechara, Daniela Tranela i Hanne Damasio wynika, że takie osoby podczas podejmowania decyzji w grach ekonomicznych kierują się tym, co tu i teraz – nie mają dla nich znaczenia ani przyszłe koszty, ani odrzucone w czasie nagrody. Wybierają więc karty ze stosów, które mają im pozwalać na odniesienie szybkich i spektakularnych korzyści – ale ostatecznie prowadzą do porażki.

Zanim uznamy te trudności za mało istotne ze względu na abstrakcyjny charakter gry, warto zauważyć, że osoby z uszkodzeniami w obszarze vmPFC miały także problemy w życiu osobistym – podejmowały decyzje, nie zważając na długoterminowe konsekwencje. Z czasem ich żałowały, ale później i tak często popełniały te same błędy. Ich działania prowadziły do utraty przyjaciół, partnerów, pieniędzy czy statusu społecznego – z perspektywy czasu trudno ocenić je więc jako właściwe, ale te osoby nie były w stanie przewidzieć skutków, które innym mogłyby wydawać się oczywiste. Nie było to wynikiem obniżenia zdolności intelektualnych – one pozostały niezaburzone: w laboratorium pacjenci z uszkodzoną vmPFC rozwiązywali postawione przed nimi zadania problemowe jak przeciętni ludzie. Po doznaniu uszkodzeń mózgu byli mniej sprawni w czym innym – słabiej radzili sobie z wyrażaniem emocji, a ich odczucia były nieadekwatne do sytuacji. Dlatego Damasio uznał, że niezaburzone odbieranie sygnałów, które biorą się z pobudzenia naszego organizmu, jest kluczowe dla

→ podejmowania korzystnych decyzji. Jeżeli nie jesteśmy w stanie odebrać informacji o pobudzeniu i nie możemy oprzeć się na „przecuciach”, to gubimy się w logicznej analizie wszystkich „za” i „przeciw”, bo czynników jest zbyt wiele.

Pomoc z serca

Błędy w procesie podejmowania decyzji – prowadzące do nieistotnych porażek w grach, bardziej szkodliwych strat pieniężnych czy wreszcie niepowodzeń w życiu osobistym – to jednak nie wszystko. Kłopoty z interocepcją często współwystępują z zaburzeniami wywołującymi objawy somatyczne, zaburzeniami lękowymi, anoreksją, bulimią oraz autyzmem. Wskazuje się, że w tym ostatnim przypadku kłopoty z interocepcją mogą być źródłem aleksytymii, czyli problemów z rozpoznawaniem, rozumieniem i wyrażaniem emocji, które często pojawiają się u osób ze spektrum. Dlatego tak ważne są nowe doniesienia opisane w kwietniu w „PNAS”, które świadczą o występowaniu zdolności interoceptywnych u makaków królewskich (rezusów).

Procedurę podobną do tej, którą zastosowano do zbadania zdolności tych małp, dotychczas wykorzystywano w badaniach ludzkich niemowląt. Jako że ani

jedne, ani drugie nie potrafią mówić, trzeba je uważnie obserwować, by czegoś się o nich dowiedzieć.

Joey A. Charbonneau z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis i współpracownicy umieścili cztery badane małpy w specjalnych pudełkach, które umożliwiały im wygodne przycupnięcie, podczas gdy jednocześnie delikatnie unieruchamiano ich kończyny. Zainstalowano także aparaturę, która pozwoliła na śledzenie ich spojrzeń. Wtedy prezentowano im trzy typy bodźców wzrokowych: kształt podskakujący w rytm bicia ich serca, kształt podskakujący szybciej, niż biło ich serce, oraz kształt podskakujący wolniej. Każdemu poruszeniu się kształtu towarzyszył dźwięk. Gdyby okazało się, że we wszystkich tych przypadkach rezusy zachowują się tak samo, byłoby jasne, że nie ma dla nich żadnej różnicy – moglibyśmy uznać, że nie odbierają informacji o skurczach serca.

Wystąpiły jednak różnice podobne do tych zaobserwowanych u niemowlaków – cała czwórka badanych makaków królewskich patrzyła średnio dłużej na bodźce, które były prezentowane asynchronicznie względem uderzeń ich serc, niż na te zsynchronizowane z ich pulsem. Nie miało już natomiast znaczenia, czy

bodźce były wolniejsze, czy szybsze niż rytm ich serc, co pozwala wykluczyć, że interesowało je samo tempo bodźca, a nie jego związek z procesami zachodzącymi w ich ciele.

Autorzy badania są ostrożni co do wyciągania dalekosiężnych wniosków dotyczących świadomego postrzegania przez rezusy bodźców płynących z ich wnętrza. Fakt, że zachowanie małp (długość patrzenia na obiekty) było zależne od interakcji bodźców pochodzących z ciała (bicia serca) i bodźców w świecie zewnętrznym (ruchu obiektów), nie musi świadczyć o świadomym przetwarzaniu informacji. Innymi słowy, wyniki badania świadczą o jakiejś formie odbierania tego, co dzieje się wewnątrz organizmów małp, ale nie można na ich podstawie wyciągać żadnych wniosków dotyczących tego, czy rezusy były tych bodźców świadome w taki sposób, w jaki my możemy być świadomi, że boli nas brzuch.

Małpa małpie nierówna

Tak jak i u ludzi, u małp wystąpiły indywidualne różnice w wynikach zdolności interoceptywnych (różne były proporcje czasu, który poświęcały na patrzenie na synchroniczne i asynchroniczne bodźce). Zdaniem autorów badania, wynik ten pozwoli na obserwację u rezusów procesów związanych z interocepcją w całym jej spektrum. Dzięki temu będziemy mogli lepiej zrozumieć samą interocepcję, ale także zaburzenia psychiczne, które wiążą się z deficytami w tej sferze. A to stworzy szansę na znalezienie nowych sposobów zapobiegania ich wystąpieniu i skuteczniejsze terapie.

Wykorzystanie rezusów w badaniach nad interocepcją może stać się alternatywą dla dotychczasowych metod. Te często opierają się na dość odległych od nas pod względem genetycznym i rozwojowym szczurach czy myszach. Co więcej – zauważają autorzy badania na makakach – u gryzoni może brakować połączeń nerwowych, które mogą być konieczne dla odczuwania interoceptywnego. Dotychczas stosowane modele zwierzęce interoceptji nie mogły więc udzielić odpowiedzi na wiele istotnych pytań dla zrozumienia wielu zaburzeń. Zróżnicowana międzyosobniczo umiejętność wyczuwania rytmu serca u makaków królewskich daje takie nadzieje.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod sygn. akt I Ns 82/21 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Czesławy Bartoszek z udziałem Grażyny Kuziora, Haliny Kaproń, Wiesława Szkutnika, Marka Szkutnika, Mirosława Szkutnika, Jolanty Potok, Beaty Bednara, Krystyny Szkutnik, Marii Szkutnik, Adama Szkutnika, Anny Szkutnik, Beaty Szkutnik, Dariusza Szkutnika, Małgorzaty Szkutnik, Rafała Szkutnika, Arkadiusza Szkutnika, Michała Szkutnika, Elżbiety Szkutnik, Sebastiana Szkutnika, Zofii Borsukiewicz, Bolesława Szkutnika, Heleny Ryby, Leszka Szkutnika o nabycie przez zasiedzenie własności nieruchomości gruntowych położonych w gm. Zaklików, oznaczonych nr. ewid. 2438 o pow. 0,9623 ha, KW nr TB1S/00029837/5, działka nr ewid. 2438/2 o pow. 0,0331 ha, KW nr TB1S/00029837/5, działka nr ewid. 2704 o pow. 1,1037 ha, KW TB1S/00029836/8, działka nr ewid. 253/2 o pow. 0,1586 ha, działka nr ewid. 253/4 o pow. 0,0842 ha, działka nr ewid. 342/1 o pow. 0,1126 ha, działka nr 342/2 o pow. 0,0512 ha, działka nr ewid. 433/1 o pow. 0,1579 ha, działka nr ewid. 433/3 o pow. 0,0984 ha, działka nr ewid. 433/4 o pow. 0,0176 ha, działka nr ewid. 756/1 o pow. 0,0410 ha, działka nr ewid. 756/2 o pow. 0,3957 ha, działka nr ewid. 1008 o pow. 2,5297 ha, działka nr ewid. 1240/2 o pow. 0,1751 ha, działka nr ewid. 1240/4 o pow. 0,6805 ha, działka nr ewid. 3144 o pow. 1,4680 ha, działka nr ewid. 3356 o pow. 1,2772 ha, działka nr ewid. 3374 o pow. 0,3359 ha, działka nr ewid. 3578/1 o pow. 2,4008 ha, działka nr ewid. 3578/2 o pow. 0,0279 ha, a jako właściciel figuruje Marianna Szkutnik.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności następców prawnych Stefana Szkutnika, Mariana Szkutnika, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

OGŁOSZENIE



MICHELE BURGESS / ALAMY / B&W

Guźce potrafią dokopać się do wód gruntowych

Sztuka kopania

ŁUKASZ KWIATEK

Życie wielu zwierząt zależy od niewielu gatunków, które kopią studnie. Takie zachowanie może być nawet przejawem kultury.

CZŁOWIEK NIE JEST JEDYNYM GATUNKIEM, który kopie studnie. Słonie afrykańskie używają do tego stóp i trąb – najczęściej robią to w porze suchej, grzebiąc w dnie wyschniętej rzeki, gdzie już metr pod ziemią można dotrzeć do wody. Czasem kopią swoje studnie w pobliżu sadzawek czy płynących rzek – najprawdopodobniej po to, by zapewnić sobie dostęp do lepiej przefiltrowanej wody.

W 2013 r. Eva Ramey i współpracownicy przetestowali na obecność bakterii kałowych próbki wody pobrane z otwartych zbiorników oraz ze studni wykopanych w okolicy przez słonie – w tych druzgich zawartość patogenów była znacząco mniejsza. Nie różniły się za to np. stopniem zasolenia.

W Ameryce Północnej kopanie studni wzięły na siebie dzikie konie i osły – potomkowie zwierząt przywiezionych tu przez Europejczyków w czasach nowożytnych. Wprawdzie to na tym kontynencie wyewoluowała rodzina konio-

watych (*Equidae*) i dopiero kilka milionów lat temu przodkowie współczesnych zebra, koni i osłów dotarli z Alaski do Eurazji (przechodząc suchym kopytem przez teren, na którym dziś znajduje się Morze Beringa), jednak kilkanaście tysięcy lat temu większość amerykańskich dużych ssaków, wliczając koniowate, wyginęło – co musiało mieć związek z migracjami człowieka.

Dzisiaj dziczące konie i osły prawdopodobnie odgrywają w amerykańskim ekosystemie podobną rolę, jak ich wymarli przodkowie. Kopane przez nie studnie mogą mieć głębokość dwóch metrów, a w porze suchej, jak wynika z badań opisanych w 2021 r. w „Science” przez Ericka Lundgren’a i współpracowników, zależą od nich także losy dziesiątek innych gatunków kręgowców, dla których często takie studnie stanowią jedyne źródło wody. Okolice takich opuszczonych studni upodobały sobie również niektóre gatunki drzew. Według tych samych badaczy ze względu na zmiany klimatyczne ekosystemowe znaczenie zwierząt kopających studnie jeszcze wzrośnie.

Wśród małych najbardziej wprawionymi studniarzami są pawiany – mogą one kopać nawet na głębokości kilkunastu metrów, chętnie pogłębiają także studnie wykonane przez inne zwierzęta, np. guźce. To zachowanie pawianów jest jednym z powodów, dla których potrafią one przeżyć w zróżnicowanych środowiskach – poszczególne gatunki można spotkać niemal w całej Afryce subsaharyjskiej, także na pustyniach.

W ostatnich latach kopanie studni – zarówno gołymi rękami, jak i z użyciem patyków – zaobserwowano również w trzech społecznościach szympanсів

żyjących na sawannie, na terenie z ograniczonym dostępem do wody.

W czerwcu w czasopiśmie „Primates” Hella Péter i współpracownicy opisali zaś stado szympanсів żyjących w dżungli, którego członkowie zaczęli kopać niewielkie studnie w pobliżu naturalnej sadzawki. Ich funkcja musi się więc wiązać z dodatkowym filtrowaniem wody. Co ciekawe, zwyczaj kopania studni najprawdopodobniej został przyniesiony do stada przez migrantkę i rozprzestrzenił się dzięki mechanizmom transmisji kulturowej.

Obserwowana społeczność nosi nazwę Waibira – to duże, liczące przeszło sto osobników stado zamieszkuje las Budongo w Ugandzie. W okolicy żyją także cztery inne społeczności tych małp. Badacze śledzili ich zachowanie, m.in. przy użyciu fotopułapek, od 2013 r. Jako pierwsza studnie zaczęła kopać młoda samica nazwana Ony, która dołączyła do społeczności Waibira w 2015 r. U szympanсів zwyczajnych to samice zmieniają grupę po osiągnięciu dojrzałości, podczas gdy samce mogą całe życie spędzić w jednym stadzie – taka strategia zachowania pomaga tym małpom unikać płodzenia potomstwa z bliskimi krewnymi. To prawdopodobnie właśnie dzięki migracjom samic może także dochodzić do transmisji jakiegoś zachowania z jednej populacji szympanсів do innej. W społeczności Kasekela żyjącej w Tanzanii, którą przez lata obserwowała Jane Goodall, jedna z przybyłych samic zapoczątkowała zwyczaj łowienia mrówek na wsadzanych do mrowiska łodygach – potem podchwycyony przez inne osobniki, które nauczyły się tego samego zachowania przez obserwację.

Scenariusz z kopaniem studni w Waibira był podobny. Choć w dżungli na ogół nie ma problemów z dostępem do wody, szympansy Waibira czerpią ją głównie z jednej sporej sadzawki, która po paromiesięcznym okresie suchym robi się bardzo zamulona. Co ciekawe, to samice podchwyciły nowe zachowanie – samce jedynie wykorzystywały porzucone studnie. Ony najprawdopodobniej nauczyła się kopać studnie w swojej rodzinnej grupie, a zachowanie to mogło mieć początek w popularnej zabawie szympanсів, jaką jest robienie dłońmi i patykami dołków w ziemi. W ten sposób jakiś osobnik mógł odkryć, że wykonana w pobliżu sadzawki dziura szybko zapełni się znacząco czystsza wodą. ©P

BRAK NIEBA

Celem człowieka, twierdził Pitagoras, jest patrzeć w chmury, śledzić trasy słońca, obserwować tarczę księżyca, podziwiać lot ptaków. Kim zatem jest człowiek, który patrzy wyłącznie w ziemię?

MACIEJ TOPOLSKI



RENATA DĄBROWSKA / ARCHIWUM KACPERA KOWALSKIEGO

KACPER KOWALSKI WYKONUJE SWOJE zdjęcia podczas lotów paralotnią lub wiatrakowcem, 150 metrów nad ziemią. Będąc już w powietrzu, kieruje obiektyw aparatu pionowo w dół. Z takiej wysokości, stwierdza w jednym z wywiadów, można jeszcze rozpoznać ludzi. A jednak na jego fotografiach ludzie pojawiają się rzadko. Raz jest to pływak zatrzymany w pół ruchu pośrodku basenu, innym ra-

zem kilka postaci na sankach, które ciągnie traktor. Gdzieś indziej wylegający się między parawanami plażowicze. Tłumek oczekujących narciarzy uformowany tak, że przypomina liść miłorzębu japońskiego.

Widzenie architektoniczne

Patrzzenie z wysokości 150 metrów nad ziemią zapewnia perspektywę znaną



przede wszystkim architektom. Chcąc wyjaśnić, czym jest perspektywa architektoniczna, najlepiej sięgnąć po wydany w 1936 roku „Bauentwurfslehre”, czyli „Podręcznik projektowania architektoniczno-budowlanego” niemieckiego profesora Ernsta Neuferta. Książka ta, uznawana za architektoniczną biblię, została przetłumaczona na wiele języków, była wielokrotnie wznawiana i uzupełniana



*Port przeładunkowy w Gdyni, praca „Depth of Winter #65”, z projektu „Efekty uboczne”, Polska 2016 r.
Po lewej: Kacper Kowalski w lotni nad miejscowością Szemud, 25 czerwca 2015 r.*

(po śmierci autora w 1986 r. także przez jego syna Petera). Słowo „architekt” pierwotnie oznaczało, i wciąż oznacza, mistrza budowlanego, kierownika robót, głównego rzemieślnika. To jest kogoś, kto ziemię wymierza, analizuje i przetwarza według ludzkich wyobrażeń i dla ludzkich potrzeb. Dlatego też „Podręcznik” zawiera bogato ilustrowany spis miar i norm dotyczących dosłownie każ-

dej przestrzeni współczesnego świata. Od wymiarów okien, wrót czy anten przez stadiony, hotele i rzeźnie po proporcje ludzkiego ciała i rozmiary miejsca, jakie ono zajmuje w pracy siedzącej, stojącej, klęczącej lub kucznej, w kroku miarowym, marszowym i spacerowym, z łaską i parasolem.

W swoim dziele Ernst Neufert miał ambicję przedstawić „wymiaru wszech-

rzeczy”. Ambicję przerażającą tak w kontekście przyszłych działań nazistowskich, które przyczyniły się do nowego podziału świata (Neufert znalazł się zresztą na słynnej 36-stronicowej liście artystów „obdarzonych łaską Bożą”, ułożonej przez Goebbelsa i Hitlera w 1944 r.), jak również w sposobie widzenia rzeczywistości (zdepersonalizowanym, znormalizowanym, a przede wszystkim ciasnym). Niech za





Kompozycja 15, z projektu „Over”, Polska 2016 r.

→ przykład takiego widzenia świata posłuży obraz ilustrujący maksymalną liczbę osób umieszczoną na metrze kwadratowym. Oto widziany od góry czworokąt wypchany został dwudziestoma czterema zbitkami geometrycznych figur, które mają przypominać ludzi. Taka sytuacja, brzmi dopisek pod ilustracją, może się zdarzyć np. w kolejce linowej.

Czarno-białe ilustracje, które stanowią większą część publikacji Neuferta, ukazują świat zaprojektowany i do cna wykorzystany, podporządkowany ludzkim potrzebom: snu, pożywienia, pracy, wypoczynku, podróży itd. Świat czysty, zmierzony, pozbawiony pęknięć i plam, wypreparowany z emocji. Do cna miejski, a więc nieznający nieużytków, łąk, chaszczy, czyli przestrzeni niezagospodarowanych i chaotycznych. Jest to świat widziany z góry, wypełniony anonimowymi sylwetkami ludzkimi lub całkowicie bezludny, skupiony na funkcjach, jakie mają pełnić konkretne budynki, oraz geometrii, bez której nie mogą istnieć. Garaż to prostokąt i dwa wysokie trójkąty, a pokoje – należące w tej idealnej rzeczywistości do pani, pana, córki i syna – kwadraty pocięte liniami z dwoma małutkimi kołami. Port lotniczy Kolonia/Bonn przypo-

mina pięcioramienną gwiazdę. A skocznia olimpijska w Holmenkollen skrzypce.

Kacper Kowalski miał być architektem: „Mój pierwszy lot [paralotnią] zbiegł się z czasem, gdy dostałem się na architekturę na Politechnice Gdańskiej. Cóż zresztą innego mógłbym robić? Rodzice i brat są architektami. Przestrzeń, obraz i język rysunku obecne były w moim domu od samego początku, a na studiach ojciec otwierał mi oczy na te obszary, o których mnie uczono”. Po studiach Kowalski pracował zresztą przez kilka lat w autorskiej pracowni ojca, lecz współpracownicy – zwłaszcza w dni, kiedy pogoda była piękna – stwierdzali: „Idź już, Kacper, latać. Siejesz nerwową atmosferę”.

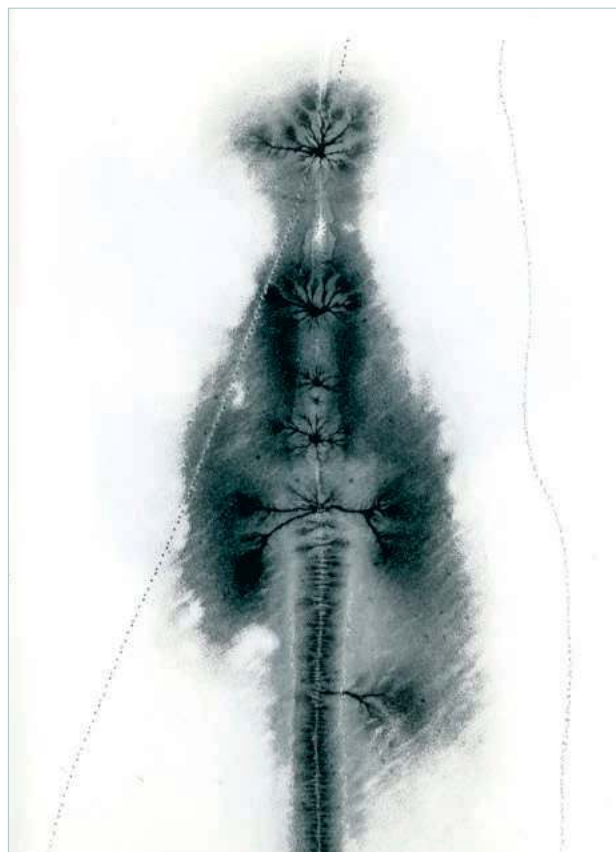
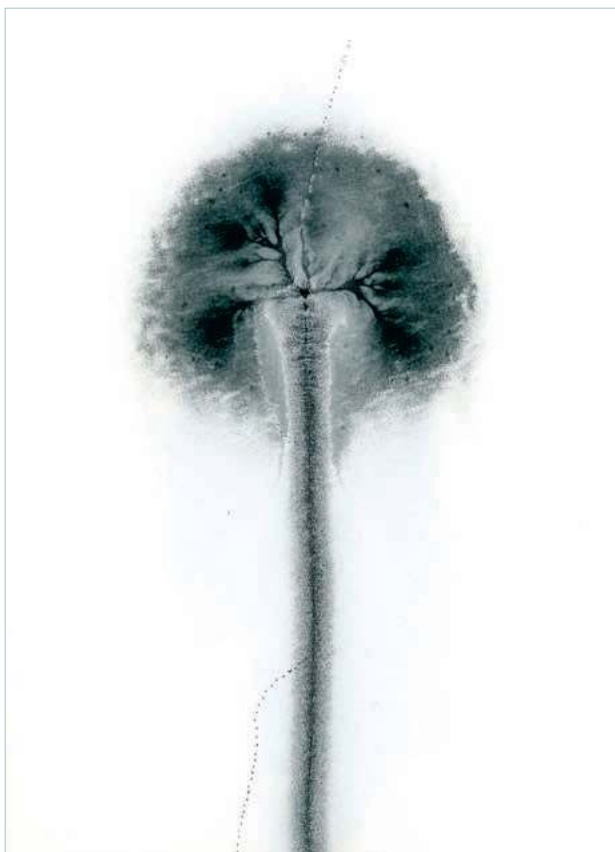
Perspektywa fotografii Kacpra Kowalskiego jak żywo przypomina perspektywę architektoniczną, z tym że architekt musi wyobrazić sobie ten punkt widzenia, Kowalski natomiast doświadcza go, wznosząc się w powietrze paralotnią lub wiatrakowcem, będąc w nim całym swoim ciałem. Podobieństwo: świat jest zbiorem form geometrycznych i kształtów, które przypominają coś-kiedyś-gdzieś indziej widzianego, np. liść miłorzębu japońskiego, gwiazdę, skrzypce. Różnica: architekt widzi miasto, Kowal-

ski wszystko to, co miastem nie jest. Podobieństwo: całkowity brak nieba.

Widzieć inaczej

Kacper Kowalski zaczął działać jako fotograf około 2002 r., wykonując w rodzinnym Trójmieście zdjęcie pustym działkom pod wizualizację lub wznoszącym się obiektom mieszkalnym i biurowym: „Miałem klientów i zlecenia. Realizując je, docierałem w najdziwniejsze miejsca, w które sam bym nigdy nie dotarł, i gdy zdjęcia dla klienta były zrobione, a ja miałem jeszcze paliwo w baku, szwendałem się po okolicy i dalej pstrykałem”. Dopiero 12 lat później – po 50 polskich i międzynarodowych nagrodach, licznych wystawach i projektach – opublikuje swoją pierwszą książkę fotograficzną zatytułowaną znamienne „Efekty uboczne. Poza miastem”.

Większość zdjęć zawartych w tej publikacji to modelowe pocztówki. Zdjęcia w swoim pięknie trochę nijakie, jakby zrobione przez generator internetowy. To pierwsze wrażenie. Drugie wrażenie jest diametralnie inne. Weźmy przykład. Ta fotografia została wykonana nieopodal Autostrady Bursztynowej w pobliżu miejscowości Chełmża w województwie



KACPER KOWALSKI: Szukałem zjawisk, które przeoczyłem w ciągu wielu lat eksploracji współczesnego świata. Czegoś, co zawsze było w krajobrazie, co inspirowało ludzi od początków myślenia abstrakcyjnego, od czasów zbieracza-łowcy. Z projektu „Arché”, 2017-2021 r.

kujawsko-pomorskim. Dzięki współrzednym umieszczonym przy zdjęciu mogę zlokalizować to konkretne miejsce i wirtualnie się do niego przenieść – i zobaczyć, że nie ma tu nic, prawie nic do zobaczenia. Pole, które jest odgródzone od autostrady siatką i płotem z blachy w kolorze ceglastym. W oddali niewielkie skupiska drzew. W górze zawieszono nisko ciemne niebo. Z perspektywy, z jakiej wykonuje fotografie Kowalski, widać coś zupełnie innego – brązową, miejscami czarną glebę, która naznaczona jest jasnymi śladami pozostawionymi przez samochody, układającymi się we wstęgi, w linie, wiązki. A pośrodku tego wszystkiego stopy plastikowych niebieskich rur, które przypominają kryształ górski. Ale coś jeszcze, coś głęboko zakopanego w pamięci – chabry na zakurzonych stronach zielnika.

Dlaczego jednak stos rur zaczyna przypominać kryształ lub chabry? A tłum narciarzy – liść miłorzębu? Skocznia olimpijska – skrzypce? Władysław Strzemiński, polski malarz i teoretyk sztuki, twórca teorii powidoków, wyjaśniłby to w następujący sposób: każdy obraz tworzy na siatkówce oka biochemiczny powidok, który oddziałuje na wszystko, co człowiek widzi. „Jak wirus przenosi swoje

cechy na inne obrazy. Wpływa na sposób postrzegania świata, jego analizę i na wspomnienia. A także na to, jak odczuwa się przestrzeń i zapamiętuje to, co w niej jest ważne”.

To szczególnie przypadek, gdy daną twórczość fotograficzną daje się z jednej strony porównać do milionów pięknych w swojej nijakości pocztówek, z drugiej do wyjątkowych obrazów unistycznych Strzemińskiego (bazujących m.in. na teorii powidoków). Gdy ma się wrażenie, że większość tych fotografii mogłyby – bez trudu, równie pięknie i o wiele taniej – wykonać drony lub satelity, a jednak wciąż są tworzone przez jednego człowieka, który wzbija się w powietrze, żeby fotografować ziemię.

„I wtedy spadł śnieg”

W tekście napisanym z okazji 25. rocznicy pierwszego lotu wiatrakowcem Kacper Kowalski przyznał: „»Efekty uboczne« zdobyły wszystkie możliwe nagrody, projekt był kompletny, ale nie umiałem się tym ucieszyć. Straciłem rynek fotografii komercyjnej, nie miałem pomysłu na siebie i czułem się wypalony”. Przy innej okazji dodaje: „Po co robić zdjęcia, skoro wszyscy już wszystko widzieli, a jeśli nawet nie,

to wyślę drona. Oczywiście ja też go sobie kupiłem. Tylko że fotografie z drona wymyśla się, stojąc na ziemi. A ja potrzebuję latać, potrzebuję zmęczyć się z wibrującym silnikiem spalinowym na plecach, poczuć przestrzeń i dopiero wtedy zrobić zdjęcie. Nadeszła ciemność. Byłem wygnanym z własnego królestwa, reliktem przeszłości bez nadziei na jakikolwiek happy end. Przestałem latać, przestałem robić zdjęcia. Właściwie przestałem robić cokolwiek. I wtedy spadł śnieg”.

W takiej atmosferze zaczyna powstawać kolejna książka. Jej tytuł – „Over” – oddaje zawarte w nowych zdjęciach Kowalskiego poczucie krańca i wyczerpania, ale też pragnienie rozpoczęcia raz jeszcze, od początku. Zdjęcia opublikowane w tej książce przedstawiają się w czerni i bieli, nie są pozbawione koloru, po prostu ukazują świat zanurzony w tych dwóch barwach. Świat przykryty śniegiem i ze śniegu się wyłaniający. Świat jakby opuszczony przez ludzi, „dziewiczy i martwy”. Kowalski stwierdza, że fotografując te miejsca – gruzowisko, puste lądowisko helikoptera, torowisko puszczane między chaszciami, przystań, przy której zatrzymała się kra, pole z biegnącą pośrodku rurą – miał wrażenie, że „odnalazł jakąś

→ pominiętą przez te wszystkie lata przestrzeń”, latał tam, gdzie „innym pilotom się nie chce latać, w paskudną pogodę, tam gdzie dron nie doleci”.

Fotografie zostały zrobione w Polsce, ale na dobrą sprawę mogłyby być zrobione gdziekolwiek indziej. Emocje, którymi nasiąknęły te zdjęcia – mieszaną niepokoju i zachwytu, odczuciem samotności i bycia częścią świata, pragnieniem porządku i beładnością – wynikają z osobistych doświadczeń, z tej, nie innej historii życia. Podczas naszej rozmowy Kowalski stwierdził: – Chciałem wylecieć poza znaną mi mapę, żeby zobaczyć coś nowego. Chciałem również latać w miejscu, gdzie nie ma ludzi, żeby nikomu nie przeszkadzać. Wcześniej było tak, że korzystając z danego samemu sobie usprawiedliwienia: potrafiłem o szóstej rano wylecieć nad Gdynię, żeby zrobić zdjęcia triathlonu, ponieważ, jak sobie myślałem, beze mnie nikt nie zobaczy, jak fantastycznie wygląda start takiego wyścigu. I jeszcze jedno: chciałem dowiedzieć się, czy jestem w stanie wypisać się z latania, odwyknąć od tego, jakoś z tym skończyć.

Od razu odpowiem: nie mógł.

Fotografie Kowalskiego są znakomicie skomponowane, ale przede wszystkim pozwalają zobaczyć świat w sposób zupełnie odmienny. I nie chodzi tylko o odrębną perspektywę, która uzyskana jest za sprawą lotu wiatrakowcem czy szybowcem, ale o taki sposób widzenia – i odczuwania – za sprawą którego obraz pola z dziurą zarośniętą krzakami lub ślady opon odkrywające spod śniegu czarną ziemię jawią się jako warte oglądania, wpatrywania, gapienia. Po prawdzie jesteśmy w stanie dzisiaj za sprawą technologii zobaczyć wszystko. Z bliska, z daleka, z perspektywy żaby i z lotu ptaka, z wnętrza wulkanu, z kosmosu.

W tym kontekście pokazanie pola leżącego odłogiem stanowi potwierdzenie wyczerpania się możliwości widzenia (czy jest coś pięknego, spektakularnego, godnego naszej uwagi w ugorze?), ale jest również sprzeciwem wobec technologicznych zakusów (niepotrzebne są drony i satelity, kiedy wystarczy spojrzeć tuż pod swoje stopy, na ziemię, i zobaczyć coś, czego wcześniej nie dostrzegaliśmy). Stanowi potwierdzenie, że indywidualna pamięć i odczuwanie – w dobie komputerowo generowanych obrazów, mechanicznego widzenia i nieskończonych możliwości technologicznych – pozostają istotne.

KACPER KOWALSKI:

Poszukuję wrażenia, które pozostanie w mojej wyobraźni, gdy przestaję patrzeć. To mój rytuał. Wchodzę w pewnego rodzaju stan medytacji albo uważności. Wtedy przykładam aparat do oka i wyzwalam migawkę”.

Przestrzeń do odczuwania

Pod koniec 2021 r. na festiwalu Paris Photo ukazuje się „Arché”, trzecia książka Kacpra Kowalskiego. Fotografie zamieszczone w tej publikacji przedstawiają się ponownie w czerni i bieli, i szarościach, które wytwarzają się w połączeniu tych dwóch barw prezentujących roztopy, spękania lodu, wachlarze piasku, mewy zawieszone nad ciemnością, metan unoszący się ku powierzchni wody z dna jeziora i trasy ludzkich stóp wytłoczone na zaśnieżonej ziemi. Zdjęcia przedstawiają konkretne miejsca (Gdynia i okolice) i zostały wykonane w określonym czasie (lata 2017-2019), jednocześnie jawią się jako obrazy abstrakcyjne, dla których mniej istotne jest ukazanie wydarzenia, miejsca czy czasu, bardziej – stworzenie przestrzeni do odczuwania.

Proces ich tworzenia stał się czymś więcej niż „cykaniem fotek z wysokości” (i kontynuowaniem tradycji aerofotografii), kontekst zaś, do którego nawiązuje, nie sprowadza się wyłącznie do ukazujących skutki zmian klimatycznych działań wizualnych (wobec których Kowalski był spóźniony tak naprawdę na początku swojej drogi – we wrześniu 2005 r. Google Maps za sprawą zdjęć satelitarnych pokazywało zniszczenia dokonane w Nowym Orleanie przez huragan Katrina). „Arché” stanowi wynik szczególnego rodzaju doświadczenia przestrzeni: „Rozkładam skrzydło na polu przed moim domem, uruchamiam silnik, wsuwam się w uprząż i czekam na odpowiedni moment do startu. Stopy uderzają o ziemię, biegnę tak szybko, jak tylko potrafię, wreszcie wzbijam się w powietrze. (...) Jestem częścią tej przestrzeni. O wiele bardziej interesuje mnie to, co czuję, kiedy

patrzę, niż to, co widzę i wiem o tym świecie. Poszukuję wrażenia, które pozostanie w mojej wyobraźni, gdy przestaję patrzeć. To mój rytuał. Wchodzę w pewnego rodzaju stan medytacji albo uważności. Wtedy przykładam aparat do oka i wyzwalam migawkę”.

Poprzednie cykle Kowalskiego były skupione albo na efektach ubocznych, albo na wyczerpywaniu się ludzkiej działalności. Na sposobach, w jakie wyobrażenia człowieka odciska się w ziemi, kształtuje ją, przemienia. W „Arché”, nominowanym do finału konkursu Grand Press w kategorii „Photo Book of the Year 2021”, gdyński fotograf koncentruje się na przedstawianiu ziemi jako przestrzeni, z której bierze początek ludzka wyobraźnia, w której człowiek szuka wzorów myślenia, którą wreszcie próbuje opanować, zrozumieć, wymierzyć. Tytułowe słowo – *arché* – oznacza właśnie „początek”, „źródło”, „miejsce pochodzenia”, ale również „koniec” (np. prześcieradła lub liny). Kiedy patrzę na jedną z pomieszczonych w tej książce fotografii, tak naprawdę nie wiem, co widzę. Wydmy otoczone kłębiastymi krzewami? Cypel wbijający się stożkowato w morze? Tutaj kończy się moja wiedza, lina, której się trzymam. I zaczyna działać wyobraźnia, wytwarzać coraz to nowe obrazy, dziesiątki, setki skojarzeń, pomysłów, doznań. Cypel przypomina kształtem popiersie młodego człowieka. Piasek wydmy – białą płachtę. Kłębiaste krzewy – chmury. Każdy zobaczy w tej fotografii co innego. Każdy ma innymi obrazami zarażone widzenie.

Prawdopodobnie najbardziej utytułowany współczesny polski fotograf, wzbijając się w powietrze parolotnią lub wiatrakowcem, przyjmuje perspektywę, z której patrzy architekt – perspektywę ukazującą ziemię jako przestrzeń najbardziej podstawowych wzorów, modeli i form, z której czerpie ludzka wyobraźnia i w które układają się ludzkie działania. Jako miejsce życia, które istniało na długo przed człowiekiem i które zostało przez niego wyeksploatowane. Jak wszyscy wybitni twórcy, pokazuje świat od strony jeszcze nieznanego, otwiera wiele pól do dyskusji – na temat wyczerpania możliwości widzenia, piękna katastrofy klimatycznej czy fotografii jako sztuki doznawania przestrzeni – patrzy tam, gdzie nikt nie patrzy, widzi tak, jak nikt nie widzi.

© MACIEJ TOPOLSKI



Eddie Vedder podczas koncertu w Finsbury Park. Wielka Brytania, 6 czerwca 1992 r.

dali słyszy głosy. Młodzi ludzie śpiewają „Black”, najbardziej osobistą, smutną, mówiącą o stracie piosenkę Pearl Jamu, którą chronił przed losem radiowego przeboju. Odmówił nawet nagrania do niej teledysku.

Wychodzi więc z zarośli i prosi, by nie śpiewali tej piosenki. „Miesiące później wciąż pamięta ich dziwne i zatroskane spojrzenia, gdy stanęli twarzą w twarz z przepełnionym niepokojem autorem i wykonawcą” – tak opisywał tę scenę Cameron Crowe w reportażu na łamach „Rolling Stone”.

Kalesony

Seattle w 1992 r. – jak ekscytował się magazyn „Spin” – było „dla świata rock’n’rolla tym, czym Betlejem dla chrześcijaństwa”. Założona w połowie lat 80. przez Bruce’a Pavitta i Jonathana Ponemana wytwórnia Sub Pop wydawała pierwsze nagrania i albumy Nirvany, Soundgarden czy Mudhoney. To lider tego ostatniego, Mark Arm, w 1981 r. w lokalnej muzycznej gazecie użył terminu „grunge” dla opisanie nowego stylu gitarowego grania, który rozpowszechniał się w Seattle, dość sennym mieście, w chłodnym stanie Waszyngton, oddalonym od muzycznych centrów ówczesnej Ameryki. Jego twórcy pochodzili także z mniejszych miasteczek, pamiętających czasy świetności napędzanej gorącą złotą, przemysłem drzewnym czy rybołówstwem, takich jak Ellensburg, Bainbridge Island czy Aberdeen, w którym Kurt Cobain i Krist Novoselic założyli Nirvanę.

Seattle omijały wielkie muzyczne nazwiska. Prowincjonalna frustracja i kapryśna pogoda zachęcały do schodzenia do piwnic, garaży i grania muzyki, której nie lubią rodzice. Grunge oznaczał dosłownie brud, wręcz syf – chodziło o przesterowane, hałaśliwe brzmienie gitar i wygląd muzyków. W latach 90. określenia „grunge” używano głównie do nazywania stylu bycia i mody. „Jaka moda? – zzymali się młodzi muzycy w dokumencie „Hype!” – My nosimy kalesony i flanele, bo tu jest, k..., zimno!”.

Pavitt używał terminu „grunge” dla opisanie muzyki wydawanego przez siebie zespołu Green River – protoplasty Pearl Jamu, w którym od 1984 r. grali

Po końcu niewinności

BARTEK DOBROCH

Pearl Jam wystąpi 14 lipca w Polsce. Ostatni ocalali z grunge’owego Seattle nie budzą już dawnych emocji, ale ich koncerty są nadal deklaracją wiary w siłę muzyki i celebracją życia.

TRZYDZIEŚCI LAT TEMU ZESPÓŁ PEARL Jam wracał z *tournee* po Europie. Byli fizycznie i psychicznie wyczerpani szybko zdobytą, odbierającą dawne życie sławą. Na lotnisku wokalista Eddie Ved-

der otrzymuje wiadomość, że jego przyjaciółka, gitarzystka Stefanie Sargent, zmarła z powodu przedawkowania narkotyków. Ukojenia szuka w samotności na piaszczystym nabrzeżu zatoki. Z od-



Mike McCready i Eddie Vedder, koncert zespołu Pearl Jam na Alive Festival w Portugalii. Lizbona, 14 lipca 2018 r.

→ jego późniejszy gitarzysta Stone Gossard i basista Jeff Ament. Odmienne wizje dalszej muzycznej drogi doprowadziły do rozpadu tamtej grupy. Stone i Jeff akompaniowali teraz wokaliście Andrew Woodowi, który dysponował sceniczną charyzmą, komediowym temperamentem, delikatną, niemal kobiecą urodą i wybujałym image'em. Zespołowi Mother Love Bone zamiast pełnych stadionów pisana była jednak tragedia. Maskowane pewnością siebie niezadowolenie ze swoich dokonań Wood topił w narkotykach. W marcu 1990 r. przedawkował heroinę. „Padł ofiarą sukcesu, którego nie zdążył osiągnąć” – wspominał producent z Seattle Jack Endino.

Wood mieszkał i przyjaźnił się z liderem grupy Soundgarden, Chrisem Cornellem, który wspomina: „Widok Andy'ego podłączonego do aparatury był jak utrata dziewictwa. To nie samobójstwo Kurta Cobaina, jak wiele osób przypuszcza, było końcem niewinności, ale wejście do tej szpitalnej sali”.

Osieroceni muzycy znali Jacka Ironsa, perkusistę kalifornijskiego Red Hot Chili Peppers, który sam dwa lata wcześniej w analogiczny sposób stracił przyjaciela, pierwszego gitarzystę zespołu, Hillela Slovaka, co przyplacił depresją i pobytem w szpitalu psychiatrycznym. W odpowiedzi na poszukiwania następcy Wooda polecił swojego znajomego z Kalifornii.

Z wyglądu Kalifornia

Eddie Vedder mieszkał w San Diego, miał 26 lat i prawie nigdy nie spał. Po nocach pracował na stacji benzynowej lub jako ochroniarz, a w dni wolne pomagał jako techniczny w miejscowym klubie. W ciągu dnia spędzał czas z dziewczyną, pisał piosenki oraz namiętnie surfował. Wersy napływały mu do głowy, gdy jechał na desce z falą. Prosto z plaży, jeszcze z piaskiem na stopach, wszedł do studia i nagrał wokale do trzech instrumentalnych utworów z taśmy demo, którą przysłał zespół nagrał już z udziałem drugiego gitarzysty Mike'a McCready'ego oraz perkusisty Soundgarden Matta Camerona. Z tego „Alive” stało się niebawem pierwszym singlem grupy, „Once” otworzył debiutancki album, który sprzedał się w samych Stanach w kilkunastu milionach egzemplarzy, a „Footsteps” trafił na szeroką listę uwielbianych przez fanów utworów grupy, które nigdy nie znalazły miejsca na studyjnej płycie.

Całość opowiadała historię upadku mężczyzny – od toksycznej miłości matki przez morderstwa, którymi odreagowuje gniew, aż po oczekiwanie na egzekucję – pasowała więc do wyobrażenia stanu Waszyngton, miejsca akcji „Miasteczka Twin Peaks”, i do Seattle, w którym grasował wówczas morderca znad Green River, prawdopodobnie najbardziej krwawy seryjny w historii USA.

Młody Edward Louis Severson III (nazwisko Vedder przyjął po matce) miał fatalne relacje z ojczymem, do czego będzie wracał w dorosłym życiu, śpiewając w „Better Man” o kobiecie, która „nie może znaleźć lepszego mężczyzny”. Dojrzał w poczuciu odrzucenia, wypełniając za pomocą muzyki – najczęściej The Who i Ramones – pustkę po niepoznanym ojcu. Rolę przewodników przejmowali młodzieńcy idole – Pete Townshend, Johnny Ramone, Neil Young – którzy potem zostali jego przyjaciółmi. Vedder stał się głosem wyrzutków, dzieci niewysłuchanych, dorastających w skrzywionych relacjach rodzinnych. Choć – jak wysledzą to potem dziennikarze – jego dzieciństwo i młodość nie były wcale tak złe i samotne, jak to przedstawiał. Nie był typem ponuraka, toczył normalne życie towarzyskie, miał ogromne pokłady młodzieńczej pasji i energii, zniewalający uśmiech, szopę długich włosów, wygląd, z którym – spojrzmy na teledysk do „Oceans” – mógłby reklamować dezodoranty lub maszynki do golenia i brylować na imprezach.

„Jeremy” powstał na podstawie artykułu w gazecie opowiadającego o nastolatku, który zastrzelił się na oczach nauczycielki i klasy. Towarzyszący mu wysokobudżetowy teledysk MTV nagrodziła potem jako najlepszy w roku. „Gdyby nie muzyka, prawdopodobnie byłbym dzie-

ciakiem, który zastrzelił się na oczach uczniów w szkole” – przemawiał na gali wręczenia nagród.

W przeciwieństwie do sporej części muzycznego świata Seattle wykazywał dużą odporność na autodestrukcję, nie wpadł w narkotyki i samobójcze obsesje. Ale ciepła, przyjemna powierzchowność skrywała drzemające w nim demony, chłodny smutek i palący gniew. Najlepiej opisał ten stan Chris Cornell słowami, które zaistniały jako idiom w potocznym języku ówczesnej Ameryki: „Wyglądał jak Kalifornia, a czuł się jak Minnesota”.

Surfing na fali

Frontmani Cornell i Vedder poznali się już w Seattle. Gdy koledzy z dwóch zespołów, między którymi panowała przyjacielska atmosfera i zdrowa konkurencja, rozpędzonego już Soundgarden i zawiązującego się dopiero Pearl Jamu, postanowili nagrać płytę poświęconą pamięci Wooda. Dziś nazwalibyśmy Temple of the Dog supergrupą, ale na przełomie 1990 i 1991 r. jego członkowie byli dopiero u progu sławy, której nawet nie oczekiwali. Cornell zaprosił do projektu Veddera, który objawił się w ten sposób szerokiemu światu w teledysku do „Hunger Strike”. Wyłania się tam z zarośli skrzypów przy plaży opodal Seattle i barytonem wspaniale, naturalnie zgrywa się z wyższym, tenorowym wokalem Cornella. Niedoceniony początkowo utwór pozostanie dla niego tą najważniejszą piosenką.

„Ten” ukazał w sierpniu 1991 r., dzień po tym, jak Nirvana nagrała teledysk do „Smells Like Teen Spirit”, który wywołał erupcję zainteresowania sceną muzyczną Seattle. Z początku przyćmiła ona Pearl Jam, dopóki drzemający w Vedderze wulkan energii nie wybuchł na scenie. Dotąd przeżywający każdy utwór, nieco wycofany, eksplodował. Biegał, skakał przez wyimaginowane płotki, wspinał się na rusztowania sceny, przemieszczał nawet piętnaście metrów nad nią jak małpa, na samych rękach, zwiślał nad publicznością, po czym nurkował prosto ze sceny albo z podwyższenia w ręce tłumu i dał się im nieść.

Fama o kipiących energią, okraszonych niemal cyrkowymi popisami wokalisty koncertach gromadziła tłumy na festiwalach, powlekając groń wiernych fanów. Z czasem ryzykowne zabawy ustąpiły miejsca czystej muzyce i niepo-

Pearl Jam przetrwał w pełnym składzie jako ostatni z wielkich zespołów tamtego Seattle.

W imię detoksu od niszczącej sławy, oderwania się od dyktatu mediów, przestali kręcić teledyski. Długo unikali nawet udzielania promocyjnych wywiadów.

wtarzalności koncertowych programów. Każdy z pozbawionych scenicznych fajerwerków, wizualnie surowych występów Pearl Jamu mógł być inny, setlisty zmieniały się w czasie rzeczywistym jak na koncercie życzeń. Fani przemierzający za zespołem Amerykę albo Europę nie należeli do rzadkości, a ten zaczął w 2000 r. nagrywać i wydawać (najpierw jako oficjalne płytowe bootlegi, potem udostępniając w sieci) wszystkie koncerty.

Kwestionując z kolei windujące ceny wysokie marże agencji sprzedaży biletów, w imię fanów, zwłaszcza młodych, niezamierzonych, podjął też walkę z chciwością przemysłu rozrywkowego. „Zależy nam, by udział w koncercie nie był poza ich zasięgiem. To kwestia możliwości wyboru. Płytę CD można kupić w sklepie, który oferuje najniższą cenę, lecz bilet na koncert tylko w agencji Ticketmaster” – wyjaśniał intencje skargi przed Departamentem Sprawiedliwości Stone Gossard. Zespół odniósł porażkę. Jednak ta najboleśniejsza przyszła 30 czerwca 2000 r.

Podczas koncertu na festiwalu w duńskim Roskilde tłum zaczął napierać na barierki. Zespół apelował, by wszyscy zrobili trzy kroki do tyłu. Po uspokajającym „Daughter” przerwał koncert, ale dla dziewięciu osób było już za późno. Zginęły stratowane. Pearl Jam przetrwał kryzys po tragedii chyba tylko dzięki osobistemu zaangażowaniu we wsparcie dla bliskich ofiar.

Nadal żyjemy

Pearl Jam pozostał w pełnym składzie jako ostatni z wielkich zespołów z tamtego Seattle. W imię detoksu od niszczącej sławy, oderwania się od dyktatu me-

diów, na lata przestali kręcić teledyski. Długo unikali nawet udzielania promocyjnych wywiadów.

Muzycyści odchodzili też coraz dalej od grunge’owych korzeni, czego kulminacją była najbardziej niekomercyjna i różnorodna płyta „No Code”. Pochożący z niej wspaniały, narastający „Present Tense” wielu ludzi poznało dopiero niedawno, gdy wybrzmiał w finale serialu dokumentalnego o Michaelu Jordanie i Chicago Bulls „Ostatni taniec”. Już w połowie lat 90. Vedder zaczął aspirować do roli nowego amerykańskiego barda. W soundtracku do filmu „Przed egzekucją” jego nazwisko pojawiło się obok Bruce’a Springsteena, Toma Waitsa i Johnny’ego Casha. W będącym częścią tej ścieżki dźwiękowej „The Long Road” wraz z pakistańskim pieśniarzem Nusratem Fatehem Alim Khanem stworzył niezwykle połączenie muzyki amerykańskiej z suficką *qawwali*. Grający w filmie Sean Penn chciał go później obsadzić w głównej roli we własnym obrazie: „Wszystko za życie”. Vedder odmówił, ale napisał ścieżkę dźwiękową, która jakością przerosła obraz, przyniosła mu Złoty Glob i zaczęła żyć życiem osobnym. Na nowej solowej płycie „Earthling” towarzyszą mu Elton John, Ringo Starr i Stevie Wonder – zestaw godny czołowej postaci amerykańskiej muzyki. Ale u jego boku coraz częściej pojawia się też utalentowana osiemnastoletnia Olivia – „Córeczka tatusia”, jak brzmi tytuł ich nagranej razem z Glenem Hansardem piosenki.

Solowe, poboczne projekty lidera oraz innych muzyków nie podważyły sensu trwania grupy. Pearl Jam nadal nagrywa i choć nie budzi już takich emocji, jak w latach 90., to nadal ma coś do powiedzenia, choćby na ostatnim albumie „Gigaton”, o świecie w obliczu kryzysu. Klimatycznego, demokratycznego, ludzkiego. Ich koncerty są dalej dowodami vitalności, wiary w siłę muzyki. W obliczu zaś losów sceny z Seattle, a teraz także po dwóch latach pandemicznego zatrzymania w bliskości wojennych lęków, śpiewany przez publiczność ulubiony refren „I’m still alive” – „Ja nadal żyję” – brzmi jak wyraz radości z cudu przeżycia. „We’re all still alive” – „Wszyscy nadal żyjemy” – dośpiewuje często Vedder w finale piosenki. © BARTEK DOBROCH

Pearl Jam wystąpi 14 lipca 2022 r. w krakowskiej Tauron Arenie.

Planeta oczyszczenia

PIOTR KOSIEWSKI Z BERLINA

Biennale zorganizowane pod hasłem „Still Present!” przypomina o niezbędności sztuki, która sprawia, że to, co „niewidzialne, staje się widoczne”.

NA FASADZIE SIEDZIBY AKADEMII Sztuki nieopodal Bramy Brandenburskiej jest wyświetlane wielkie, skierowane w stronę przechodniów oko. W 2013 r. baner z tym samym przedstawieniem iracki artysta Sajjad Abbas zawiesił na gmachu nieopodal tzw. zielonej strefy w centrum Bagdadu, w której znajdowały się siedziby władz, ale także ambasady, m.in. Stanów Zjednoczonych. Swą pracę zatytułował: „I can see you”.

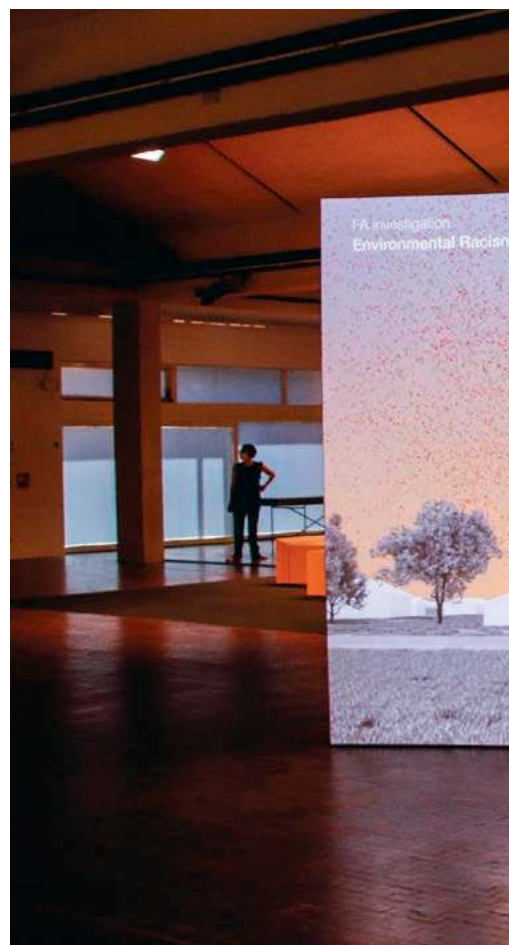
Całe tegoroczne 12. Berlińskie Biennale Sztuki Współczesnej jest poświęcone twórcom, którzy uważnie przyglądają się rzeczywistości, prześwietałają ją i jej źródła. Artystą jest też kurator tegorocznego biennale. Urodzony w 1970 r. we Francji w rodzinie imigrantów algierskich Kader Attia, autor rzeźb, rysunków, instalacji, fotografii i wideo, dobrze odnalazł się w tej roli, bo sam też od 2016 do 2020 r. prowadził w Paryżu La Colonie – niezależną przestrzeń wystawienniczą, będącą jednocześnie kawiarnią oraz miejscem warsztatów i dyskusji, poświęconym artystom, intelektualistom i aktywistom zajmującym się problematyką kolonializmu, rasizmu i kulturowego przywłaszczenia, czyli przejmowania elementów innych kultur, nierespektującego ich znaczenia lub wzmacniającego istniejące już stereotypy. Wszystkie te tematy uczynił wiodącymi także na tegorocznym biennale.

Znacząca jest nawet topografia tegorocznego biennale. Założona pod koniec XVII wieku Akademia Sztuki do końca wojny mieściła się właśnie na Pariser Platz, który domyka Brama Brandenburska. Ruiny gmachu dopiero w XXI w. zostały włączone w nowy szklany budynek, będący, podobnie jak cała zabudowa tego placu, symbolem odbudowy Berlina po zjednoczeniu. Tegoroczne wystawy zorganizowano także w dwóch innych instytucjach powstałych po upadku muru berlińskiego: w KW Institute for Contem-

porary Art oraz w Hamburger Bahnhof, dawnym XIX-wiecznym budynku dworcowym, który został siedzibą muzeum sztuki nowoczesnej. Obie stały się znakami otwarcia miasta na współczesność. Są wreszcie dwa miejsca symboliczne dla podzielonego Berlina: gmach Akademii Sztuki wzniesiony w 1960 r. w Berlinie Zachodnim oraz Kampus Demokracji założony w dawnej siedzibie Stasi. Wykorzystano wreszcie Centrum Kultury Pamięci Dekolonialnej – niedawno założone nieopodal dawnych siedzib Kancelarii Rzeszy i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To w nich w 1885 r. podczas konferencji berlińskiej ustalono porozumienie w sprawie zasad rozbioru kolonialnego Afryki. Poznawanie kolejnych wystaw to więc także podróż po historii nie tylko Niemiec ostatnich 150 lat.

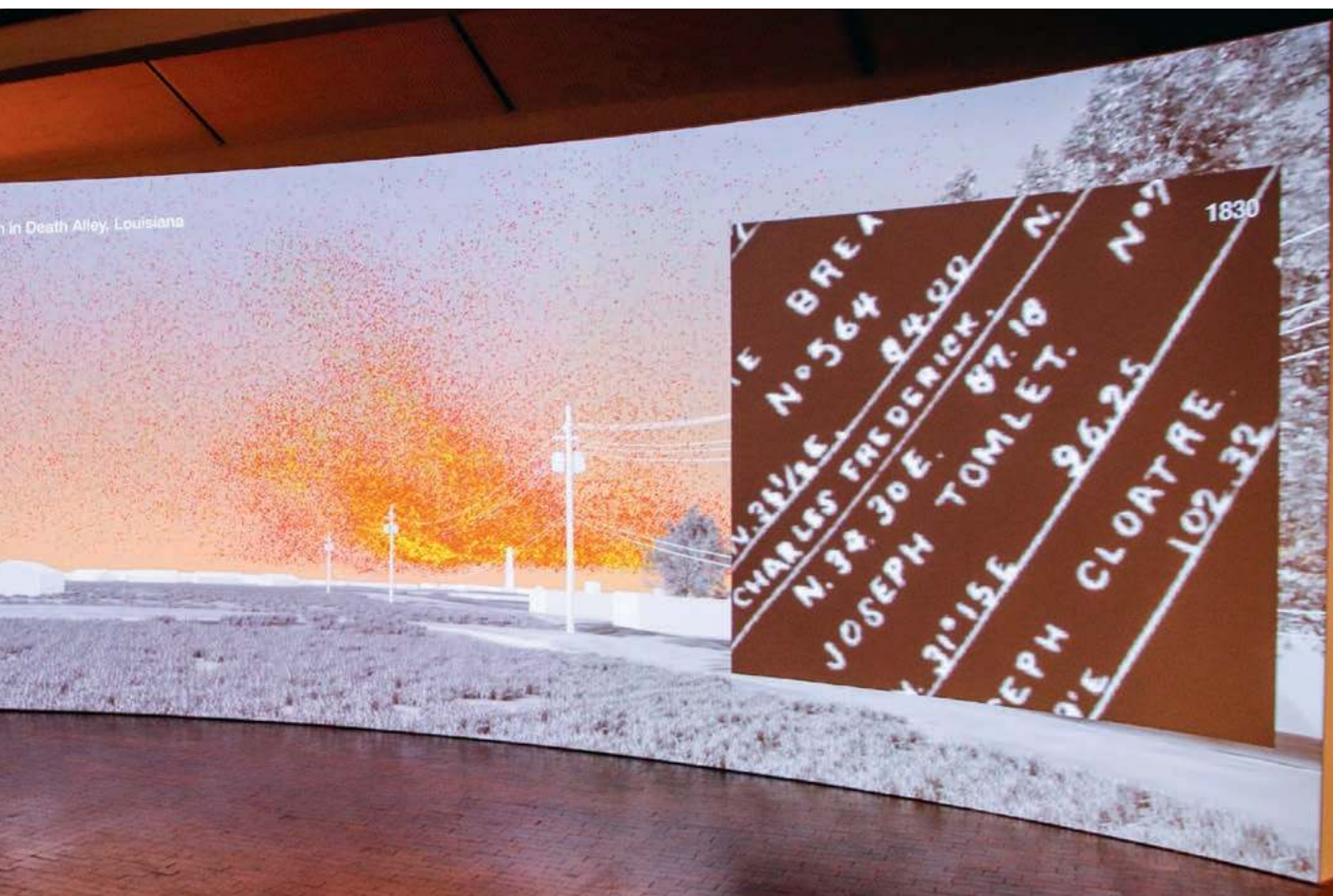
Oko i ucho

Kader Attia do udziału zaprosił ponad 70 artystek i artystów oraz kolektywów reprezentujących młode i średnie pokolenie. Jednocześnie samo biennale silnie jest zanurzone w przeszłości. Na wystawach znalazły się książki, manifesty, pisma oraz inne dokumenty historyczne związane z awangardowymi poszukiwaniami oraz artystycznym i społecznym aktywizmem. Przypominają o różnych formach zaangażowania: o ruchach antykolonialnych, obrony praw kobiet czy antyrasistowskich, ale pokazują także uwikłania artystów, w tym w kolonializm właśnie. Jednym z najbardziej niezwykłych miejsc jest sala w Akademii Sztuki, w której obrazy czołowych ekspresjonistów Emila Noldego i Karla Schmidta-Rottluffa, zaainspirowanych twórczością Afryki i Polinezji, zestawiono z szeregiem przedstawień Ukrzyżowania powstałych w XIX i przede wszystkim XX wieku w Beninie, Wybrzeżu Kości Słoniowej czy w Papui-Nowej Gwinei.



Urodzona w Tel-Awiwie Ariella Aisha Azoulay opowiada o losach kobiet po upadku Berlina. W „The Natural History of Rape” („Historii naturalnej gwałtu”, 2017-2022) zestawiała zdjęcia zniszczonego miasta i relacje ofiar masowych gwałtów. Artystka nie relatywizuje odpowiedzialności za wojnę, nie usprawiedliwia niemieckich zbrodni. Stawia natomiast pytanie o przemoc ze względu na płeć. Pokazuje ją jako coś, co, jak sama określiła, musi stać się „powszechnie nieakceptowalne”.

Deneth Piumakshi Veda Arachchige wraca do historii swoich przodków – Adiwasi, pierwotnych mieszkańców Sri Lanki. Bada prowadzone na ówczesnym Cejlonie w latach 1883-1907 ekspedycje naukowe Szwajcarów Paula i Fritza Sarasinów. Zebrali oni dużą kolekcję czaszek tamtejszych mieszkańców, do dziś przechowywanych w kilku europejskich muzeach. Artystka upomina się o prawa społeczności, do której przynależeli, oraz o godność tych szczątków. Wydobywa je z muzealnych magazynów, jak w rzeźbie „Self-Portrait as Restitution – From a Fe-



PIOTR KOSIŃSKI

Forensic Architecture, Cloud Studies (Badania chmur), 2022, instalacja wideo, 12. Berlińskie Biennale, 10 czerwca 2022 r.

minist Point of View” („Autoportret jako restytucja – z feministycznego punktu widzenia”), w której werystycznie przedstawiała siebie z kopią czaszki mężczyzny Adiwasi.

Francuski artysta Jean-Jacques Lebel stworzył przerażający labirynt ze zdjęć, które wykonał amerykański personel więzienia Abu Ghraib. Scenom ponizenia, przemocy, tortur towarzyszą czarno-białe fotografie zniszczonych miast. Mieszkający w Bejrucie Lawrence Abu Hamdan przeszedł prowadzoną przez 15 lat przez Izrael lotniczą inwigilację Libanu. Dzięki zebranych dokumentom, w tym nastrochom, pokazuje, że to, co uważano za pojedyncze, niepowiązane ze sobą incydenty, było przemyślanym i zaplanowanym działaniem, a za romantycznymi widokami nieba z chmurami o niezwykle kolorystyce – takie zdjęcia na wystawie ułożyły się w piękny, panoramiczny widok – kryje się wojskowa przemoc. Abu Hamdan mówi, że jest „osobistym uchem”. Badaczem, który poprzez analizę przede wszystkim dźwięku ujawnia przemoc, łamanie praw czy wolności.

Katharsis

Biennale poświęca wiele miejsca na działania artystek i artystów polegających na łączeniu badań społecznych z praktyką artystyczną. Nie zabrakło jednego z najgłośniejszych w ostatnich latach przykładu, czyli brytyjskiej interdyscyplinarnej grupy badawczej Forensic Architecture, wykorzystującej techniki i technologie architektoniczne do badania przypadków przemocy państwowej i łamania praw człowieka. Można zobaczyć instalację wideo „Cloud Studies” („Badania chmur”, 2022) poświęconą emisji gazów przez państwa i korporacje. Z przykładów zebranych z całego świata, pokazujących wykorzystanie gazów łzawiących do pacyfikowania demokratycznych protestów, jak też zanieczyszczanie powietrza rakotwórczymi emisjami czy podpalenia tropikalnych lasów, układa się obraz świata pogrążającego się w toksycznych oparach.

Na Biennale znalazła się też druga praca Forensic Architecture. 1 marca tego roku rosyjskie bomby spadły na Babi Jar w Kijowie – miejsce pamięci o masowych zbrodniach nazistowskich przede wszystkim na

ludności żydowskiej tego miasta. To wydarzenie stało się punktem wyjścia do opowieści o tym miejscu. A jednocześnie została ona wpisana – także poprzez kontekst, w jakim została pokazana – w dzieje imperializmu i kolonializmu. Być może dzięki temu wojna w Ukrainie stanie się bardziej zrozumiała dla społeczności globalnego Południa, która w istotnej części nie postrzega Moskwy jako agresora.

Biennale zorganizowane pod hasłem „Still Present!” przypomina o niezbędności sztuki, która, jak podkreśla Kader Attia, sprawia, że to, co „niewidzialne, staje się widoczne”. W rozmowie z Adelą Lovric dla magazynu „Berlin Art Link” mówi o błędzie, jakim jest uznanie, że trauma jest „pamięcią o tym, co się wydarzyło”. Trauma „wyraża się w teraźniejszości”, dotyka nas tu i teraz. Sztuka zaś – przekonuje Attia – zachowała zdolność nie tylko ujawniania zbiorowych i indywidualnych lęków, ale też pomocy w ich przezwyciężeniu. Jest drogą do *katharsis*.

Jedną z najbardziej zaskakujących prac jest cykl czternastu obrazów Amerykanki Tammy Nguyen. Przedstawiają

→ one drogę krzyżową. Artystka odwołała się do realnie istniejącej drogi w obozie dla wietnamskich uchodźców na Pulau Galang, małej wyspie w indonezyjskim archipelagu Riau. W tamtejszym parku ustawiono pozłoczone rzeźby przedstawiające poszczególne stacje krzyża. W bujnej zieleni, która coraz bardziej pochłania te przedstawienia. Podobnie się dzieje w obrazach Tammy Nguyen. Postacie Jezusa i innych chwilami gubią się w płataninie roślin, owadów, zwierząt. Nawzajem się przenikają, łączą. Katolicyzm jest dziełnictwem kolonialnym – przypomina artystka. Ale też, dodaje, „oferuje wielu Wietnamczykom zbawienie i modlitwę, która jest prawdziwa i żywa”. Stał się częścią ich własnego świata i ich kultury.

Z kolei francuski artysta i reżyser Clément Cogitore sięgnął po jedno z arcydzieł europejskiej muzyki – „Les Indes Galantes” Jeana-Philippe’a Rameau. W tej wystawionej po raz pierwszy w 1735 r. operze-balecie pojawiają się postacie z Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Cogitore zaprosił kilkanaście osób wywodzących się z tamtych kontynentów, by odtąńczyli jeden z fragmentów opery na współczesny sposób, sięgając do hip hopu i form tańca ulicznego. Młodzi opowiedzieli przedstawioną historię na nowo, podważając dawne fantazje o prymitywnych ludach. Przywrócili też żywiołowość muzyce Rameau (Cogitore wystawił całość w paryskiej Opéra Bastille w 2019 r.)

Sztuka nadal pozwala konfrontować się z niepokojącą rzeczywistością, znaleźć sposoby jej zrozumienia, ale też – i to największy paradoks tegorocznego berlińskiego biennale, tak mocno zanurzonego w cierpieniu i traumach – przywraca nadzieję na trochę lepsze ułożenie naszego świata.

© PIOTR KOSIEWSKI

współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

12. BERLIŃSKIE BIENNALE SZTUKI

WSPÓŁCZESNEJ, STILL PRESENT!, Berlin, wystawy czynne do 18 września br., kurator: Kader Attia.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas

w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE FORUM FILM POLAND

Kadr z filmu „Powodzenia, Leo Grande”, reż. Sophie Hyde

Odzyskiwanie ciała

ANITA PIOTROWSKA

W sterylnym wnętrzu pokoju hotelowego zakłopotana wdowa i emerytka przyjmuje tytułowego Leo, który zarabia na życie umawiając się z dużo starszymi paniami.

CZASAMI, W RAMACH EKSPERYMENTU myślowego, dobrze odwrócić znaną sytuację. Bo przecież naiwnych historii, których motorem jest usługa seksualna zmieniająca życie, widzieliśmy już mnóstwo. Również takich, gdzie usługodawczyni zdawała się lubić swoją pracę, usługobiorca nie zostawiał za progiem dobrych manier i oprócz transakcji łączyła ich wzajemna fascynacja. Dlatego gdyby Emma Thompson była starszym mężczyzną, Daryl McCormack zaś młodą kobietą, nie byłoby zapewne o czym rozmawiać. Zazwyczaj wiele w takich filmach pobożnej życzeniowości, romantyzowania czy rozgrzeszania obu stron i w sumie tym razem mogło być podobnie. Film „Powodzenia, Leo Grande” to jednak rzecz wyjątkowa, bo gra toczy się o przyjemność kobiety, w dodatku po sześćdziesiątce, a stoją za nią wyparte doświadczenia wielu niewieścich pokoleń.

W sterylnym wnętrzu pokoju hotelowego zakłopotana wdowa i emerytka przyjmuje tytułowego Leo, który zarabia na życie umawiając się z dużo starszymi paniami. Na szczęście minibarek jest pełny – bez szampana trudno byłoby przemienić się nagle w kobietę bez winy i wstydu, choć to nie alkohol będzie głównym sojusznikiem granej przez Thompson bohaterki. Nancy nigdy nie zaznała rozkoszy, a teraz jednocześnie pragnie jej i zarazem panicznie się boi, co brytyjska aktorka potrafi wspaniale oddać. Nancy sprawia wrażenie kogoś, kto na całe dekady zapomniał o istnieniu ciała i gdy nagle upomina się ono o swe podstawowe potrzeby, mechanizm kontroli działa ze zwielokrotnioną mocą. Napędza go nie tylko obyczajowa, ale i estetyczna samoocena. Skrępowaniu sprzyjają też okoliczności: posagowe piękno chłopa „na godziny” oraz merkantylny charakter ich spotkania. Tyle że cieka-

wość, pożądanie i tęsknota w końcu biorą górę.

Fakt, iż Nancy pracowała jako katechetka, dodaje pikanterii i może kulturowo tłumaczyć jej zahamowania. Australijska reżyserka Sophie Hyde wraz ze scenarzystką Katy Brand mogły ten religijny kontekst rozwinąć i skarykaturować, lecz nie to było ich bezpośrednim celem. Interesuje je przede wszystkim dynamika erotycznych spotkań, kiedy Nancy ma nareszcie szansę „odzyskać swoje ciało”, uśpione jeszcze w wieku nastoletnim i schowane dziś pod sztywną garsonką. Błokada ujawnia się zrazu na poziomie języka; pytana o fantazje czy pragnienia, bohaterka wydaje się bezradna. Choć to ona powinna dyktować kochankowi warunki, panicznie boi się rozczarowania, również z jego strony. Thompson na każdym kroku wydobywa z niej spiętą nauczycielkę, która desperacko próbuje nie wypaść z roli i wykonać swój „plan lekcji”. Jej wewnętrzny cenzor nakazuje odraczanie przyjemności i w kryzysowych chwilach wręcz przerywa spotkanie. Od początku nie mamy wątpliwości, kto winien tutaj pobierać nauki – z dotyku, spontaniczności, samoakceptacji.

Zyskuje na tych prokrastynacjach warstwa dialogowa filmu. Prowadzona przez bohaterów szermierka słowna, błyskotliwa na poziomie literackim i brzemiennea w wymiarze międzyludzkim, podtrzymuje niepewność: jak długo Leo będzie odgrywał rolę subtelного żigolaka? Kto pierwszy przekroczy granice anonimowości i bliskości, a kto w końcu ów proces zatrzyma? Posiłkując się farsową konwencją i prawie nie opuszczając czterech ścian, „Powodzenia, Leo Grande” przypomina wysokojakościowy teatr telewizji, intensywnie gadany, z superlotnym scenariuszem dla dwojga, w finale zaś dla trojga aktorów, rozpisany na trzy akty plus epilog. I w ramach tych ograniczeń, w sposób bardzo delikatny i równocześnie z pieprzykiem, opowiada o represjonowanej cielesności.

Poza wszystkim, jeśli coś jeszcze dzieli Nancy i Leo podczas owych „sesji” (patrz: świetny film „Sesje” z 2012 r., o seksterapeutce pracującej z niepełnosprawnymi), jest to różnica pokoleń i objawia się ona na każdym kroku

w podejściu do ciała właśnie. Swoją drogą, jednym z bardziej ryzykownych aspektów tych erotycznych spotkań są edypalne przeniesienia, kiedy rozczarowana własnym macierzyństwem kobieta zwierza się Leo ze swych relacji z dorosłymi dziećmi i równocześnie próbuje wyciągnąć go na zwierzenia na temat jego matki.

Ostatecznie w filmie Hyde nie chodzi o żadne perwersyjne przekroczenia. Sceny klasycznego seksu rozgrywają się albo poza kadrem, albo umownie, co nie znaczy, że brakuje seksualnego napięcia. Chemia pomiędzy bohaterami, jakkolwiek zapośredniczona aktem kupna/sprzedaży, działa gdzieś obok łóżka – w tańcu, podczas relaksacyjnego masażu, w szczerej (chce się wierzyć) rozmowie, choć wiemy, że bez łóżkowego kontekstu najprawdopodobniej nie wydarzyłyby się między nimi rzeczy najważniejsze. I chociaż film skupia się na kobiecych doznaniach, nie uprzedmiotawia chłopaka do towarzystwa. Obdarzony aksamitnym głosem McCormack tworzy postać skomplikowaną – połączenie strzegącego swej prywatności zawodowca, czulego sejsmografu kobiecych odczuć i osoby podatnej na zranienie.

Aktorstwo Emmy Thompson przekracza tu granice wszelakie, również fizyczne. Śledzenie jej postaci przypomina obserwowanie przez lupę uwiecznionej poczwarki, która zrazu nieporadnie próbuje wydostać się z kokonu, by poczuć coś wreszcie na własnej żywej tkance i stanąć przed sobą w całej skrywanej dotąd krasie. Bywa w tych metamorfozach przepraszająca i wścibska, zdeterminowana i nieśmiała, tragiczna i zabawna, potrafi także po drodze niszczyć i zawłaszczać. Dopiero gdy Nancy uświadomi sobie, co dostała od Leo, przestaje być osobą toksyczną. Dla innych i dla siebie. A dzieje się to w filmie kameralnym i lekkim, który z wdziękiem unieważnia staroświeckie rozdzielanie duszy od ciała, na pohybel seksizmowi czy ejdyzmowi. Który pozwala dostrzec w obojgu bohaterach psychologiczną migotliwość i nie próbuje ich przyszpilać żadną oceną. ©

POWODZENIA, LEO GRANDE (*Good Luck to You, Leo Grande*) – reż. Sophie Hyde. Prod. Wielka Brytania 2022. Dystryb. Forum Film Poland. W kinach od 15 lipca.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Belfast



Dramat, reż. Kenneth Branagh, Wielka Brytania 2021, VoD
Film o dzieciństwie musi być choć trochę sentymentalny – nawet

jeśli rozgrywa się w cieniu bratobójczego konfliktu. Brytyjski reżyser wspomina bliskich i ukochane miasto, które jest przestrzenią zmitologizowaną, pełną swojskich zapachów, zwyczajów i anegdot. Chłopięca optyka bierze w nawias politykę, pozwala za to dostrzec towarzyszące jej absurd.

2. Koniec trasy



Dramat, reż. James Ponsoldt, USA 2015, Netflix, VoD
Mamy rok 1996, David Foster Wallace (w tej roli Jason Segel) jeździ

po USA promując swą powieść „Infinite Jest”. Przez kilka dni towarzyszy mu David Lipsky, dziennikarz „Rolling Stone” (Jesse Eisenberg), czego efektem będzie reporterska książka. Film odtwarza tamto spotkanie, a przede wszystkim towarzyszącą mu intensywną wymianę myśli i emocji.

3. Patti Smith. Poetka punka



Dokumentalny, reż. Anne Cutaia, Sophie Peyrard, Francja 2021, Canal+, Player
Jej biografia uosabia ducha kontestacji,

na dobre i na złe. Telewizyjny portret artystki przybliży kontrykulturowy Nowy Jork, ówczesne tęsknoty za utopią i poszukiwanie własnej niezależnej drogi. Dziewczyna z gitarą, łącząca muzykę i poezję, zawsze miała w sobie „intelektualną furie”, a zarazem świadomość swej złożonej sytuacji jako buntowniczką, kobietą i gwiazdą.

4. Fabian albo świat schodzi na psy



Dramat, reż. Dominik Graf, Niemcy 2021, HBO Max
Na podstawie powieści Ericha Kästnera powstał film długi i chwylami

nieznośnie dygresyjny, lecz wychodzący poza konteksty schyłkowej Republiki Weimarskiej. Tytułowy bohater marnuje talent w reklamie, nocami zaś przemierza występną Berlin w poszukiwaniu ocalenia – dla siebie i dla chylącego się ku upadkowi świata. Plus kolejna świetna rola Toma Schillinga.

JAN

Klata: Parszywe terminy



JULIA P. NA POLECENIE Z GÓRY POKORNIE przesuwam terminy. Rozpraw. Rozpraw się z tym, teraz, z Julii P. terminów przesuwaniem na wniosek Dworczyka. Czyli Naczelnika. Weź, teraz się rozpraw, suwerena przekonaj, że źle się dzieje, larum podnoś na puszczy. Trybunał? Konstytucyjny? Ludzie mają imponderabilia w głębokiej obojętności. Każden za swym pługiem. Trójpodział władz? Trójpółówka Prezesa raczej, folwarczne zarządzanie wyjąławianiem demokracji.

Korumpowanie elektoratu trwa, ma się dobrze, skaperowana ludność odwodzić się przy urnie, przekabacany suweren nie baczy na imponderabilia ustrojowe... Naiwne rozdzielanie szat nad rwaniem postawy białoczerwonego sukna, wszak rwą miliony, a miliony nie mogą się mylić dając większość. Jakże cyniczne wypominanie wołającym na puszczy, że martwią się stanem rzeczy. Rzeczy nader ostatnio pospolitej, pospoliciej bardzo, bardzo nieładnie.

Co pozostaje: wyglądanie nieuchronnej katastrofy, opadanie rąk, wątpienie w immunitetowo-rowerową opozycję, liczenie na niespodziany cud mniemany. Wolna ludność wie, spokojne życie wedle swych prastarych zwyczajów i zgarnia pod siebie, nie bacząc na skutki. Ale gdybyż to jeszcze jakaś alternatywa na horyzoncie, gdybyż! Ale gdzieżbyż! Julia P. przesuwam terminy rozpraw wedle widzimisię (widzimusię?) Prezesa, a tu nic się nie dzieje, troszkę sobie elity pojożczą i wszystko spłynie jak po kaczce w oczekiwaniu na czterdnastą emeryturę. Bezwstyd systemu sprokurowanego Polsce przez Mściwego K. i jego pomagierów nikogo właściwie już nie porusza, na nikim nie robi większego wrażenia, wszyscy mentalnie wzruszają ramionami i właściwie się dziwią, że ktokolwiek się dziwi.

Uchodzi na sucho? Uchodzi. Polska psieje, w obojętności gnilnej pograżona. Nie masz takowych terminów, z których ojczyzna podnieść by się nie mogła? Zobaczmy. Jakim. Kosztem. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



 **audioteka**

PAWEŁ

Bravo: Nasze barszcze



TYSIĄC SZESZCIESET TON BARSZCZU SPOŻYWANO w trakcie jednego sezonu w ośrodkach wypoczynkowych w paśmie górskim Catskill, w okresie gdy owa okolica stanu Nowy Jork była modnym celem wakacyjnym dla nowojorskich Żydów. Ich na-

pływ od lat 30. aż do późnych lat 60. zeszłego stulecia brał się z faktu, że wiele tradycyjnych kurortów na Wschodnim Wybrzeżu wywieszało tabliczki „starozakonnych nie przyjmujemy”. Stworzyli zatem dla siebie oazę wypoczynku, którą sami zwali autoironicznie „żydowskimi Alpami”.

Jeszcze złośliwiej zwano te okolice *borscht belt* – na wzór bardziej znanych pasów: biblijnego czy rdzy. Podawana tam zupa była rozwodnionym buraczanym purée doprawionym sokiem z cytryny i kwaśną śmietaną. Ale mniejsza o smak – ważne jest tamto przemożne skojarzenie: aszkenazyjski Żyd w Ameryce równa się barszcz. Skojarzenie, które nie spodobałoby się dziś władzom Ukrainy. Kijów bowiem, w poszukiwaniu podpór dla morale w czas rosyjskiej inwazji, wystarał się właśnie o wpisanie przez UNESCO barszczu ukraińskiego na listę niematerialnego dziedzictwa wymagającego szczególnej ochrony. Jest ona konieczna, pisali wnioskodawcy, bo wojna utrudnia ludziom uprawę lub nabywanie składników i niszczy kulturowy kontekst spożywania zupy (czyli okazje rodzinne i społeczne). Barszczowi zagraża więc „dekontekstualizacja”.

„Wygraliśmy w wojnie o barszcz” – ogłosił minister kultury Ołeksandr Tkaczenko. Maria Zacharowa, rzeczniczka moskiewskiego MSZ i godna podwładna swojego butnego, szyderczego szefa, odparła ironicznie: „Nasz barszcz nie potrzebuje ochrony, ale podlega natychmiastowemu i całkowitemu zniszczeniu na talerzu”. I zakończyła stwierdzeniem, że nacjonalizm ukraiński ma krótkie nogi, wszak już w pierwszej pisemnej wzmiance o barszczu z końca XVI w., czyli w zapiskach podróży gdańskiego kupca Martina Grunewego, jest mowa o potrawie „rosyjskich mieszkańców Kijowa”. To oczywiście dobrze znane nadużycie – w propagandzie dzisiejszych władców Moskwy rosyjskość w kółko miesza się z rusińskością (mieszało się to też w Polsce nadgorliwcom wyrzucającym pierogi ruskie z jadłospisów).

Gruneweg zresztą i liczni inni nowożytni autorzy mieli na talerzu totalnie inną, zielonoszarawą zupę, na bazie rozmaitego kiszonego zielska, w tym rośliny zwanej przez botaników barszczem zwyczajnym. Zapewne podobną w smaku do naszej dzisiejszej szczawiowej. Jest wysoce prawdopodobne, że buraka i pomidora jako kluczowe składniki „nowoczesnego” barszczu wprowadzono na ziemiach dziś ukraińskich. Taką świadomość

miejsca tej świeżej przemiany miały w XIX w. polskie elity. Np. Wincentyna Zawadzka w swej „Kucharcze litewskiej” wariant z burakami zwie „małorosyjskim”.

Wiedział o tym nawet William Pochlebkina, Rosjanin, arcy-ciekawa postać, historyk, któremu władza za nieprawomyślność zablokowała karierę naukową, ale pozwoliła zajmować się kulinariami, dzięki czemu stworzył fundamentalną dla gastronomii doby Breżniewa książkę „Kuchnie naszych narodów”. Pisał w niej o ukraińskim pochodzeniu barszczu, jednak zarazem przyczyniał się do oswojenia go jako dania, które jest „nasze”, gdziekolwiek sięgało imperium sierpa i młota, forsujące rusyfikację wszystkiego, co mu wpadło w łapy.

Z okien dalekiego biurowca UNESCO widać tylko odległe mgliste pola, na których tłuką się trudni do odróżnienia Słowianie, a w przerwach siadają nad kotłem czerwonej zupy zakwaszanej sfermentowanym burakiem. U la la, ależ to musi śmierdzieć. Teraz jedni z nich, ci, którym wypada współczuć, bo i tak chcielibyśmy, żeby szybko się poddali, proszą o uznanie, że ich barszcz jest bardziej barszczowy. A niech tam, przegłosujmy, to nic nie kosztuje. Przecież nikt z nas tu w Paryżu jeść tego nie będzie. Ani w wersji kijowskiej, ani czernichowskiej, ani połtawskiej (z jabłkami!) – ani też moskiewskiej, jeśli takowa istnieje.

A że akurat „dekontekstualizacja” potraw jest tym, co czyni sferę obyczaju żywieniowego tak ciekawą? To dzięki jej nieobliczalnym skutkom na pizzy pojawił się ananas i keczup, a w małym miasteczku w Yorkshire pachnie na obiad curry. Połowa naszych znanych i lubianych potraw nie zaistniałaby, gdyby panowała wieczna część dla tradycji i obyczaju. To prawda, ale zrozumiała w spokojnych czasach i w bezpiecznym miejscu. W tamtym zacisznym, wolnym od przekleństw wschodniej Europy „pasie barszczu” młody Woody Allen, jeszcze jako komik, a nie reżyser, uprawiał *stand-up* i mógł opowiadać złośliwe dowcipy o pogromach. Bo bawił widzów daleko od wciąż skrwawionych ziem, gdzie czarna słońca w kolejnych wcieleniach nie przestaje mordować i palić. ©P



Wybaczenie monotonię, ostatnio ciągle wraca tu w rubryczce burak. Ale trudno chyba tę dumkę nad barszczem inaczej spuentować – zostawię was zatem z miłym przykładem dekontekstualizacji i namówię, byście eksperymentowali z buraczanym hummusem. Czasem widuję go w wersji, w której burak dodany jest w małej ilości dla koloru. Ale moim zdaniem swobodnie można go dodać dużo. Zaczynajcie od proporcji mniej więcej 1:1, tzn. np. na 250 g upieczonego i obranego buraka tyleż ciecior (z puszki, jeśli nie mieliście czasu jej gotować). Miksujemy to i dodajemy co najmniej 1 łyżkę dobrej tahiny,

ewentualnie trochę wody spod ciecior. Na koniec oczywiście łyżka albo dwie soku z cytryny i oliwa – ale wcześniej jeszcze przyprawę. Kmin rzymski i wędzona papryka – to pierwszy typowy trop. Ale spróbujcie dodać sporą garść posiekanej natki pietruszki. Albo tymianek. I do tego sporo mocno uprażonych ziaren sezamu.

ŻEBY BYŁ OBIAD

MARIA (MAJKA) BRONIEWSKA, AKTORKA:

Pamiętam dobrze, jak mamę aresztowali.
Wróciłam do domu, a jej już nie było.
Zaczęłam sama pleść swoje dwa długie warkocze.
Z dnia na dzień stałam się dorosła.

MARIA BRONIEWSKA: Dokończę tego pierniczka, zanim zaczniemy, bo świetny jest, dobrze?

JUSTYNA DĄBROWSKA: Oczywiście, kończ spokojnie.
Cieszę się, że Ci smakuje.
No już. Zaczynaj.

Ile Ty, Majko, masz lat?

W październiku skończyłam 90. Sama w to nie wierzę. Najbardziej staro poczułam się, jak skończyłam 30 lat. Dramatycznie to przeżywałam. Całą noc nie spałam, wydawało mi się, że wpadam w głęboką starość. Pamiętam doskonale, bo mój mąż wtenczas mówił: „Chyba oszalałaś, wczoraj byłaś jeszcze młoda, a dzisiaj jesteś już stara?”. Stwierdziłam więc, że nie będę już obchodzić urodzin co roku, tylko co pięć lat. I trochę mi pomogło. Wiesz, nie wsłuchuję się w siebie, bo gdybym zaczęła, toby się okazało, że i to, i tamto mi dolega. Leków prawie nie biorę i jakoś tak istnieję.

Przedwojenny wyrób?

Zapewne, ale to wojna mnie uodporniła. Wyobrażasz sobie, że miałam niecałe osiem lat, jak się to wszystko zaczęło? Miałam iść do trzeciej klasy i już nie poszłam, skończyło się moje dzieciństwo. Ono nie było całkiem bez troskie, bo mój ojciec zmarł, kiedy miałam dwa lata. Wychowywał mnie dziadek i ukochana niania Józia. Mama była aktorką, dużo pracowała, wyjeżdżała – nie miała stałej pracy w Warszawie. Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa: budzę się, moje łóżeczko jest zastawione parawanem, na parawanie siedzi małpka, taka zabawka. I słyszę z drugiego pokoju głos mamy. Pamiętam, że pomyślałam: „O, mama przyjechała!”, i zasnęłam. A w 1938 r. mama poznała Władka Broniewskiego i zaczęło się inne życie. Zamieszkaliśmy na Żoliborzu z mamą, Władkiem i Józią.

Byłam rozpieszczoną jedynaczką, podobno ładnym dzieckiem. Wszyscy nade mną cmokali, a niektóre koleżanki mamy wypożyczały mnie sobie na spacer. Zawsze czułam się kochana przez mamę. Nie miałam poczucia, że nie mam ojca. Myśmy zawsze po obiedzie szły na tapczan i tam pogaduchy były, przytulanie, pieszczoty.

Same dobre wspomnienia?

Opowiem ci jedną historię, bo to jest sprawa, która kładzie się na charakter mój na przyszłość. W 1937 r. latem mama grała jakieś przedstawienie w Krynicy. Mieszkałyśmy w teatrze, tam były gościnne pokoje. W Krynicy wtedy było wielu Żydów, jak się szło do parku, to się przechodziło koło bożnicy. Ja tam chodziłam z opiekunką i moim siedmioletnim kolegą Wiktorem na spacer. Pamiętam, że szliśmy koło tej bożnicy i obok bawiła się jakaś dziewczynka, śliczna, z kędziorkami, w moim wieku. Miałam wtedy taki nadmuchiwany balon, który się na gumce boksowało. Ona do mnie podchodzi i pyta: „Dasz się pobawić tym balonem?”. Już jej chciałam go dać, a Wiktor mówi: „Ty jej w nochal daj, a nie balon”. I podał mi kamyk. I ja ją walnęłam tym kamikiem w nos, zalała się krwią. Był z nią dziadek, zaczął strasznie krzyczeć, zrobiła się okropna awantura. Wróciliśmy do domu. To było w sierpniu, zaraz miałam mieć imieniny. Wieczorem mama siada obok mnie na łóżku i mówi: „Zrobiłaś straszną rzecz, uderzyłaś dziewczynkę kamieniem, czy ty wiesz, że może być okaleczona na zawsze? Miałas dostać lalkę, ale nie dostaniesz, jutro pójdziesz ze mną i tę lalkę dasz tej dziewczynce”. I poszłyśmy do tej dziewczynki. Bardzo niechętnie oddałam pudełko z lalką, ale już nikt nigdy ode mnie nie dostał, ani w nos, ani w nic. Nie dałam się podpuścić.

Tuż przed wojną mama poznała Władysława Broniewskiego.

→

Co pamiętasz z tamtego czasu?

Maria Broniewska na okładce dwutygodnika „Film”, nr 31-32 z 1947 r.

FILM



Bohaterka filmu polskiego „Ulica Graniczna”

MAJA BRONIEWSKA

pies Wicher

BOŻE NARODZENIE 194

NR 31-32 ROK I

Cena 50 zł

PODWÓJNY NUMER ŚWIĄTECZNY 32 STRONY

**W numerze: WIELKI KONKURS Z NAGRODAMI
GWIAZDY POLSKIE • KORESPONDENCJE Z CAŁEGO ŚWIATA**

→ „Spotkamy się z takim panem pod Łazienkami, przy bramie” – powiedziała. To było w lecie, na dawnej Podchorążych, było słońce, przyszedł, miał niebieską koszulę i jasne spodnie. A ja miałam zwyczaj skakania na jednej nodze – przywitał się ze mną elegancko, powiedział: „Nazywam się Władek”. A ja: „Jestem Marysia”. On na to: „Nie jesteś Marysia, tylko wróbel na nitce, który skacze”. A ja mu na to: „A ty jesteś stary niedźwiedź”. I tak się poznaliśmy. Przychodził, opowiadał mi bajki, np. jedną o żołnierzu, który wrócił z wojny – najpierw odkreślił sobie nogę i postawił, potem odkreślił rękę... jakiś koszmarny, ale ja byłam zafascynowana. Poza tym przynosił pięknie wydane książki dla dzieci. Miał córkę Ankę, dwa lata ode mnie starszą, poznaliśmy się i jakoś zaistniałyśmy, że tak powiem.

Przypadłyście sobie do serca?

Czy myśmy sobie przypadły do serca z początku, to nie powiem, bo po pierwsze, ona miała piękną sukienkę, futerko z królików i boty popielate pod to futerko, piękne, prawie jak dorosłe panie. Ja miałam tylko zapinane na guziczek krótkie śniegowce. Bardzo byłam z tego niezadowolona. Potem trochę razem mieszkaliśmy, bo myśmy się wprowadzili do willi, gdzie już mieszkała poprzednia żona Władka, Janina z Anką właśnie.

Broniewscy się rozstali dużo wcześniej, ale okazało się, że moja mama i Janina bardzo sobie przypadły do gustu. Janina uważała, że Maria ma dobry wpływ na Władka.

Ty się w takiej nowoczesnej wielorodzinie wychowywałaś.

Nie zdążyłam, bo myśmy tam zamieszkały w styczniu 1939 r. To był duży dom na Czarnieckiego. Janina mieszkała na pierwszym piętrze, my na parterze. Mama szalała ze szczęścia, nareszcie urządziła coś swojego, bo przedtem mieszkaliśmy u dziadka. Miałam swój pokój z tapczanikiem, a nie łóżeczko za parawanem. Piękne zasłony w ptaszki.

Wszystko się zaważyło we wrześniu. Byłam już zapisana do szkoły, już z Anką się zaprzyjaźniłyśmy. Pamiętam ostatnie moje imieniny, 15 sierpnia, piękna pogoda, Władek wrócił właśnie ze spływu kajakowego z Zaleszczyk. Opalony, przywiózł ogromny kosz pełen dojrzałych moreli. Mama zaczęła je smażyć i te konfitury przetrwały kilka lat.

Promień zamknięty w słoiku.

Po łyżeczce je potem dostawałam. Przyszedł wrzesień, Władek wsiadł na rower i pojechał szukać swojego pułku. Mama miała mieć 4 września premierę w Teatrze Narodowym. Wsiadłyśmy w dorożkę i tylko zdążyłyśmy podjechać, dobiec do teatru, jak zawył alarm, i wtedy na moich oczach runęła bomba po drugiej stronie ulicy, tam gdzie przed chwilą stała dorożka.

Strasznie się bałam, szłam wczepiona w rękę mamy. Wbiegłyśmy do podziemi, tam już było mnóstwo ludzi.

Broniewski upił się kompletnie, bo już był śmiertelnie zmęczony. Prawie wypadł z dorożki.

Pod drzwiami domu spojrzałam na niego, a on: „Patrzysz na mnie, jakbyś mnie chciała zabić”.

A ja na to: „Bo bym chciała”. Pamiętał mi to długie lata.

W centralnym miejscu, na tronie siedziała Stanisława Wysocka, znakomita aktorka przedwojenna, wszyscy jej się kłaniali, mama podeszła i powiedziała, że chciałaby swoją córeczkę przedstawić. Potem kazali nam przejść do wielkich sal reutowych na Kopernika. Tam do nas dołączyli Józia i dziadek i tam siedzieliśmy do końca oblężenia Warszawy. Pierwsze moje koszmarnie wspomnienie wojenne to żołnierz ze spalonymi plecami, którego opatrywano na naszych oczach. Potem przez całe życie, przy każdym urazie mi się przypominały te plecy i wycie tego człowieka. Jak któryś z moich synów miał rozwalone kolano, to oczywiście je opatrywałam, ale cały czas miałam tam-

ten widok w pamięci. Rozmawiałam ze znajomym psychiatrą, mówił, że to naturalne. Taka reakcja na pierwszy w moim życiu straszny szok. Potem do drugiej sali przywieźli ranne dzieci. Mama natychmiast się poderwała i pobiegła. Po jakimś czasie wróciła z chłopczykiem, który miał obandażowaną główkę. Przywarł do mamy i tylko powtarzał: „Ty mnie uratujesz, ty mnie uratujesz”. Miał cztery lata, Rysio na imię. Jego rodzice zginęli, jak bomba uderzyła w dom, gdzieś na Bródnie koło cmentarza. Akurat stał na balkonie i spadł z tym balkonem, stąd ta rana na głowie.

Nie przeszkadza Ci, że cofamy się do tych wspomnień?

Nie. Jest w porządku. Tak sobie myślałam, że gdyby nie wojna, to moje życie byłoby zupełnie inne. Wojna wszystko zmieniła. Ale opowiem ci, co było dalej. W końcu trzeba było wyjść z tego Kopernika, poszukać innego miejsca. Wyszliśmy ze schronu, dookoła się paliło, śmierdziało potwornie, wszędzie było szkło, szło się po tym szkle. Mama z Rysiem, ja trzymałam się spódnicy Józki. Idziemy na Mazowiecką, jakaś brama jest otwarta, wchodzimy, dołączyła do nas jeszcze kobieta ze świeżo urodzonym dzieckiem, maleńkim. Weszliśmy do piwnicy – to są sceny jak z Wajdy – a tam dywan rozłożony, fotel, koło fotela duży termos. A w fotelu starszy pan w szlafroku, mówi: „To jest prywatna piwnica, tu nie ma wstępu”. I moja mama, pchając przed sobą tę kobietę z noworodkiem mówi, że tu jest kobieta, która nie ma czym karmić dziecka. On na to, że dla takich to u św. Krzyża ksiądz daje szklankę mleka. Mama na to: „Mój mąż walczy na froncie, a pan się tu dekuje, ja po wojnie powiem, jak pan się zachował”. I kazała nam usiąść. Więcej się nie odzywał.

Rano wyszliśmy stamtąd, obok był jakiś lokal nocny, z podziemiami. Weszliśmy, a tam pełno ludzi, tłok niesamowity. I estrada. Na tej estradzie leżeli ranni żołnierze. I w tym ścisisku nagle wbiega żołnierz i krzyczy: „Polacy, zwycięstwo! Koniec wojny!!!!”. I znowu scena jak z Wajdy – wszyscy zaczynają śpiewać „Boże, coś Polskę” i jak dochodzi do „ojczyznę wolną pobłogosław Panie”, to podnosi się jakiś oficer i zaczyna zrywać epolety krzycząc: „To jest kapitulacja, to koniec, idźcie do domów”. Ciarki mam po plecach do tej pory. Wyszliśmy stamtąd z Rysiem. W końcu doszliśmy na Żoli-

MARIA BRONIEWSKA (ur. 1931) jest aktorką filmową i teatralną. Debiutowała w filmie „Przez tży do szczęścia” (1939). Popularność zdobyła dzięki roli w „Ulicy Granicznej” (1948). W 1956 r. ukończyła studia na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. W XXI w. występuje głównie w serialach telewizyjnych (m.in. „Klan”, „Plebania”, „Ojciec Mateusz”, „Barwy szczęścia”).



MIKOŁAJ GRYNBERG

Maria Broniewska, kwiecień 2022 r.

borz. Okazało się, że nasz dom nie nadaje się do mieszkania. Jak w tym wierszu Władka: „siedem niemieckich granatów mój dom rozwaliło we wrześniu”.

Gdzie się podziałicie?

Mama znalazła mieszkanie w niedokończonym willi na Dziennikarskiej 8. Na górze mieszkała właścicielka, jej mąż wyszedł z mężczyznami z Warszawy, została z dwoma nastoletnimi synami. Potem mąż wrócił i któregoś dnia wszyscy trzej zostali rozstrzelani na ulicy. To był nowoczesny dom: kuchnia na elektryczność, w łazience boiler, ogrzewanie etażowe, tylko koksem najwyższej jakości można było palić. To się nam potem dało we znaki. Niemcy weszli do Warszawy, a Rysio ciągle u nas, już bez bandaża, ale nie opuszcza mamy ani na chwilę. Jak szła do łazienki, stał pod drzwiami i wołał: „Mamo!”. Przyszła wiadomość od znajomego ze Lwowa, że Władek tam dotarł i za wszelką cenę chce, żebyśmy do niego dołączyli. Już jest po 17 września, tam są bolszewicy, tu Niemcy. Mama przez zieloną granicę boi się iść, poza tym jest Rysio. Postanowiła poszukać jego rodziny. Z Żoliborza wyruszyliśmy na piechotę na Bródno, Józia wzięła Rysia na barana. Idziemy, nagle on mówi, o, tu był mój domek, a babcia to tam. Okazało się, że babcia miała naprzeciwko cmentarza budę z kwiatami. Weszli, tam babcia, ciocia i wujek: „Rysiu, ty żyjesz!”. On się rozplakał. Ale nie dlatego, że się z nami żegnał, tylko dlatego, że ja miałam takie zabawkowe drewniane gospodarstwo i on się ciągle tym bawił. Następnego dnia Józia znowu na piechotę poszła na Bródno i zaniósła Rysiovi tę zabawkę.

Widzisz? Wszystko to we mnie siedzi.

Dzisiaj znowu mamy wojnę.

Wszystko mi się przypomina... Jak patrzę na te kobiety, na te dzieci, od razu widzę tamto z powrotem. Te dzieci też będą wspominać swoje życie. Wiesz, że do tej pory, jak słyszysz syrenę, od razu patrzę w niebo, czy nie lecą bomby. Przez wiele lat bałam się kroków na schodach, bo Niemcy wchodzili takim zdecydowanym krokiem.

Ale wracając do naszej historii – dojechałyśmy z mamą do Lwowa, Władek szalał ze szczęścia. Karetą nas woził, praw-

dziwą karetą. Zaczęło się układać. Był listopad 1939 r., jeszcze nie było wywozek. A w styczniu go aresztowali. Mama z Władkiem zostali zaproszeni do Klubu Inteligencji. Zapraszał przedwojenny przyjaciel Władka – Daszewski. Powiedział, że ma wino, żeby przyszedli, żeby mama opowiedziała, jak jest w Warszawie, on ma tam żonę i chce ją sprowadzić. I wiesz, jak oni wychodzili na to spotkanie, to ja, która nigdy się nie bałam, zaczęłam chwytać mamę za nogi wrzeszcząc, żeby nie szła. Władek spojrzał, mówi: „Wiesz, Marysiu, ona jest histeryczka!”. I poszli. Dopiero po pięciu latach zobaczyłam Władka następnym razem. Ktoś mamę próbował ostrzec, coś ją tknęło, chciała go wyciągnąć, podeszła: „Władcze, idziemy”. I w tym momencie ktoś komuś dał w mordę, stół poleciał, weszła milicja i zgarnęła wszystkich. Wyłowili, kogo chcieli. Wat też tam był. Następnego dnia w „Czerwonym Sztandarze” ukazał się wielki artykuł, że aresztowano polskiego nacjonalistę Broniewskiego, pijaka i chuligana.

Posadzili ich we Lwowie, potem wywieźli do Moskwy i to chyba im życie uratowało, bo straszna jatka była w tym lwowskim więzieniu. Myśmy zostały. Mama pracowała, a potem wróciliśmy do Warszawy.

Jak dziś myślisz o Broniewskim?

Bardzo się starał być dobrym ojcem, ale w gruncie rzeczy myśmy się mało znali, bo przed wojną to było krótko i ja byłam małą dziewczynką. A po wojnie, jak on po pięciu latach wrócił po tym więzieniu, po armii Andersa i emigracji, to zastał panienkę, która miała lat piętnaście i była bardzo samodzielna. Zaczęły się między nami spięcia, zresztą to samo z Anką było. Chciał, żebyśmy były takie bardzo dobrze wychowane panienki. Żebyśmy „malowały na szkło i grały na pianinie”. Więc były awantury. Anka była jasną blondynką. Za namową mamy przyciemniła sobie brwi, rzęsy – pięknie wyszły jej niebieskie oczy. Jak wróciła do domu, Władek dostał szału. Kazał to natychmiast zmyć, co się nie dało zrobić. Mnie kazał głowę wsadzić pod kran, żeby loków nie było.

W gruncie rzeczy był obcym człowiekiem?

Tak. Podobno kiedyś powiedział do kogoś, że go nie traktuję jak ojca, tylko jak wujka. Potem nasze stosunki zrobiły

→ się jeszcze gorsze. To się bardzo wiązało z mamy chorobą. Jak po wojnie wróciła z Oświęcimia, to się wydawało, że najgorsze za nami. A potem się okazało, że jest nieuleczalnie chora. To była choroba krwi, wtedy nieznana. Raz dostawała czterdzieści stopni gorączki, potem miała zapaści. Miała śledzionę wielkości bochenka chleba. Robili jej transfuzje krwi, miewała szoki z tego powodu. W końcu powiedzieli, że w Polsce tego nie wy leczą. Wysłali ją do Szwajcarii. I zostałam sama z Władkiem. On wtedy już bardzo pił. Pod koniec 1946 r. pojechałam z nim odwiedzić mamę do Szwajcarii. W drodze powrotnej miałam z nim podróż życia, można powiedzieć.

Opowiedz.

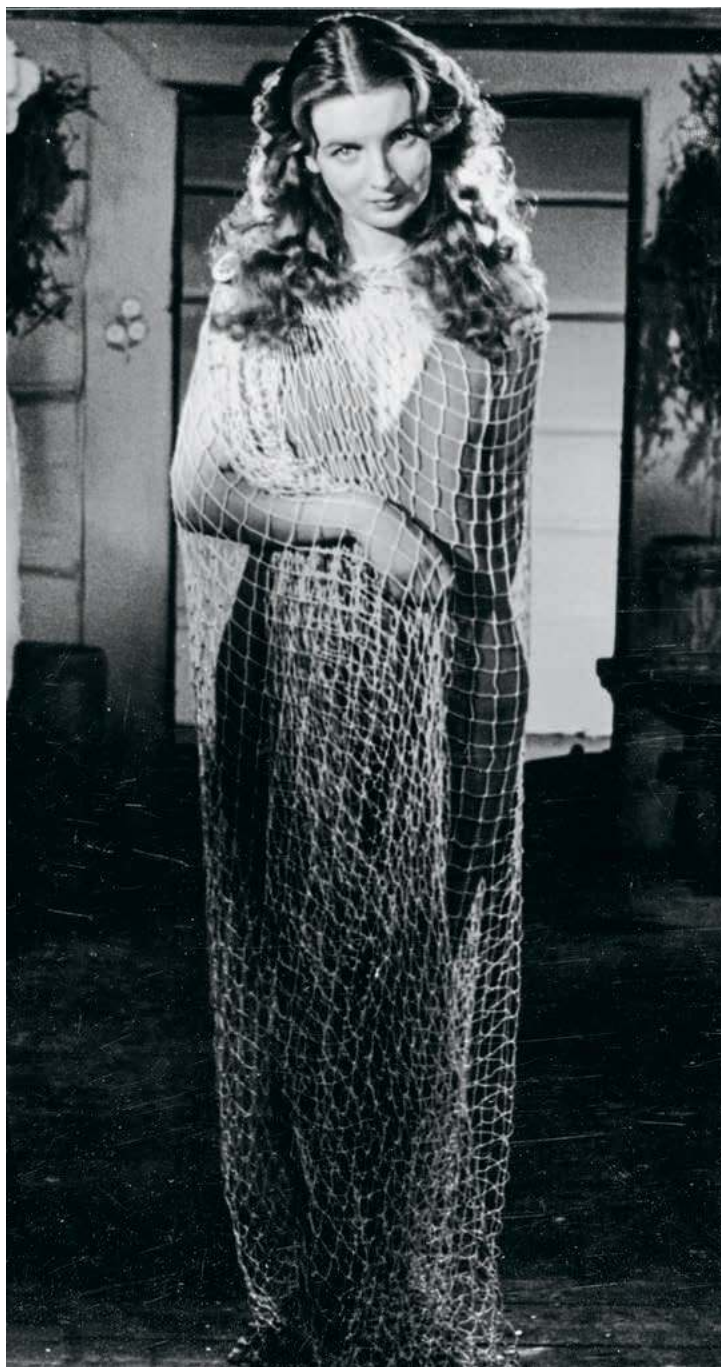
Wsiedliśmy w Zurychu do pociągu, wiadomo było, że w Strasburgu musimy się przesiąść na kolejny pociąg, do Pragi. Jak tylko ruszyliśmy, Władek wyciągnął piersióweczkę, wypił i zasnął. Jedziemy ileś godzin, widzę, że jest bardzo duża stacja, budzę go i mówię: „Wysiadamy, Strasburg”. Odwrócił się, śpi dalej. Jedziemy. Ciemna noc, zimno jak cholera, w końcu on się budzi, ja mówię, że był Strasburg, przejechaliśmy. On wpadł w popłoch i mówi: „Umyślnie mnie nie obudziłaś, panience zachciało się do Paryża jechać”. Ja zgłupiałam.

I nad ranem, w tym mrozie wysiadamy w Metz. Pusto, ciemno, wchodzimy do poczekalni, tam jacyś mężczyźni, okazuje się, że polscy górnicy. On idzie dowiedzieć się, jak z naszym pociągiem, ja zostaję z nimi sama. Trzęsłam się z zimna i strachu. Po jakimś czasie wraca, okazało się, że za ileś godzin mamy pociąg z powrotem. Przyjechał elegancki pulman, wsiedliśmy. On wciąż na mnie obrażony, ja cała roztrzęsiona, oboje jesteśmy głodni i wściekli. Przyjeżdżamy do Strasburga. Nasz pociąg do Pragi dawno odjechał, kolejny będzie jutro. Trzeba się gdzieś przespać, a Władek ma niewymienione pieniądze. Jest niedziela, bank zamknięty. Władek mówi, że musimy iść do konsulatu. Już się uspokoił, już ma poczucie jakiejś odpowiedzialności. Idziemy, idziemy, w końcu jesteśmy przy konsulacie, a tam na bramie jest napisane *Closed*, bo to jest konsulat rządu londyńskiego.

Wracamy z niczym na dworzec. On idzie do kasy i pyta, co ma robić, a tam mu mówią, że przed dworcem polscy oficerowie handlują dolarami. W końcu mogliśmy zapłacić za hotel, przespać się. Zwiedziłam Strasburg, zobaczyłam katedrę. Po trzech dniach podróży przyjechaliśmy do Łodzi, bo tam po wojnie mieszkaliśmy. I co robi mój kochany tatuś? Musi się napić wody, strasznie mu się pić chce. Wypił szklankę, a ja nie podejrzewałam, że to woda procentowa. Upił się kompletnie, bo już był śmiertelnie zmęczony, głodny, zdenerwowany. Prawie mi wypadł z dorożki. Pod samymi drzwiami domu spojrzałam na niego, a on: „Patrzysz na mnie, jakbyś mnie chciała zabić”. A ja na to: „Bo bym chciała”. Pamiętał mi to długie lata.

Twoja mama zmarła w kolejnym roku. Miałas w nim wtedy oparcie?

Nie bardzo. Bardzo rozpaczał, strasznie przeżywał, do przesady. Ja mu wtedy powiedziałam: „Wiesz, matkę ma się jedną, a żon można mieć kilka”. I wyprowadziłam się z domu, bo to było nie do wytrzymania. Miałam szesnaście lat, straciłam matkę, a on był zajęty swoją rozpaczą. On z tej emigracji do niej przyjechał. Przysłał depeszę: „Kocham, wracam”.



Wszyscy zaczęli śpiewać „Boże, coś Polskę” i jak dochodzi do „ojczyznę wolną pobłogosław Panie”, to podnosi się jakiś oficer i zaczyna zrywać epolety krzycząc:

„To jest kapitulacja, to koniec, idźcie do domów”.

Ciarki mam po plecach do tej pory.

W filmie „Warszawska syrena” w reżyserii Tadeusza Makarczyńskiego, 1956 r.

Ona też go kochała?

Tak. Ale nie mogła znieść tego picia. Powiedziała, że jeżeli nie przestanie, to ona odejdzie. Troszkę się starał, ale już był ciężko chorym alkoholikiem. Miotał się po domu, kładł na dywanie i szlochał, nic dziwnego, że nie mogłam tego znieść.

Jak można sobie poradzić ze śmiercią mamy?

Nawet nie umiem tego odtworzyć. W jakiś sposób to skreśliłam. Pamiętam dobrze, jak mamę aresztowali. To było 12 kwietnia 1943 r. Wróciłam do domu i mamy już nie było. Dopiero po latach sobie uświadomiłam, że w ten czas nagle coś we mnie pękło. Zrobiłam się dorosła. Robiłam się dorosła już w tym schronie, we wrześniu. Wtedy zadałam mamie pytanie, czy będę mogła po wojnie pójść na film od osiemnastu lat. Mama się rozplakała, nie rozumiałam dlaczego.

Jak mamę aresztowali, zaczęłam sama pleść swoje dwa długie warkocze. Zawsze mama to robiła. Dziadek miał wtedy prawie osiemdziesiąt lat, musiałam o niego zadbać. Dosłownie z dnia na dzień stałam się odpowiedzialna.

Jak to zrobiłaś?

Nie wiem. Pamiętam, że postanowiłam pojechać tramwajem do kuzyna mamy, o którym wiedziałam, że ma firmę budowlaną, w czasie okupacji dobrze prosperował. Chciałam mu powiedzieć, że mamę aresztowali. On zadziałał tak, że jej nie zabili, zamienili Pawiak na Oświęcim. Dał pewnie jakąś łapówkę. Z dnia na dzień z rozpieszczonej jedynaczki zrobiłam się dorosła.

Jak się widzi, że wszystko wkoło się pali, to wiesz, co jest ważne. Gdyby mi kazali teraz wyjść z domu...

...z jedną walizką?

Nawet nie wiem, czybym brała walizkę. Mam wazonik mamy, który ocalał z powstania. Może wzięłabym ze sobą parę fotografii.

To na czym Ci w życiu zależało?

Żeby w domu był obiad, żebyśmy się codziennie spotkali przy stole, żeby dzieci miały swój kąt. Andrzejowi też zależało na ciepłym domu, dobrze się tu dogadywaliśmy.

Ile lat byliście razem?

Dwadzieścia parę. Poznałam go na imieninach kolegi. Weszłam, tam była już gromada znajomych nastolatków. Siedział w kącie. I ja tak spojrzalam, i on spojrzal. Potem tańczyliśmy, on nie umiał zupełnie, chyba pierwszy raz w życiu tańczył. Potem mnie odprowadził, a mieszkalam na drugim końcu miasta. Szliśmy wiele godzin i tak to się zaczęło. To był ten los szczęśliwy. Traf.

Jego śmierć to też był straszny szok. Nagle poczuł ból w ramieniu, przyszedł doktor, zbadał Andrzeja, potem wyszedł za mną na schody i mówi: „To mi wygląda na raka płuc”. Zamarłam. A szłam właśnie na przedstawienie. Więc wyobraź sobie, taka wiadomość, ciebie ścisła za gardło, lży ci się zbierają, ale musisz to połknąć, nie ma. Mój zawód jest

taki, że rzeczy osobiste zostawiasz w domu. Wchodzisz do garderoby, resztę zostawiasz za drzwiami.

Kiedy ostatnio pracowałaś w zawodzie?

W zeszłym roku. Grałam w serialu „Na sygnale”. Raz miałam propozycję, była bohaterka, co do trumny się kładła, powiedziałam: „O nie, dziękuję, jestem przesadna”. Wszyscy w filmie są dla mnie zawsze szalenie mili i mówią, że chcieliby, żebym coś więcej robiła, ale nie ma dla mnie ról.

Opowiedz o „Ulicy Granicznej”.

Tuż po wojnie spotkałam w Łodzi przypadkiem na ulicy Jana Fethkego, reżysera „Przez lzy do szczęścia”. Ucieszył się, wyściskał mnie, a potem mówi, że Aleksander Ford kręci film i żebym wzięła udział w próbnym zdjęciach. I ja ten, jak się dziś mówi, casting wygrałam. Zagrałam jedną z głównych ról – Jadzię, żydowską dziewczynkę. Wymowa scenariusza nie bardzo się podobała ówczesnej władzy, Ford musiał więc przenieść produkcję do Pragi. Film na początku był pokazywany poza Polską, a dopiero po tym, jak dostał Złoty Medal w Wenecji, wszedł do kin. Opowiadałam ci o tym, bo potem byłam już zawsze Jadzią. Chciałam grać, ale po latach się okazało, że Ford się nie zgadzał, żeby mnie obsadzać w innych rolach. I tak się zakończyła moja „kariera filmowa”. Zostały po niej okładki ówczesnych magazynów.

Jesteś piękną kobietą.

Raczej byłam. Wiedziałam, że jestem ładna, stale mi to powtarzali. Nie zachwycałam się sobą, ale zawsze dbałam o cerę. Nie poszłam spać, żeby przedtem nie umyć twarzy. Do dzisiejszego dnia zawsze mam krem na noc i na dzień, całe życie. Mama po wojnie mi powiedziała: „Jesteś ładną dziewczyną, będziesz miała powodzenie, ale nie rozmieniaj się na drobne”.

Musiłaś przyciągać męskie spojrzenia

Tak. I dużo kretyków się kręciło.

Kiedy patrzysz w lustro, co widzisz?

Utyłam, nie jestem wysuszoną staruszką, o nie, może to lepiej, bo nie mam takich pomarszczonych policzków. Wiesz, czego się zawsze najbardziej bałam? Żeby nie oślepnąć. W tej chwili mam kłopoty ze słuchem, ale mam aparaty.

Używasz? W ogóle nie widać.

Nie widać, zobacz, to takie małeństwo. A wzrok mam dobry, nie używam okularów, widzę dobrze, czytam bez przerwy. Najbardziej lubię sagi, kryminały.

Potrafisz założyć broję, jak trzeba.

Im dłużej żyję, tym bardziej jestem przekonana, że naprawdę mało jest rzeczy, które są ważne. Teraz, jak oglądam Ukrainę, wraca do mnie, że wojna całkowicie zmienia życie. Pamiętam mnóstwo szczegółów do dzisiaj: powstanie w getcie, ten pożar, to wszystko. Oni też będą pamiętać... Bardziej pamiętam wojnę niż to, co później. A przecież wiem, że potem było mnóstwo chwil pięknych. Wojna niszczy ludziom życia. Do czego oni wrócą? Do gruzów? Dlaczego nie dać ludziom spokojnie żyć?

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

W dorzeczu myśli



KTOŚ MÓWI: NAPISZ, CZŁOWIEKU, O BYŁYM wicepremierze do spraw bezpieczeństwa narodowego i spraw obronnych. Znowu. Ale – pytamy – co pisać, o czym, dlaczego? Jak to, o czym?! O tym, jak jeździ po kraju mlekiem i miodem płynącym. Jak gwarzy

z ludem o Polsce i świecie współczesnym bądź o ekonomii, bądź opowiada ludziom o innych krajach. Napisz, jak w bezpiecznej obstawie niezliczonych ochroniarzy zajeżdża czarnym autem do małego miasteczka. Jak wysiada i jak wchodzi do sali, na scenę, i jak śpiewa hymn państwowy. Bo zawsze śpiewa. I jak mówi. Napisz nam o tym. A te prośby nas wcale nie śmieszają, czasem dziwią, ale po namyśle nie dziwią.

Czymże – pytamy – nasze opisanie, jak Gospodarz śpiewa, będzie lepsze, precyzyjniejsze, bardziej ilustracyjne, dosłowniej oddające nastrój ową wokalizą wywołany, od artykułów zawodowych reporterów i spisanych z taśm zeznań naocznych świadków? Ano – słyszymy – wizyty Prezesa w największych salach małych miast nie powinny być obsługiwane przez zawodowych reporterów. Są one – wydarzenia te – materiałem do przede wszystkim twórczej interpretacji, do analizy, która nie może być banalizacją. Takie opinie słyszymy i – cóż tu rzec więcej – podziwiamy je bez wahań.

Suche bądź wulgarnie w swej prostocie relacje z odwiedzin Gospodarza w największych salach najmniejszych miast Polski odzierają te wydarzenia z istoty. Z funkcji. Z misji. Ze znaczenia. I dlatego właśnie owe cudowne nawiedziny powinny być obsługiwane przez ludzi innych niż teraz. Władających piórem – bez urazy – zgrabniej. Chodzi nam tu o ludzi umysłowo najbardziej

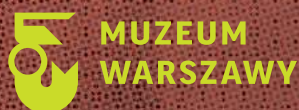
gibkich w kraju, potrafiących w locie, pomiędzy jednym a drugim akapitem wypowiedzianym przez Gospodarza, złapać i zinterpretować. A interpretację tę natychmiast reinterpretować. Autorzy powinni być skoczni, winni więc rozumieć na bieżąco konstrukcje i dekonstrukcje, a więc muszą umieć uważnie słuchać i zapamiętywać. Muszą umieć z masy dźwięków wydobyć te cesarskie, najczystsze, najzłote, ale muszą także rozumieć ciszę, bezdźwięczną sterylność, a więc także to, co znajduje się pomiędzy dźwiękiem wydanym przez Gospodarza a wydanym przez niego bezdźwiękiem. Muszą to zapisać. Szybko i zrozumiale. Ostatnia to chwila, by w redakcjach polskich zorganizować poważne castingi na ludzi przygotowanych warsztatowo i biologicznie do sensownego relacjonowania gospodarskich nawiedzeń.

Oto – jakżeśmy tu napisali – nadmysłowe zdolności i niezwykle organy są niezbędne w dochodzeniu do zrozumienia tego, co mówi Gospodarz. Jego mowa – zważmy – jest jak lawa wypadająca z Wezuwiusza wprost na nieodżałowane Pompeje. Należy zatem do zjawisk nieokiełzanych. Słowem, Prezes zawsze mówi to, co chce powiedzieć, wypowiedzi układają się w rzeki, rzeki są szkieletami dorzecza, dorzecza zaś składają się na niesłychanie skomplikowany system dopływów, potoków, strug, kanałów i kanalików jego myśli, wynikłych z osobliwych widzeń. Tak to wygląda. Rozumienie tego to nie jest zadanie dla ludzi, którzy napiszą, dla przykładu, że: Kaczyński myśli, iż w Niemczech euro kosztuje trzy złote. Albo: Kaczyński powiedział, że lekarze mają dość klepania biedy w Niemczech i wracają do Polski. Nie. Żeby to zrozumieć, zbędna jest wulgarna wiedza, na zenującym poziomie, że np. jedno euro kosztuje w Niemczech tylko jedno euro. Przecież Gospodarz nie to chciał nam przekazać, chciał powiedzieć coś ważnego, że w Niemczech jest gorzej niż w Polsce, że życie tam nie ma żadnego sensu. A u nas owszem. Ktoś tu się zaśmieje i prowokacyjnie zapyta, po co ten cyrk. Odpowiedź jest prosta: wszystko to razem to niezbędny seans. Połowa obywateli polskich czeka i wierzy, że Gospodarz swymi widzeniami, słowami, a nawet milczeniem jest zdolny zmieniać prawa fizyki, ekonomii, odwrócić bieg głośno teraz chrzęszczącego koła historii. Zmianianie kursu waluty to naprawdę, przy tym wszystkim, bułka z masłem. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



CHOIŃSKI
BIAŁO-
SZEW-
SKI CZACHOROWSKI
HERING MURAWSKA
NIEOSO-
SOLIŃSKI
BNY STEFAŃSKI



MUZEUM
WARSZAWY

WYSTAWA 30.06–11.12.2022

Muzeum Woli, oddział Muzeum Warszawy
ul. Srebrna 12

muzeumwarszawy.pl



PATRONI MEDIALNI

teatralny^{pl}

SZ U M



TVP
KULTURA

wyborcza.pl
WARSZAWA

Burmistrz Miasta
Zakopane
Leszek Dorula
oraz
Zakopiańskie
Centrum Kultury
zapraszają



21. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej

im. Wacława Geigera

Zakopane, 22 lipca - 13 sierpnia 2022

www.festiwale.zakopane.pl

Organizatorzy



ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY



Partnerzy

Sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej na Krzeptówkach
Sanktuarium Najświętszej Rodziny
Kościół pw. NMP Nieustającej Pomocy na „Górcze”
Parafia Tatrzańska Świętego Krzyża